Hawana

Podzwrotnikowe delirium

Mark Kurlansky

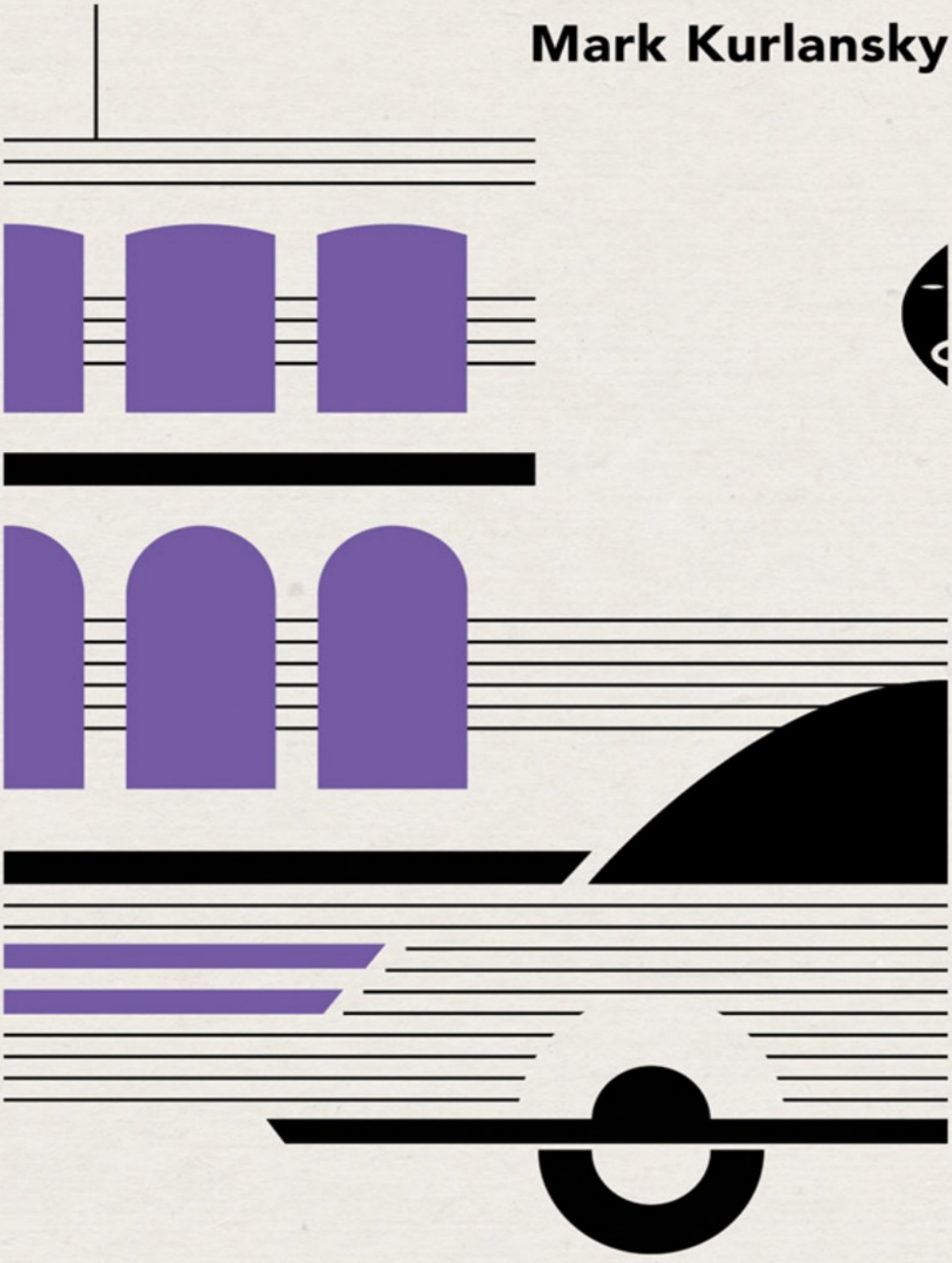

Już w księgarniach:

Charles King *O północy w Pera Palace. Narodziny współczesnego Stambułu*

Ziauddin Sardar *Mekka. Święte miasto*

Charles King *Odessa. Geniusz i śmierć w mieście snów*

Justin Marozzi *Bagdad. Miasto pokoju, miasto krwi*

Mark Mazower *Saloniki. Miasto duchów. Chrześcijanie, muzułmanie i żydzi w latach 1430–1950*

Mark Kurlansky

Hawana

Podzwrotnikowe delirium

Przełożył Tomasz Fiedorek

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2018

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Hawana: A Subtropical Delirium*

Projekt okładki Łukasz Piskorek / Fajne Chłopaki

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © Mark Kurlansky, 2017

This translation of *HAVANA: A SUBTROPICAL DELIRIUM* is published by Wydawnictwo Czarne Sp. z o.o. by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc. and Macadamia Literary Agency, Warsaw. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Fiedorek, 2018

Redakcja Maciej Robert

Korekta Katarzyna Rycko / d2d.pl, Jadwiga Makowiec / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-650-7

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog. Czarno-biała uczta

1 Zmiana

2 Znienawidzone morze

3 Widmo Czarnego Miasta

4 Ogień i słodycz Cecylii

5 Za murem

6 Potwór

7 Śmierć, którą nam podarowali

8 Rewolucja w dwudziestu sześciu smakach

9 Mulatka powraca

10 Brzmienie afrykańskiego miasta

11 Zamrożone w tropikach

12 Słoneczną stroną do góry

13 Jak się spierać w Hawanie

Epilog. Nocout

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Kolofon

Kubańskim pisarzom, tym, którzy popierali rewolucję, tym, którzy jej się sprzeciwiali, i tym, którzy robili jedno i drugie

Esta especie de ensoñación o desvario subtropical, bajo el sol, al borde de la bahía hermosa, diabólicamente hermosa, abierta a las peligrosas aguas del golfo de México, atestadas de tiburones y de almas en pena.

Ten rodzaj podzwrotnikowego rozmarzenia lub delirium, w słońcu, nad brzegiem pięknej zatoki, diabolicznie pięknej, otwartej na niebezpieczne wody Zatoki Meksykańskiej, rojące się od rekinów i potępionych dusz.

Abilio Estévez, *Los palacios distantes* (2002)

Prolog

Czarno-biała uczta

El corazón es un loco
que no sabe de un color.
Serce to głupiec,
co nie rozróżnia kolorów.

José Martí, *Versos sencillos* (1891)

Gdybym kiedykolwiek miał kręcić staroświecki film w stylu *noir* – z cynicznymi bohaterami, fabułą pełną intryg, przemocy oraz nagłych zwrotów akcji, sfilmowany w ciemnych i groźnych uliczkach, w zamglonej czerni oraz bieli – zrobiłbym to w Hawanie.

Powód, dla którego wybrałbym czarno-białą taśmę, być może nie od razu byłby oczywisty dla ludzi znających Hawanę – karaibskie miasto z żółtymi, różowymi i turkusowymi budynkami na tle modrego nieba i morza, które jest jaskrawoniebieskie, z zawsze obecnym w oddali ciemnokobaltowym paskiem tworzonym przez Prąd Zatokowy.

Czasami – na co od czasu do czasu zwracają uwagę w szczególności Amerykanie – morze koło Hawany, kiedy odbija się w nim niebo tuż przed świtem, wydaje się fiołkowe. Ernest Hemingway, dla którego słowo „fiołkowe” było zbyt kwieciste, opisywał Prąd Zatokowy w tamtym miejscu jako „prawie purpurowy”. Lecz *habaneros*, czyli mieszkańcy Hawany, zazwyczaj wyrażają się o morzu nie tak poetycko – na określenie koloru wód wokół miasta jako fiołkowego natrafiłem tylko raz, u José Lezamy Limy, poety i powieściopisarza z połowy XX wieku, który pisał:

Fiołkowe morze tęskni za narodzinami bogów,
Bo być tu zrodzonym to uczta niewymowna…

John Muir, Szkot, pierwszy wielki przyrodnik i prawdopodobnie pierwszy ekolog Ameryki, przybył na Kubę w 1868 roku (w tym samym roku zwiedził dolinę Yosemite, gdzie założy później słynny amerykański park narodowy). Dla Muira Hawana była żółtym miastem: „Po jednej stronie portu było miasto owych żółtych roślin; po drugiej – miasto otynkowanych na żółto domów, ciasno i bezładnie skupionych". Muir widział żółty kolor wszędzie. Wzgórze, na którym stoi strzegący wejścia do portu zamek El Morro, było według niego pokryte żółtymi chwastami.

Podobnego zdania jest brytyjski powieściopisarz Anthony Trollope, który w czasie swojej wizyty w Hawanie w 1859 roku nazwał ją „wyblakłym żółtym miastem". Tak też namalował je amerykański impresjonista Childe Hassam. Chociaż w Nowym Jorku, Nowej Anglii i Francji potrafił zaprezentować się jako wielki kolorysta, kiedy w 1895 roku przybył do Hawany, żółte budynki na jego obrazach były wręcz pastelowe od białego, palącego światła słonecznego – wyblakłe żółte miasto. W jego pejzażach Hawany nawet cienie były stonowane do pastelowego błękitu, a jedynymi naprawdę nasyconymi barwami były czerwień i złoto hiszpańskich flag. Hassam uwielbiał flagi.

Współczesny pisarz kubański Pedro Juan Gutiérrez, który świadomie unika lirycznych ozdobników, czyni wyjątek dla Hawany o zachodzie słońca, którą nazywa „pięknym, złotym miastem o zmierzchu". Ma rację – gdy promienie słoneczne padają pod kątem prawie równoległym do ziemi, Hawana zmienia się w złote miasto.

Federico García Lorca, wielki hiszpański poeta, jest w Hawanie uwielbiany za swój chłopięcy urok i czczony z powodu bohaterskiej śmierci – został rozstrzelany przez faszystów na początku wojny domowej w Hiszpanii. W Hawanie zawsze doceniało się tragiczne zakończenia. W 1930 roku García Lorca pisał: „Hawana ma w sobie żółć Kadyksu,

przechodzący w karmin róż Sewilli, rybio fosforyzującą zieleń Grenady”.

Czy ci pisarze widzieli to samo miasto, co ja?

Różnica między pierwszym wrażeniem pisarzy spoglądających na Hawanę a moim spowodowana jest tym, że widzieli oni miasto od strony morza.

Hawana leży na północnym wybrzeżu Kuby, na trasie ważnego szlaku żeglugowego, biegnącego z Ameryki Północnej i Europy przez Karaiby do Meksyku i Ameryki Południowej. To właśnie Hawana oraz portorykańskie San Juan (które leży jednak znacznie dalej od Ameryki Północnej i Meksyku) są jedynymi dużymi portami karaibskimi od strony Atlantyku. Większość portów w tym rejonie leży po karaibskiej stronie wysp, gdzie statki muszą przedzierać się przez zdradzieckie cieśniny, by przepłynąć na Atlantyk.

Francuzi wiedzieli, jakie jest odpowiednie miejsce na port, gdy na stolicę kraju, który dziś nazywa się Haiti, obierali Cap-Haïtien na atlantyckim wybrzeżu wyspy. Jednak po rewolucji haitańskiej w latach 1791–1804 stolicę przeniesiono do Port-au-Prince na wybrzeżu karaibskim. Natomiast na Kubie Hiszpanie popełnili początkowo błąd, zakładając miasto stołeczne w Santiago, czyli po karaibskiej stronie, ale później przenieśli stolicę do Hawany, nad Atlantyk. Hawana ma doskonały port, z długim, wąskim przesmykiem, prowadzącym do szerokiej i dobrze osłoniętej Zatoki Hawańskiej.

Owa zatoka, a raczej jej nabrzeże w starej części Hawany, która nosi dziś nazwę La Habana Vieja, było dawniej sercem miasta. Trafiał tu każdy przybywający na Kubę gość. Z wielkich magazynów ładowano tu na statki i wysyłano za granicę obfite kubańskie zbiory cukru i tytoniu. Tutaj również odbywał się rozładunek towarów, które od razu przechodziły odprawę celną.

W opublikowanej w 1937 roku powieści *Mieć i nie mieć*, jedynej książce Hemingwaya, której fabuła rozgrywa się w Hawanie, miejscem akcji jest wschodnia część nabrzeża w La Habana Vieja, z jego dokami i magazynami, z robotnikami portowymi w spelunkach i kawiarenkach. W tamtym czasie nabrzeża były zamieszkiwane przez biedotę szukającą pracy, śpiących gdzieś pod murem „ulicznych włóczęgów", marynarzy, gangsterów i będących na ich usługach płatnych morderców.

Jeszcze dziś, gdy turyści zwiedzający odnowione dzielnice kolonialne w La Habana Vieja skręcą w prawo i przejdą przecznicę albo dwie, znajdą się w sławnej niegdyś okolicy. Ale prawie nikt tego nie robi. Większość turystów nie zdaje sobie sprawy, że w pobliżu są nabrzeże i port. Zniknęli również włóczędzy i gangsterzy oraz większość marynarzy.

Dzisiaj ludzie przylatują tutaj samolotem, z którego mają na Hawanę całkiem inny widok niż podróżni przybywający do niej niegdyś od strony morza. Najpierw leci się nisko nad ogromnymi, zielonymi i pięknie utrzymanymi gospodarstwami rolnymi położonymi na obrzeżach miasta. Następnie taksówka wiezie nas wyboistą drogą, przy której stoi kilka niezbyt wysokich wieżowców, będących w Hawanie raczej niespotykanym widokiem. W jednym z nich mieści się olbrzymia państwowa klinika psychiatryczna. Następnie mijamy budynki w różnych kolorach – szarobure, rdzawe, turkusowe oraz zgniłoróżowe – przypominające urodzinowy tort, który stał trochę za długo. Po niespodziewanie krótkim czasie – zwłaszcza jeśli wzięliśmy nowszą i sprawniejszą taksówkę – jesteśmy już na Malecónie i pędzimy po zakrętach tej biegnącej wzdłuż oceanu promenady, docierając do centrum Hawany tak szybko, że aż trudno uwierzyć, iż jest to miasto mające dwa miliony mieszkańców.

Niemal z każdego miejsca w mieście widać ocean – niebieski i opustoszały. Czasami można dostrzec jakąś łódź, na

pewno nie wycieczkową, ale też nie rybacką. Wydaje się to dziwne, ponieważ nie ulega wątpliwości, że roi się tam od ryb. Ciemna smuga obfitującego w ryby Prądu Zatokowego, z wielkimi łowiskami marlinów, które przyciągnęły tu Hemingwaya, jest widoczna z brzegu. Mężczyźni i chłopcy wędkują, stojąc wzdłuż falochronu. Czasami łowią z unoszących się na wodzie dętek, by móc dalej zarzucić wędki i mieć szansę na lepszy połów. Ich zdobyczą jest *pargo*, miejscowy gatunek dużej ryby. Hemingway mówił o *pargo*, używając amerykańskiej nazwy *muttonfish*, czyli „barania ryba". Twierdził, że można ją złapać wśród skał przy zamku El Morro, strzegącym wejścia do portu. Miejscowi używają do tego celu przynęt w postaci wcześniej złowionych mniejszych rybek lub kałamarnic. Wiele innych gatunków ryb karaibskich, zwłaszcza tych, które żerują na rafie koralowej, także posiada ludowe nazwy – choćby *pez perro*, ryba o psim pysku, z wystającymi zębami, które nadają jej głupkowaty wygląd.

Ale z łodzi się tutaj nie łowi. Nawet w pobliskim Cojímar, „wiosce rybackiej" obok Hawany, nie widać żadnych łodzi, zaś kilku pozostałych tam jeszcze rybaków to starzy mężczyźni, którzy zamiast wyprawiać się na ryby, wspominają dawne czasy wspólnych połowów z Hemingwayem. Przyczyn braku łodzi może być wiele, począwszy od braku paliwa. Istnieje także teoria głosząca, że wszystkie sprawne łodzie od dawna są już na Florydzie. Prawdziwy powód ma w istocie związek z bliskością Florydy. Na Kubie istnieje bowiem flota rybacka, która działa całkiem aktywnie, aczkolwiek na południowym wybrzeżu, gdzie łowi się przede wszystkim langusty i inne owoce morza.

Od czasu rewolucji kubańskiej w 1959 roku oraz ustanowionego w jej rezultacie rok później amerykańskiego embarga handlowego do Hawany przypływało niewiele statków i niewiele z niej odpływało. Nawet w czasach bliskich powiązań Kuby ze Związkiem Radzieckim, kiedy regularnie

docierały tu dostawy z Europy Wschodniej, nigdy ruch nie był na tyle duży, by port tętnił życiem jak za dawnych czasów.

W zasadzie aż do połowy lat osiemdziesiątych XX wieku, kiedy Kuba otrzymała od Organizacji Narodów Zjednoczonych dotację na oczyszczenie portu, do zaszlamionej Zatoki Hawańskiej spływały w ogromnych ilościach nieczystości z rzek i kanałów burzowych. Rzeźnie, fabryka drożdży, dwie gorzelnie, garbarnia i rafineria naftowa w Regli przy wschodnim nabrzeżu przyczyniały się do skażenia środowiska. Jednak nawet trzy dekady prac oczyszczających w Zatoce Hawańskiej nie wpłynęły na zwiększenie żeglugi morskiej. Na dobrą sprawę od rozpadu Związku Radzieckiego w 1991 roku port w Hawanie był używany w jeszcze mniejszym stopniu niż wcześniej.

To może się jednak zmienić. Zaraz po tym, jak w 2015 roku prezydent Barack Obama ogłosił odmrożenie relacji z Kubą, amerykańscy przedsiębiorcy zaczęli snuć plany uruchomienia linii żeglugowej do Hawany, mimo że embargo handlowe nie zostało jeszcze zniesione. Lecz stary port i nabrzeże prawdopodobnie nigdy już nie będą takie jak kiedyś. Jeśli znowu ożyją, to raczej w charakterze przystani turystycznej niż portu handlowego.

Prawda jest bowiem taka, że ten sławny niegdyś karaibski port, od którego w zasadzie rozpoczęła się budowa miasta, jest obecnie nieco przestarzały. W czasach żeglugi mniejszych jednostek port hawański, ze swoimi głębokimi wodami i wąskim wejściem (które na odcinku prawie pół mili morskiej ma zaledwie trzysta metrów szerokości, a dopiero na dalszym odcinku rozszerza się do kilku mil kwadratowych osłoniętego akwenu), pod względem militarnym był atrakcyjny zarówno dla tego, kto go bronił, jak i tego, kto go atakował. Wystarczyło w wejściu do portu zatopić statek, który automatycznie tamował wszelki ruch, uniemożliwiając wpłynięcie do portu i wypłynięcie z niego. Hawański port jest

nadal idealnym schronieniem do przeczekania huraganu, lecz nie jest dostatecznie głęboki dla nowoczesnych jednostek, dlatego na zachód od miasta buduje się obecnie większy port głębokowodny. Ponadto – mimo że Regla jest świetnie zlokalizowana jako centrum transportu wodnego obsługującego połączenia ze wschodnią częścią Kuby – ulice od strony La Habana Vieja są zbyt wąskie dla ciężarówek przewożących towary do portu.

To właśnie w tym zatłoczonym świecie wąskich uliczek w La Habana Vieja rozgrywałby się mój film *noir*. Światło jest tam tak jaskrawe, że aż białe, przez co cienie są wyjątkowo ciemne. To podzwrotnikowe miasto zostało zbudowane w taki sposób, żeby było w nim jak najwięcej ocienionych miejsc. Pogrążone w mroku uliczki La Habana Vieja są tak wąskie, że jeszcze do niedawna między budynkami rozpinano markizy, żeby na chodniki padało jeszcze więcej cienia.

Lecz są także inne powody przemawiające za tym, żeby widzieć Hawanę w czerni i bieli. Z powodu amerykańskiego embarga nie można tu było ani kupić kolorowej kliszy, ani jej wywołać, dlatego jeszcze przez wiele lat po rewolucji czołowi fotografowie tego kraju, jak Raúl Corrales i Alberto Korda, robili wyłącznie czarno-białe zdjęcia. (Korda, prawdziwy *habanero*, sławny dzięki czarno-białemu portretowi Che Guevary, mówił, iż został fotografem, żeby „poznawać kobiety”).

Jedna z najlepszych powieści o Hawanie przypomina film *noir*. W trakcie lektury *Osaczenia* Alejo Carpentiera czytelnik nie myśli w kolorze. Fakt, iż Carpentier – który urodził się w Szwajcarii, miał ojca Francuza i matkę Rosjankę, zmarł w Paryżu, a po hiszpańsku mówił z francuskim akcentem – uznawany jest w tym mieście za wielkiego *habanero*, stanowi dobitne potwierdzenie otwartości mieszkańców Hawany wobec obcokrajowców. Większość *habaneros* nawet nie zdaje

sobie sprawy z tego, że Carpentier wcale się w Hawanie nie urodził.

Akcja *Osaczenia* rozgrywa się w latach trzydziestych XX wieku, w czasie dyktatury Gerardo Machado, zaś głównym bohaterem tej powieści jest młody członek organizacji rewolucyjnej, który zdradził swych towarzyszy i jest przez nich ścigany po całej Hawanie, ponieważ wydali na niego wyrok śmierci. Jest to jedna z kilku powieści Carpentiera, które zainspirowały Kolumbijczyka Gabriela Garcíę Márqueza i innych pisarzy latynoamerykańskich, by zwrócić się w kierunku tego, co zyskało sobie potem nazwę realizmu magicznego. Niezależnie od zawartości pierwiastka magicznego w tej powieści jest ona pełna brutalnego realizmu, ponieważ jej akcja rozgrywa się na ulicach Hawany. Autorowi udało się uchwycić, jak to miasto wygląda, co czuje i – zwłaszcza – jaki ma zapach. Ale w tej powieści jest jednak mało wzmianek o kolorach miasta: „Mijał pstrokaciznę domów, gdzie barwa ochry sąsiadowała z kolorem popiołu, zieleń z fioletem, od bramy z połamanymi tarczami szedł do bramy brudnych rogów obfitości”[1]. I taka zawsze była Hawana – ozdobna, ale zaniedbana, trochę jak nieogolony mężczyzna w postrzępionym smokingu.

Być może fabuła tej książki, tak mocno kojarząca się z filmem *noir*, lub fakt, że jej akcja w większości rozgrywa się w nocy, sprawiają wrażenie, jakby powieściowy pościg odbywał się w czarno-białym mieście. Carpentier zdołał uchwycić prawdziwą istotę Hawany, kiedy pisał w książce *La ciudad de las columnas* [Miasto kolumn] z 1970 roku: „To miasto pogrążone w cieniach, stworzone do korzystania z cieni”. Hawana została zbudowana przez Europejczyków szukających cienia w upalnym kraju – stworzyli oni zacieniony świat.

W *Osaczeniu* ciemność sprawia, że wyostrza się węch. Hawana, podobnie jak wszystkie tropikalne miasta, spływa

potem i pełna jest słodkich, kwaśnych oraz gorzkich dławiących woni. Pomóc mogłaby częstsza wywózka śmieci, ale w mieście jest również wiele innych nieprzyjemnych zapachów. Carpentier pisał o „woniach ubogich kuchni". Pisał nawet o „zapachu nadgryzionych przez mole i myszy papierów"[2]. Przewertujcie stare, używane książki, z lekko naderwanymi stronami, na straganach Plaza de Armas, najstarszego placu miasta, a poczujecie ten zapach.

Żaden pisarz nie byłby w stanie tak szczegółowo opisać miasta, jak zrobił to Carpentier, nie kochając go przy tym za cały ten smród. Jak pisał Nelson Algren o Chicago: „Zanim zyskasz sobie prawo, żeby pomstować na jakąkolwiek melinę, musisz przez krótką chwilę ją kochać". *Osaczenie* Carpentiera to hołd złożony mrocznemu i brutalnemu miastu.

Jeszcze jeden obraz Hawany utrwalony w czerni i bieli stanowią fotografie Walkera Evansa. Carpentier wspomina nawet w *Osaczeniu* o jednej z nich. W 1932 lub 1933 roku Evans przybył na Kubę, otrzymawszy zlecenie zilustrowania książki zatytułowanej *The Crime of Cuba* [Przestępczość na Kubie], która ostatecznie nigdy się nie ukazała. W czasie trzech tygodni fotografowania, podczas których również dużo pił z Hemingwayem w hotelu Ambos Mundos („Papa" stawiał), Evans zrobił jednak swoje czarno-białe hawańskie arcydzieła. Zdjęcia nie mają co prawda tej siły w ukazaniu nędzy czasów wielkiego kryzysu, która wyziera z jego amerykańskich fotografii – są to po prostu ujęcia ulic pełnych ludzi starających się dobrze wyglądać w beznadziejnie zdewastowanym świecie.

Były również prawdziwe filmy *noir* o tym mieście, takie jak nakręcona w 1959 roku przez Carola Reeda czarno-biała adaptacja powieści *Nasz człowiek w Hawanie*, która ukazała się rok wcześniej. Fakt, że autor książki Graham Greene napisał również scenariusz, sprawia, iż jest to jeden z tych

rzadkich filmów, które jak najpełniej czerpią z powieści będącej jej pierwowzorem.

Jest to opowieść o brytyjskim sprzedawcy odkurzaczy, któremu udaje się przekonać służby wywiadowcze swego kraju, iż schematy budowy odkurzacza są w rzeczywistości planami tajnej broni ukrytej gdzieś w górach Kuby. Pragnie on otrzymać od służb pieniądze, za które będzie mógł wysłać swoją córkę do prywatnej szkoły w Szwajcarii. Można by sądzić, że ta historia jest zbyt komiczna na film *noir*. Fidel Castro, który pozwolił ekipie filmowej kręcić w Hawanie, narzekał, że ten obraz w zbyt korzystnym świetle ukazywał agentów tajnych służb Batisty. Lecz ta opowieść ma również swoją mroczną stronę: występuje w niej między innymi stosujący tortury funkcjonariusz policji, który posiada papierośnicę zrobioną z ludzkiej skóry. W filmie są także sceny zabijania ludzi na ulicy – dramatyczne błyski wystrzałów w ciemnościach. Książka Greene'a jest zasadniczo komedią, ale jak możemy w niej przeczytać: „Zawsze się znajdzie ktoś, kto podrzuci skórkę banana na scenę tragedii”[3].

Autor pierwotnie ulokował akcję swojej powieści w Estonii w roku 1938, ale uznał, że byłaby to zbyt mroczna sceneria dla komedii szpiegowskiej. Dlatego postanowił przenieść fabułę do „niesamowitej Hawany”, w sam środek „absurdów zimnej wojny”. „Któż bowiem uznałby przetrwanie zachodniego kapitalizmu za jakąś wielką sprawę?” – argumentował. Castro twierdził jednak, że jeśli było się Kubańczykiem, dyktatura Batisty nie była wcale zabawna. Mordercza kleptokracja, która blisko współpracowała z amerykańską mafią, z jednej strony oznaczała okropną nędzę, a z drugiej – wystawne bogactwo. Cudzoziemcy zapamiętali Hawanę z tamtych czasów jako swego rodzaju romantyczny burdel, gdzie piękni ludzie ubierali się elegancko i słuchali wspaniałej muzyki w słynnych klubach nocnych. Lecz dla *habaneros* rządy Batisty to czasy terroru, kiedy niewinni, a nawet bohaterscy ludzie byli bici,

włóczeni po ulicach oraz mordowani zarówno w biały dzień, jak i pod osłoną nocy.

Hawana, od dawna słynąca z „zabawy”, faktycznie jest usiana pamiątkami swej tragicznej i burzliwej historii. Na ulicach różnych dzielnic miasta znajdują się tablice upamiętniające miejsca śmierci ofiar reżimu Batisty. Są w niej miejsca, gdzie jeszcze w latach siedemdziesiątych XIX wieku stały baraki, w których przetrzymywano niewolników i pokazywano ich ku uciesze bogaczy. Jeden taki barak stał na skraju La Habana Vieja, a inny w miejscu, które kiedyś stanowiło zachodni skraj miasta, a obecnie znajduje się w jego centralnej dzielnicy Vedado. Przy malowniczych kamiennych fortyfikacjach u wejścia do portu znajdowały się kiedyś ośrodki prowadzone przez wojsko, gdzie właściciele mogli przyprowadzić swoich niewolników, aby wykwalifikowani eksperci pobili ich lub okaleczyli, podczas gdy niewzruszeni przechodnie słyszeli ich krzyki. Niedaleko zachodniego baraku znajdują się dawne kamieniołomy, w których można obejrzeć niewielki pomnik i tablicę upamiętniającą fakt, że José Martí, największy bohater w historii Kuby, jako nastoletni więzień polityczny Hiszpanów pracował tam skuty łańcuchem. Po uwolnieniu, deportowany do Hiszpanii, pisał w liście do ludu hiszpańskiego: „Nieskończony ból – bo ból uwięzienia jest najdotkliwszym, najbardziej druzgocącym bólem, mordującym umysł, palącym duszę, pozostawiającym ślady, które nigdy nie zostaną zmazane”.

Poniżej zamku El Morro znajdują się, będące ulubionym miejscem turystów, szesnastowieczne fortyfikacje fortecy La Cabaña, gdzie Che Guevara – człowiek o wyglądzie gwiazdora filmowego – urządził swój trybunał oraz rozstrzeliwał tak wielu ludzi, że Castro usunął go ze stanowiska i mianował prezesem banku narodowego. Natomiast po drugiej stronie wejścia do portu stoi zamek La Punta, gdzie w 1851 roku buntownik Narciso López został publicznie uduszony garotą.

W Hawanie każda plama światła ma swoją czarną kropkę.

Hawana jest gorąca, dlatego radzenie sobie z upałem zajmuje centralne miejsce w życiu miasta. „Upał to przeklęta zaraza, która ogarnia wszystko” – pisał Leonardo Padura Fuentes na początku swojej współczesnej powieści kryminalnej *Trans w Hawanie*. „Podobnie jak peleryna z czerwonego jedwabiu, dopasowana i ciasna, upał nadchodzi, by okryć ciała, drzewa i przedmioty, wprowadza w ich istnienie ciemną truciznę rozpaczy i śmierci, powolnej i nieuchronnej”. Główny bohater książki, porucznik policji Mario Conde, pyta: „*¿Pero cómo puede hacer tanto calor, coño?*”. To odwieczne hawańskie pytanie: „Skąd, kurwa, bierze się ten upał?”[4].

W grudniu znad morza napływa od strony Florydy chłodniejsze powietrze, wzbijające fale, które pienią się na Malecónie. W styczniu i lutym temperatura spada do bardzo przyjemnych dwudziestu czterech stopni Celsjusza i niektórzy uważają, że to najlepsza pora roku na odwiedzenie wyspy. Ale jeśli nie doświadczyłeś upału, to tak naprawdę nie doświadczyłeś Hawany.

Habaneros doskonale wiedzą, którymi ulicami chodzić – trzymają się tych leżących wzdłuż wybrzeża oceanu, żeby poczuć morską bryzę. Cień można znaleźć wszędzie; *habaneros* nigdy nie przebywają na słońcu, jeśli nie muszą. Lśnią od potu i dlatego właśnie są znani również z częstych kąpieli.

Hawana nie jest miastem dla ludzi wyczulonych na punkcie potu. Woń potu jest jednym z wielu wyróżniających się zapachów w przepełnionej wonnościami Hawanie i stanowi lejtmotyw w prawie całej literaturze hawańskiej. Pocą się bohaterowie wszystkich powieści kryminalnych Padury. Pocą się bohaterowie wielkiej klasycznej dziewiętnastowiecznej powieści Cirilo Villaverdego *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*.

Pot był przepisem na bezklasowość w mieście mocno podzielonym granicami klasowymi, bo przecież pocą się wszyscy. W *Osaczeniu*, w którym pot jest niemal jednym z głównych bohaterów, Carpentier opisuje, jak pociły się bogate, dobrze ubrane kobiety w teatrze: „Etole i futrzane kołnierze w tym upale dawały trochę wilgoci szyjom i dekoltom”[5]. Bogacze po prostu pocili się w lepszych ubraniach.

Większość czołowych postaci hawańskiej kultury przez jakiś czas swojego życia doświadczyła wygnania, które albo było przymusowe, albo narzucone samemu sobie. Ci *habaneros*, którzy opuszczają swoje miasto, rzadko pozbywają się nieznośnej tęsknoty za nim, ponieważ jest ono niepodobne do jakiegokolwiek innego miejsca na świecie.

Ludzie zdają się nieodwracalnie ulegać czarowi Hawany. Każdy, kto odwiedził to miasto – nie wspominając już o mieszkaniu w nim – nie zapomni go. Kuba ma historię, która jest niepodobna do historii jakiegokolwiek innego kraju, a zwłaszcza jakiejkolwiek innej byłej kolonii hiszpańskiej, zaś historia i kultura Hawany odróżniają stolicę od reszty Kuby.

Mieszkańcom Hawany trudno jest wyobrazić sobie resztę wyspy, nie wspominając o reszcie świata – jest to podejście, które może zrozumieć większość nowojorczyków i paryżan. Poza tym miastem dla *habaneros* nie ma prawdziwego życia.

Kuba jest wyspą, a ludzie w Hawanie mają skłonność do postrzegania swego miasta jako wyspy w wyspie. W zasadzie tak właśnie było. Aż do XIX wieku Hawana była bowiem miastem leżącym na końcu półwyspu oblewanego z trzech stron przez wody Zatoki Hawańskiej, a z czwartej – odgrodzonego murem, który biegł od wejścia do portu wzdłuż zachodniego skraju starego miasta aż do zatoki po drugiej stronie. Strona osłonięta murem stanowiła jedyne połączenie z lądem, w XVII wieku władze kolonialne zaproponowały wykopanie wzdłuż muru fosy, co uczyniłoby z Hawany wyspę w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Nie było to jednak konieczne. Począwszy od XVIII wieku, o godzinie dziewiątej wieczorem, zaraz po wystrzale z armaty w fortecy La Cabaña, zamykano bramy miejskie. W Hawanie można było spędzić całą noc poza domem. I wielu tak robiło. Ale po salwie armatniej nikt już nie mógł wejść do miasta ani go opuścić aż do rana. Dzisiaj nie ma już muru ani bram, ale armata przy wejściu do portu nadal strzela co wieczór o dziewiątej, obsługiwana przy akompaniamencie werbli przez oddział żołnierzy przebranych w osiemnastowieczne mundury – ma to przypominać mieszkańcom, że życie w Hawanie wciąż ma wyspiarski charakter.

Izolację Hawany rzadko postrzegano jako coś pozytywnego. Dla Dulce Maríi Loynaz, czołowej dwudziestowiecznej poetki hawańskiej, „*la isla*” było zawsze słowem, które zawierało w sobie samotność:

Otoczona ze wszytkich stron przez morze

Jestem wyspą, co chwyciła się łodygi wiatru

Nikt nie słyszy mego głosu, czy modlę się, czy krzyczę.

„*Nadie escucha mi voz si rezo o grito*”. „Nikt nie słyszy mego głosu, czy modlę się, czy krzyczę”. Być może dlatego, przez całą swą udręczoną historię, *habaneros* zawsze krzyczeli lub modlili się tak głośno. Na wyspie w wyspie trzeba się mocno postarać, żeby ktoś cię usłyszał.

A jednak – być może w ten sam przewrotny sposób, jak w przypadku widzów, którzy uważają filmy *noir* za romantyczne, nawet jeśli opowiadają smutne historie o nieszczęśliwych ludziach – Hawana, ze wszystkimi swoimi zapachami, potem, rozsypującymi się murami, izolacją i trudną historią, jest najbardziej romantycznym miastem na świecie. Napisano o niej niezliczone pieśni miłosne. To miasto zawsze oczarowuje.

1

Zmiana

Todo el mundo tiene una ciudad distinta en la cabeza.

Każdy ma w głowie inne miasto.

Edmundo Desnoes o Hawanie, *Memorias del subdesarrollo* (1965)

Rozbieżność opinii na temat Hawany jest bardzo duża po części dlatego, że w tym mieście niezgadzanie się ze sobą stanowi element obyczaju. Największa zgoda panuje jednak co do tego, że Hawana różni się od jakiegokolwiek innego miasta na Ziemi. Jak doszło do tego, że stolica Kuby stała się tak wyjątkowa (Kolumb twierdził nawet, że w miejscu zwanym Avan „mieszkańcy rodzą się z dwoma ogonami")?

Historycy nie są zgodni co do tego, które z powstań lub rewolt tak naprawdę ukształtowało miasto, ale prawda jest taka, że charakter nadały mu nieustające zmiany. To miejsce ma bowiem niezwykle bogatą historię przewrotów i wstrząsów. Zmiana jest tutaj jednym z fundamentalnych warunków życia.

Zacznijmy od tego, że Hawanę zakładano aż trzy razy, i to w trzech różnych miejscach.

Po tym, jak w 1492 roku Krzysztof Kolumb po raz pierwszy ujrzał Kubę i uznał tę wyspę za „najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziały ludzkie oczy", wysłał emisariusza na rozmowy z tubylcami, którzy, jak sądził, mieli być Chińczykami. Wśród jego załogi nie było nikogo, kto mówiłby po chińsku, więc wysłał kogoś, kto znał arabski – według Kolumba był to jakiś związek z Azją. Istnieją dowody na to, że Kolumb mógł podejrzewać, że nie dopłynął do Azji – nie jest więc jasne, dlaczego uznał, że człowiek mówiący po arabsku może mu w czymkolwiek pomóc.

O Tainach, pierwotnych mieszkańcach tego obszaru, wiadomo niewiele. Kiedy Kolumb ostatecznie stwierdził, że nie są to Chińczycy, zanotował w swym dzienniku, że tubylcy zdają się „dobrymi ludźmi”, doskonale nadającymi się na poddanych. Porwał więc kilku z nich, żeby zawieźć ich do Hiszpanii i pokazać swoim mecenasom.

W 1511 roku Hiszpanie wysłali na Kubę trzystu ludzi pod dowództwem Diego Velázqueza de Cuéllara – był to początek tego, co ówcześni Hiszpanie nazywali konkwistą, a co dziś nazywamy ludobójstwem. Niewielu Tainów przeżyło. Ich wódz Hatuey, którego imieniem nazwano później w Hawanie popularną markę piwa, został schwytany przez Hiszpanów i trafił na stos. Chociaż groziła mu okrutna śmierć, odmówił – jak twierdzi legenda – ujawnienia miejsca ukrycia złota. Najprawdopodobniej dlatego, że na wyspie żadnego złota nie było. Przed rozpaleniem stosu Hiszpanie zaproponowali Hatueyowi przyjęcie chrztu, mówiąc, że jeśli przyjmie chrześcijańskiego Boga, pójdzie do nieba. Hatuey spytał, czy chrześcijanie idą do nieba, zaś Hiszpanie zapewnili go, że tak. Ostatnie słowa wodza, zanim podpalono stos, brzmiały: „Jeśli chrześcijanie idą do nieba, to ja nie chcę tam iść”.

Podejrzewa się, iż ta często powtarzana historia nie jest prawdziwa, ponieważ pobrzmiewa w niej typowo hawańskie poczucie humoru. *Habaneros* uwielbiają opowieści wykpiwające ludzi u władzy, które zawsze zaczynają się lekką anegdotą, a kończą krótką i zjadliwą puentą. Opowieść o Hatueyu przypomina popularne na dzisiejszej Kubie dowcipy, których bohaterem jest niejaki „Pepito” i w których zazwyczaj pojawia się Fidel Castro, powszechnie nazywany tutaj „Fidelem”. Zaiste, legenda o śmierci Hatueya mogłaby być pierwszym z serii kawałów o Pepicie. A oto nieco świeższy przykład takiego dowcipu:

> Kiedy Castro próbował zapobiec przeludnieniu Hawany, zaproponował, aby nowych przybyszów z prowincji Oriente przesiedlić z powrotem tam, skąd

przybyli. Pepito zasugerował mu, że trzeba będzie podstawić trzysta autobusów i mercedesa.

„A ten mercedes to po co?” – spytał Castro.

„Dla ciebie, comandante”. (Castro pochodził z Oriente).

25 lipca 1514 roku Velázquez wysłał jednego ze swych adiutantów, Pánfilo de Narváeza, żeby założył miasto i nadał mu nazwę San Cristóbal, ponieważ wyprawę rozpoczęto w Dzień Świętego Krzysztofa. Jak pisze Bartolomé de Las Casas (pamiętany dzisiaj jako konkwistador, który później został duchownym i dokumentował ludobójstwo Indian), Pánfilo był potężnym, rudowłosym mężczyzną, który nawet wśród słynących z okrucieństwa konkwistadorów miał opinię wyjątkowego brutala, a na dodatek był niezwykle głupi. Wszystko wskazuje zatem na to, że Hawana została założona przez tępego zbira.

Pánfilo postanowił wybudować miasto w zachodniej części południowego (karaibskiego) wybrzeża wyspy. Najwyraźniej nie był na tyle dobrym żeglarzem – ostatecznie zaginął podczas wyprawy na Florydę – żeby zdawać sobie sprawę, iż korzystniejszą lokalizację stanowiło północne wybrzeże (atlantyckie). Założoną przez siebie osadę nazwał San Cristóbal de la Habana (Święty Krzysztof z Hawany) i najwyraźniej nikt nie wie, skąd się wzięła ta „Habana”. Podobno miejscowy wódz Tainów nazywał się Habaguanex, ale dlaczego Pánfilo miałby nazwać nowe miasto imieniem wodza ludu, który sam wymordował? Niektórzy twierdzą, że miejsce wybrane przez Pánfila było tym samym, które Kolumb nazywał Avan. To przypuszczenie opiera się wyłącznie na podobieństwie brzmieniowym obu nazw oraz na tym, że – według Kolumba – Avan miało znajdować się w zachodniej części wyspy. Dzisiaj tamtejszy port nosi nazwę Batabanó, jest to mała wioska nieodróżniająca się niczym od innych.

San Cristóbal de la Habana nie tylko założono na niewłaściwym wybrzeżu, lecz także ulokowano je niedaleko

bagien, stanowiących siedlisko nieznośnych, roznoszących choroby moskitów. Po kilku latach życia w ciężkich warunkach osadnicy przenieśli się o pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej na północ – do miejsca, które okazało się najwęższą częścią wyspy, na wybrzeże atlantyckie. Ale wciąż była to okolica, w której roiło się od moskitów. Tam założyli nowe San Cristóbal de la Habana – u ujścia rzeki, którą Tainowie nazywali Casiguagua, a która dzisiaj jest znana jako Almendares. Rzeka, niezwykle czysta, przez długie lata służyła jako główne ujęcie wody dla całej Hawany. Obecnie Almendares oddziela dwie eleganckie niegdyś dzielnice – starszą Vedado i młodszą Miramar. Trudno jednak powiedzieć, dlaczego osadnicy wybrali to właśnie miejsce. Tym bardziej że całkiem niedaleko znajdowała się doskonale osłonięta zatoka, ze wzniesieniem, które świetnie nadawało się do ewentualnej obrony osady. Miejsce to było znane pod nazwą Puerto de Carenas (Port Kilowania), ponieważ tam właśnie wyciągano statki na ląd i łatano ich kadłuby przy użyciu smoły, którą wydobywano na tym skalistym wybrzeżu.

W San Cristóbal de la Habana II osadników znowu nękały insekty oraz choroby. Wreszcie w roku 1519 postanowili się przenieść na wznoszące się nad zatoką w Puerto de Carenas wzgórze, w miejsce gdzie dziś znajduje się Plaza de Armas, najstarszy plac Hawany. W końcu się nauczyli, że żyjąc nad wodą, znacznie lepiej jest mieszkać na wzniesieniu. Oficjalna data założenia San Cristóbal de la Habana III to 16 listopada 1519 roku – nie dlatego, że tego dnia wydarzyło się coś szczególnego, ale dlatego, że papież przeniósł Dzień Świętego Krzysztofa z 25 lipca na 16 listopada. Według legendy tego dnia pod wielkim drzewem puchowca odprawiona została msza, w której wzięli udział kolonizatorzy. A po jakimś czasie wyrzucili oni świętego z nazwy swego miasta.

Pierwsze domy tej trzeciej Hawany były zwróconymi ku morzu, krytymi liśćmi prowizorycznymi lepiankami, z klepiskiem i ścianami z błota. Zatokę wkrótce zapełniły

galeony wyładowane przywożonymi z Meksyku i obu Ameryk łupami, które następnie wysyłano dalej do Hiszpanii. Pomimo całego bogactwa, jakie przez nią przepływało, Hawana nie była jednak miastem luksusów. Po młodej osadzie pełzało wtedy tak wiele żółwi i krabów, że po zmroku podobno słychać tam było głośne drapanie oraz szuranie – typowy hałas ówczesnej nocnej Hawany. W 1655 roku z angielskiego statku pirackiego wysłano zbrojny oddział, który miał napaść na miasto, ale po usłyszeniu w ciemnościach czegoś, co brzmiało jak przemarsz wielkiej armii, piraci wycofali się bez walki. Przepędziła ich armia żółwi.

Pierwsi *habaneros* zabijali żółwie, kroili je w paski, suszyli i robili z nich tasajo – według wszelkich relacji mało apetyczne danie, ale bardzo łatwe do przyrządzenia przez marynarzy płynących z powrotem do Hiszpanii, gdyż wystarczyło wrzucić tasajo do gotującej się wody. Suszony żółw miał najwidoczniej nieprzyjemny zapach (nie wspominając o jego gnijących resztkach) – z powodu nieznośnego odoru władze ostatecznie zakazały przygotowywania tasajo w granicach miasta.

Taka była młoda Hawana. Od tamtej pory miało być ich jeszcze wiele.

2

Znienawidzone morze

Odio el mar, sólo hermoso cuando gime.

Nienawidzę morza, pięknego tylko wtedy, gdy ryczy.

José Martí, *Odio el mar* (1882)

Dla odwiedzających Hawanę jednym z największych uroków tego miasta był od zawsze rozpościerający się niemal z każdego miejsca widok na lśniące, podzwrotnikowe morze z ciemną wstęgą Prądu Zatokowego na horyzoncie. Hemingway nie był jedynym cudzoziemcem, dla którego morze było główną atrakcją Hawany. Sami hawańczycy nie zawsze tak uważali.

Sto kilometrów na wschód od miasta znajduje się Varadero, jedna z najpiękniejszych plaż obu Ameryk. Ponad pięćdziesiąt hoteli czyni Varadero jednym z największych kurortów nadmorskich na Karaibach. Kiedy jako reporter podróżowałem na Kubę w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zarządzający programem mojego pobytu kubański urzędnik, popularnie zwany „treserem", zawsze próbował mnie przekonać do tego, abym kilka dni z mojej krótkiej wizyty roboczej spędził w Varadero. Pojechałem tam kilka razy, ale nigdy nie zostałem na dłużej – rzut oka wystarczał, by dostrzec, że nie ma tam żadnych Kubańczyków. Było to miejsce opanowane przez Kanadyjczyków i – zależnie od epoki – przybyszów z Europy Wschodniej lub Zachodniej. Przewodnik wydawnictwa Lonely Planet nazywa Varadero „awangardą najważniejszej gałęzi gospodarki na Kubie – turystyki".

Varadero nie budzi jednak wielkiej fascynacji wśród *habaneros*. Mieszkańcy Hawany nigdy nie przepadali za morzem, wyłączywszy nieliczną elitę, która spędzała wakacje

na plaży za rzeką Almendares, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się zachodnia część dzielnicy Miramar.

Współczesny powieściopisarz Abilio Estévez pisał: „W Hawanie zawsze bałem się morza. Od czasu, gdy wszystkie drogi w Hawanie zaczęły prowadzić do morza, prawie każda droga prowadzi mnie ku lękowi”.

Heberto Padilla, znany z wydanej w 1981 roku autobiograficznej powieści *En mi jardín pastan los héroes* [Bohaterowie pasą się w moim ogrodzie], pisał:

> Jeśli jest jakiś krajobraz, który naprawdę mnie odrzuca, to ten z okładki pierwszego hiszpańskiego wydania mojej książki *En mi jardín pastan los héroes* – jest na niej wymarzona plaża z drzewami palmowymi i luksusowym słońcem, widoczek z pocztówki, jaką turyści wysyłają do domu, wabik na ludzi Północy, którego nie jestem w stanie ścierpieć.

Ta awersja do morza nie jest niczym nowym wśród *habaneros*. W *Odio el mar* [Nienawidzę morza] wielki dziewiętnastowieczny poeta José Martí pisał: „Nienawidzę morza, ogromnego trupa, smutnego trupa, którego zamieszkują nienawistne stworzenia”.

Martí urodził się w rodzinie ubogich hiszpańskich imigrantów, mieszkających w niewielkim domu na skraju La Habana Vieja. Chociaż przeżył w Hawanie tylko pierwsze szesnaście lat swojego życia, zawsze czuł się *habanero*, bo tak dyktowały mu zarówno serce, jak i rozum. Jako cudowne dziecko, które bardzo wcześnie zaczęło malować oraz pisać, już w wieku szesnastu lat był znanym poetą z wieloma publikacjami na koncie. Był również żarliwym zwolennikiem ruchu na rzecz wyzwolenia Kuby spod panowania hiszpańskiego – jako szesnastolatek zaczął wydawać gazetę „La Patria Libre”, poświęconą sprawie kubańskiej niepodległości, za co został aresztowany i w końcu deportowany z kraju.

Martí, podobnie jak wielu *habaneros* przed nim i po nim, był wygnańcem, który tęsknił za ojczyzną. Dla *habaneros*

walka zawsze oznaczała pozostanie w domu. Nie wygnanie, nie wyjazd, ale pozostanie w tym wyjątkowym miejscu było triumfem – chociaż był to triumf zabarwiony smutkiem. Każdego dnia *habaneros* mijają opuszczone mieszkania i domy swoich przyjaciół oraz bliskich, którzy udali się za morze, „a ty zostajesz sam, jeszcze bardziej zagubiony niż rozbitek pośrodku Prądu Zatokowego”, jak pisał Pedro Juan Gutiérrez, kronikarz współczesnej Hawany. Nawet dumni *habaneros* wpatrują się w morze, myśląc o kimś, kto jest daleko.

Postać wpatrująca się w morze to najbardziej znany symbol Hawany. Giraldilla to metalowa rzeźba stojąca na szczycie wieży zamku Castillo de la Real Fuerza, który strzeże La Habana Vieja od strony morza. Posąg ten w rzeczywistości jest kopią, autentyk jest zabezpieczony w muzeum na pobliskim Plaza de Armas, ale i ta rzeźba z 1634 roku wydaje się kopią innej, znajdującej się w Sewilli.

Legenda głosi, że rzeźba przedstawia Inés de Bobadillę, jedyną kobietę, która sprawowała władzę nad Hawaną. Przejęła ją po swoim mężu Hernando de Soto, który wyruszył badać Florydę. Nigdy nie otrzymała potwierdzenia jego śmierci i latami wpatrywała się w morze, szukając wzrokiem statku, na którym miałby powrócić. Jest to doskonały symbol tego miasta nie tylko dlatego, że przedstawia kobietę, a Hawana słynie przecież z kobiet, lecz także dlatego, że wpatruje się ona posępnie w morze w kierunku Florydy, czekając na ukochanego, który zniknął.

To poczucie straty jest wyczuwalne we wszystkich wielkich miastach Karaibów. Ale w Hawanie dochodzi do niego również strach przed przybyszami. W zakończeniu *Odio el mar* Martí wyjaśnia, że ważniejsi od tych, którzy odpłynęli, są ci, którzy przypłynęli:

Nienawidzę morza, co bez gniewu dźwiga

Na swych uczynnych plecach statek,

Który przywozi tyrana z muzyką i kwiatami.

Nieszczęścia Hawany zawsze przychodzą od strony morza.

Przez dwa pierwsze stulecia głównym problemem Hawany było to, że przez długi czas pilnowała ogromnych hiszpańskich skarbów. Morze Karaibskie było akwenem piratów i pracujących dla obcych rządów korsarzy, których zwabiły tu złoto i inne kosztowności, jakie Hiszpanie wywozili z Meksyku i Ameryki Południowej, składowali w Hawanie, a następnie wysyłali morzem do Sewilli. Kosztowności, które w 1503 roku przywieziono do Hiszpanii, a które uprzednio przeładowano w Hawanie, szacowano na osiem tysięcy hiszpańskich dukatów w złocie.

Z roku na rok rosła ilość oraz wartość łupów wywożonych z Ameryki – w roku 1518 skarb wysłany z Hawany do Hiszpanii był już wart sto dwadzieścia tysięcy dukatów. Hiszpańskie galeony, które jak na tamte czasy były ogromnymi okrętami, ustawione w szeregu przy nabrzeżach zapełniały niemal całą Zatokę Hawańską. Załadunek i wyładunek tego skarbu na statki i ze statków odbywały się na oczach ubogich mieszkańców małej wioski. Przypominało to noszenie błyszczącej biżuterii w złej dzielnicy.

Marynarze przewożący kosztowności regularnie pojawiali się w osadzie i wywierali na nią trwały wpływ. Na marynarzach można było zarobić – przez długie stulecia Hawana była znana ze swych barów i tawern, z hazardu i prostytucji.

W XVI wieku Hawana miała mniej niż trzystu mieszkańców i kilka wąskich uliczek z drewnianymi domami, ozdabianymi niekiedy kafelkami. Ulice nosiły prozaiczne, pragmatyczne nazwy, które pozostają w użytku do dzisiaj. Niektóre nazwano od pełnionych przez nie funkcji: ta, przy której kupcy zakładali sklepy, zwała się Calle Mercaderes. Calle Basurero – „ulica Śmietniskowa” – bez wątpienia niecieszą się popularnością w tamtych czasach, szczęśliwie

utraciła swą dawną funkcję oraz nazwę i obecnie zwie się Calle Teniente Rey, na cześć porucznika wojsk lądowych. Pierwsza ulica brukowana kocimi łbami nazywała się Calle Empedrado, co znaczy właśnie „ulica Brukowana". Calle Aguacate zyskała nazwę od wielkiego drzewa awokado, które przy niej rosło. Na Calle Damas młode kobiety – *las damas* – zazwyczaj przesiadywały na balkonach. Urząd inkwizycji mieścił się przy Calle Inquisidor. Calle Obispo – „ulica Biskupia" – była w połowie XVI wieku ulubionym miejscem przechadzek biskupa Pedro Morello de Santa Cruz. Z kolei pewien mieszkaniec innej ulicy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę trzymał zapaloną lampę, żeby oddać cześć świętym, przez co ulicę nazwano Calle Lamparilla.

Żeglarze przypływający do Hawany opowiadali mieszkańcom historie o bezlitosnych piratach, którzy rabowali, palili i zabijali, hawańczycy zaś drżeli ze strachu za każdym razem, gdy w pobliżu wybrzeża pojawiał się jakiś obcy okręt. W rzeczywistości niektórzy spośród tych żeglarzy sami byli piratami, wysłanymi do miasta, by zorientować się w jego układzie i systemie obrony oraz dowiedzieć się, gdzie składowano skarby.

W 1538 roku do portu wpłynął obcy statek, którego załoga mówiła po francusku. Słysząc francuską mowę rozbrzmiewającą na ulicach ich miasta, *habaneros* zamykali się w domach na cztery spusty. Marynarzami okazali się w istocie francuscy piraci, którzy wkrótce podpalili kilka budynków. Drewniane domy, kryte dachami z liści palmowych, szybko zajęły się ogniem. Mieszkańcy, zdając sobie sprawę, że piraci mogą bez trudu puścić z dymem całe miasto, uzbierali sześćset dukatów, co najwyraźniej usatysfakcjonowało Francuzów, którzy zaraz odpłynęli.

Niedługo potem nadpłynęły trzy okręty hiszpańskie. *Habaneros* nalegali, by ruszyły one w pościg za francuskimi piratami. Hiszpanie odnaleźli ich w pobliskim przesmyku.

Pierwszy z hiszpańskich okrętów wpłynął jednak na mieliznę i cała załoga opuściła pokład. Zobaczywszy to, dowódcy pozostałych statków dali sygnał do ucieczki. To doprowadziło piratów do przekonania, że Hawana pozostała bez obrony, i postanowili tam wrócić. Mieszkańcy zaoferowali im kolejne sześćset dukatów, ale tym razem piratom nie śpieszyło się z wyjazdem. Plądrowali miasto przez piętnaście dni, zabierając wszystkie wartościowe rzeczy, jakie tylko udało im się znaleźć, włącznie z dzwonami kościelnymi.

Po tych wydarzeniach Hiszpanie postanowili ufortyfikować miasto, budując zamek przy wejściu do portu. Kolejny statek piracki – tym razem angielski – przybił jednak do brzegu nieco dalej i jego załoga ominęła fortyfikacje, atakując miasto od strony lądu. Mieszkańcy uciekli, kryjąc się w gęstwinie, podczas gdy ich domy były plądrowane.

Takie napaści stały się normą w Hawanie. W miarę jak budowano nowe ulice, nadal musiały być one wąskie, ponieważ dzięki temu lepiej nadawały się do obrony. Każdy mężczyzna mieszkający w Hawanie musiał przez cały czas nosić przy sobie szpadę.

W lipcu 1555 roku do Hawany przypłynął francuski pirat Jacques de Sores. Jego sława była tak wielka, że królowa Anglii Elżbieta rywalizowała z królem francuskim Franciszkiem, starając się pozyskać go do swojej służby. Historycy nie są zgodni co do liczby okrętów, które miał pod swoją komendą. Niektórzy twierdzą, że tylko dwa, inni – że aż dwadzieścia.

Zdobycie Hawany zajęło jego piratom około pół godziny. Gubernator Gonzalo Pérez de Angulo, zabrawszy ze sobą rodzinę i dobytek, uciekł pośpiesznie na drugą stronę zatoki, gdzie obecnie znajduje się wschodnia część Hawany z dzielnicą Guanabacoa. Lecz Juan de Lobera, dowódca hawańskiego fortu, pozostał na posterunku i zebrał oddział ochotników do obrony swojej placówki. Było ich szesnastu –

kilku Hiszpanów, kilku Afrykanów, a nawet paru Tainów. Już wtedy *habaneros* mieli różne kolory skóry.

Obrońcy utrzymali się, oblężeni w twierdzy, nie pozwalając statkom wpłynąć do portu. Udało im się nawet zestrzelić francuską flagę. Kiedy de Sores podpalił fort, w końcu się poddali. Walczyli tak zaciekle, że de Sores był przekonany, iż strzegli wielkiej fortuny ukrytej w twierdzy. Piraci znaleźli jednak w środku jedynie osobiste rzeczy gubernatora, niewielką ilość gotówki i należący do jego żony pierścionek ze szmaragdem. Wszystko oczywiście zabrali.

Przeszukali miasto, lecz nic w nim nie znaleźli. Sławny skarb nie był bowiem przechowywany w samej Hawanie, ale na należących do hiszpańskiej floty statkach, których nie było wtedy w porcie. Piraci próbowali wymusić okup od mieszkańców miasta – bezskutecznie. W końcu poderżnęli gardła niektórym spośród wziętych przez siebie zakładników, spalili doszczętnie miasto, podpalili statki stojące w zatoce, a nawet spustoszyli okoliczne wsie. I odpłynęli, zamieniwszy Hawanę w skrawek spalonej ziemi nad brzegiem morza, z nielicznymi ocalałymi mieszkańcami krztuszącymi się od dymu wśród tlących się zgliszczy.

Z miasteczka pozostało niewiele, ale jego mieszkańcy przystąpili do odbudowy. Zanim jednak zdążyli odbudować miasto, przypłynął kolejny francuski pirat i ponownie je spalił. Po tym wydarzeniu Hiszpanie uznali, iż po zachodniej stronie wejścia do portu należy wybudować wielką fortecę z kamienia – Castillo de la Real Fuerza. Do pracy przy tym projekcie król Filip II wysłał swojego czołowego inżyniera wojskowego Bartolomé Sáncheza oraz czterdziestu kamieniarzy. Wszystkie hiszpańskie kolonie wspomogły finansowo to przedsięwzięcie, chcąc, by twierdza chroniła ich towary. Brakowało jednak siły roboczej.

Pięćdziesiąt lat wcześniej Hiszpanie zaczęli sprowadzać na Kubę afrykańskich niewolników, głównie do pracy na roli.

Władze skierowały ich do tymczasowej pomocy przy budowie fortecy, co gwałtownie zaburzyło produkcję rolną i skutkowało brakiem żywności. Utrudniło to nawet zaprowiantowanie załóg okrętowych. W tej sytuacji nakazano, by wszyscy czarnoskórzy, którzy chwilowo uzyskali wolność i przenieśli się do Hawany, żeby uciec przed harówką w polu, stawili się do pracy, gdyż w przeciwnym razie otrzymają po sto batów. Najwyraźniej wolność była wtedy wartością względną.

Forteca została ostatecznie ukończona w 1582 roku.

W 1589 roku, aby dodatkowo zwiększyć bezpieczeństwo, wybudowano wieżę i fortecę również po wschodniej stronie wejścia do portu. W tym miejscu znajdowało się wzniesienie, które wykorzystywano do ostrzegania przed zbliżającymi się statkami. Wzniesioną tam twierdzę nazwano Castillo de los Tres Reyes Magos del Morro, czyli Zamkiem Trzech Króli na Skałce, ale obecnie nazywa się go zazwyczaj po prostu El Morro, czyli „Skałka”. Kolejna forteca, La Punta, została wybudowana dokładnie naprzeciwko El Morro, na samym krańcu zachodniego wejścia do portu, powyżej Castillo de la Real Fuerza. Wejścia do portu od tej pory strzegły aż trzy twierdze.

Mimo to piratów pojawiało się coraz więcej. Dlatego każdej nocy w poprzek wejścia do portu rozpinano między dwiema fortecami wielki żelazny łańcuch z drewnianymi belkami w celu uniemożliwienia wpłynięcia do portu jakiegokolwiek statku.

A jednak piraci nadal przypływali. Na wybrzeżu wybudowano dwa kolejne forty. W 1674 roku rozpoczęto budowę muru wokół miasta, ale potrzeba było jeszcze stu lat, żeby całkowicie otoczyć nim Hawanę. Ukończony mur był gruby na półtora metra i wysoki na jedenaście metrów. Miał dziewięć bram, które zamykano na noc. Lecz nawet z fortecami, murem, bramami i łańcuchem blokującym wejście

do portu ci, którzy wpatrywali się w morze, byli niemal pewni, że kolejne kłopoty to tylko kwestia czasu.

Dawna Hawana była kiepsko utrzymanym miastem. Ulice były brudne i równie często chodziło się tam po błocie, co po bruku. Plaza de la Catedral, jeden z pięciu głównych placów La Habana Vieja, został zbudowany w nisko położonym i kiepsko osuszonym miejscu, zamieniającym się po każdym deszczu w wielką kałużę. Najwyraźniej hawańskie poczucie humoru było już wtedy w pełni rozwinięte, ponieważ ten majestatyczny plac nazywano żartobliwie Plazuela de la Ciénaga – „placyk Błota".

Hiszpanie na stolicę Kuby wybrali początkowo Santiago, położone we wschodniej części wyspy, a więc bliżej Hiszpanii. Tam też wybudowano główny port. Jednak każdy wypływający z tego portu musiał płynąć najpierw wzdłuż wybrzeża aż do Guantánamo, a potem przedzierać się przez zdradziecką Cieśninę Zawietrzną (obecnie Cieśninę Wiatrów) między Kubą i Haiti, żeby w końcu wypłynąć na Atlantyk. Natomiast w Hawanie wystarczyło, że statek wyszedł z portu, i już był na oceanie. Począwszy od XVI wieku, handel atlantycki stał się głównym filarem handlu międzynarodowego. Kubański eksport był w tamtym czasie ściśle powiązany z hodowlą bydła – handlowano głównie wołowiną i garbowaną skórą. Autor powieści historycznych Antonio Benítez Rojo trafnie nazwał garbowaną skórę „plastikiem swoich czasów". Skóra była wszechobecna. Prawie wszystko miało w sobie elementy skórzane. Bujne, podzwrotnikowe pastwiska wschodniej Kuby dostarczały skóry bydlęce grubsze, bardziej błyszczące i znacznie lepszej jakości od skór bydła europejskiego. Garbowane skóry wysyłano głównie z Hawany, ale to Santiago i jego zamożne prowincje wschodnie rozwijały się najszybciej, podczas gdy Hawana i jej okolice pozostawały zaściankiem.

Polityczny i gospodarczy środek ciężkości wyspy zaczął się jednak przesuwać pod koniec XVI wieku, gdy cukier, postrzegany wcześniej jako używka dla garstki bogaczy w Europie, stał się obsesją mieszkańców Starego Kontynentu. Produkcja cukru, mimo że była uzależniona od kosztownej pracy afrykańskich niewolników, stała się bardziej dochodowa od handlu skórami. A większość plantacji trzciny cukrowej mieściła się na zachodzie wyspy, wokół Hawany.

Pod koniec XVI wieku monarchia hiszpańska nadała San Cristóbal de la Habana – portowi pełnemu występku, błota i smrodu – status miasta, przy czym był to raczej wyraz uznania dla potencjału tego miejsca niż odzwierciedlenie rzeczywistości. W 1607 roku kolonialna stolica Kuby została przeniesiona z Santiago do Hawany.

Hawana rozwijała się jako port handlowy. Pod koniec XVIII wieku wysyłała cukier, skóry i tytoń – dodawszy nową woń do swych niesławnych zapachów – oraz zaspokajała ogromne międzynarodowe zapotrzebowanie na twarde kubańskie drewno podzwrotnikowe. Na Kubę sprowadzano coraz więcej niewolników z Afryki, by wszystkie te dochodowe towary, zwłaszcza cukier, wytwarzać jak najtaniej.

Kiedy w 1723 roku w Hawanie wybudowano stocznię, miasto stało się również ważnym ośrodkiem budowy statków. Między rokiem 1724 a 1796 zwodowano tam sto czternaście hiszpańskich jednostek. Ogromny popyt na statki zbudowane w Hawanie wynikał z faktu, że kubańskie drewno miało o wiele lepszą opinię od europejskiego.

Pod koniec XVIII wieku życie mieszkańców Hawany miało znacznie mniej egalitarny charakter niż sto lat wcześniej. Majętni kubańscy osadnicy, którzy wybudowali wytworne posiadłości, ogłaszali się potomkami konkwistadorów, nadając sobie tytuły, częstokroć fikcyjne, z dołączonymi nazwami kubańskich miast oraz prowincji.

W ówczesnej Hawanie było kilka dużych murowanych kościołów, a wąskie uliczki zabudowane były solidnymi domami o kamiennych murach i dachach krytych dachówką. Hawańscy architekci, podobnie jak projektanci większości miast Ameryki Łacińskiej, pochodzili z Andaluzji, która przez osiem wieków znajdowała się pod panowaniem muzułmanów, zanim w 1492 roku nie przegnali ich stamtąd chrześcijanie. Pełna wpływów arabskich architektura zapożyczona z południa Hiszpanii była projektowana z myślą o gorącym klimacie.

Domy projektowane przez Andaluzyjczyków charakteryzowały się wielkimi, ozdobnie rzeźbionymi w drewnie drzwiami. Wnętrza były ciemne, z nielicznymi oknami wpuszczającymi do środka gorące światło słoneczne. Niewielka ilość światła była dodatkowo rozpraszana przez barwione na ciemne kolory szybki o półkolistych kształtach, które znajdowały się nad drzwiami lub oknami.

W centrum każdego domu znajdowało się wyłożone kafelkami odkryte patio ze starannie pielęgnowanymi kwiatami, winoroślami oraz doniczkowymi palmami. Przyjęcia i większość wydarzeń towarzyskich odbywały się właśnie na patio, które było najchłodniejszym miejscem w całym domu.

Nowe domy były zazwyczaj dwukondygnacyjne. Parter wykorzystywano do składowania różnych rzeczy, czasami mieścił się tam również przynajmniej jeden sklep. Na parterze znajdowały się także kwatery niewolników. Właściciele mieszkali na piętrze, z wychodzącymi na ulicę balkonami oraz galerią – zadaszonym balkonem nad patio.

W połowie XVIII wieku, kiedy miasto miało już trzy fortece, mur oraz solidne domy, które nie paliły się tak łatwo, wyglądało na to, że *habaneros* mogą czuć się bezpiecznie. Hiszpanie utrzymywali w mieście silny garnizon wojskowy. Na Plaza de Armas urzędował gubernator generalny, który

sprawował rządy z Palacio de los Capitanes Generales, gdzie zasiadał w udrapowanej na czerwono „sali tronowej” z wysokim sufitem. A mieszkańcy wiedli dostatnie życie, które zawdzięczali ruchliwemu portowi.

Lecz oto 7 czerwca 1762 roku liczący ponad tysiąc stu ludzi brytyjski desant wylądował w Cojímar, małym porcie leżącym kilka kilometrów na wschód od Hawany. Komodor Augustus Keppel, wymachując kapeluszem, zgromadził swoich ludzi i obiecał im owocną grabież, rzucając przy tym dla zachęty: „[po zajęciu] owego miasta […] będziemy wszyscy bogaci jak Żydzi!”. Po kilku tygodniach zaciekłych walk oblegający miasto otrzymali posiłki z Ameryki Północnej, w tym oddziały, które za kilka lat staną do walki przeciwko Brytyjczykom o niepodległość Stanów Zjednoczonych. 13 sierpnia Hiszpanie poddali Hawanę.

Dla *habaneros* były to przerażające doświadczenie i gorzka klęska, tragiczna katastrofa. Żołnierzy brytyjskich przezwali *mameyes*, od tropikalnego owocu o czerwonym miąższu. Do dzisiaj sądne chwile – gdy rozzłoszczona żona wraca do domu albo szef wzywa kogoś na dywanik – nazywa się w Hawanie „godziną *mameyes*” (*la hora de los mameyes*).

Pamięć o Brytyjczykach w Hawanie pozostała, ale oni sami już nie. W czasie dwumiesięcznego oblężenia Hiszpanie wyładowali swoje skarby ze statków na brzeg, pozostawiając brytyjskim żołnierzom niewiele do zrabowania. Londyn zresztą tak naprawdę nie interesował się Hawaną; to była tylko karta przetargowa w negocjacjach pokojowych. Niecały rok później, w lipcu 1763 roku, ostatni *mameyes* załadowali się na statki, a Hawana została zwrócona Hiszpanii. Zgodnie z warunkami pokoju paryskiego – podpisanego kilka miesięcy wcześniej przez Wielką Brytanię, Hiszpanię i Francję – monarchia hiszpańska odzyskała Hawanę w zamian za Florydę, która stała się kolonią brytyjską. William Pitt Starszy, który zarówno wcześniej, jak i później był premierem Wielkiej

Brytanii, przekonywał, że był to kiepski interes. Do dzisiaj jest to sprawa dyskusyjna.

3

Widmo Czarnego Miasta

> *„¡Acabar con los negros!” repitió D. Candido fingiendo sorpresa. „No hará tal, por la sencilla razón de que de ellos está llena el Africa”.*
>
> „Wykańczać Murzynów!”, powtórzył don Candido, udając zdziwienie. „Nie byłoby to wcale takie złe z tej prostej przyczyny, że Afryka jest ich pełna”[6].
>
> Cirilo Villaverde, *Cecylia Valdés* (1882)

Tym, co ukształtowało i zdefiniowało Kubę oraz Hawanę, a jednak uczyniło je różnymi od siebie, było niewolnictwo. Niekiedy sugerowano, że wpływ niewolnictwa na współczesną Kubę jest wyolbrzymiany, ale jest ono tak głęboko osadzone w tożsamości zarówno Hawany, jak i Kuby oraz ma dla nich tak fundamentalne znaczenie, że tej kwestii nie da się wyolbrzymić.

Niewolnictwo trwało na Kubie dłużej niż gdziekolwiek indziej w obu Amerykach[7]. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem ten kraj na początku lat osiemdziesiątych XX wieku, nadal można było spotkać Kubańczyków, którzy pamiętali jeszcze swoich dziadków urodzonych w Afryce. Niewolnictwo na Kubie zostało zniesione hiszpańskim dekretem królewskim z 7 października 1886 roku. To oznacza, że kiedy 1 stycznia 1959 roku Fidel Castro doszedł do władzy, w jego kraju niewolnictwa nie było raptem od siedemdziesięciu dwóch lat. Kuba oderwała się od swej kolonialnej macierzy ledwie sześćdziesiąt lat przed rewolucją. Właściciele niewolników byli przeciwni niepodległości Kuby, zaś ich wnuki stanowiły znaczną część bogatej oligarchii, która początkowo sprzeciwiała się rewolucji Fidela Castro.

Handel afrykańskimi niewolnikami w obu Amerykach zapoczątkowali Hiszpanie. Uważa się, że ten proceder rozpoczął w Santo Domingo w 1505 roku syn Krzysztofa

Kolumba, Diego, ale według niektórych źródeł Afrykanów zaczęto sprowadzać do Nowego Świata już w 1501 roku. W roku 1513 Amador de Lares, bogaty właściciel ziemski na Kubie, otrzymał pozwolenie na sprowadzenie czterech afrykańskich niewolników z pobliskiej Hispanioli (obecnie Haiti, wyspa podzielona między dwa państwa: Republikę Dominikany i Haiti). Jego prośba w tej sprawie stanowi najstarsze udokumentowane poświadczenie niewolnictwa na Kubie. Hiszpańska Hispaniola i hiszpańska Kuba były pierwszymi koloniami z afrykańskimi niewolnikami w obu Amerykach, lecz na tej pierwszej niewolnictwo zostało zniesione już w 1822 roku – znacznie wcześniej niż na Kubie.

W 1533 roku w kopalni w Jobabo we wschodniej części wyspy wybuchło pierwsze powstanie niewolników na Kubie. Hiszpanie ścięli buntowników i wystawili ich głowy na widok publiczny.

Biali obawiali się Afrykanów, dlatego wymuszali posłuszeństwo za pomocą strachu. Poza rebeliantami najgorszy los spotykał zbiegów – mimo to ucieczki zdarzały się regularnie. Listy nazwisk uciekinierów ukazywały się w hawańskich gazetach w rubryce *esclavos prófugos* (zbiegli niewolnicy). Schwytani uciekinierzy byli okaleczani i zamęczani niemalże na śmierć – woleli więc sami się zabić niż dać się złapać żywcem. Niekiedy udawało im się powiesić lub otruć. Czasami wystarczyło zjeść wystarczająco dużo ziemi. Jak podają ówczesne źródła, zdarzało się, że schwytani zbiegowie, nie znalazłszy innego sposobu na szybką śmierć, dławili się, połykając własne języki. Wśród niewolników powszechne było przekonanie, że po śmierci ich dusze zostaną zabrane z powrotem do Afryki, gdzie na powrót osiągną wolność.

Im gorzej byli traktowani niewolnicy, tym bardziej się buntowali, a biali odczuwali przed nimi coraz większy strach, więc traktowali ich jeszcze okrutniej. Biali byli przekonani, że

niewolnicy to prymitywne stworzenia, które ich nienawidzą, więc trzeba je kontrolować wyłącznie za pomocą strachu. José Martí, który był orędownikiem zniesienia niewolnictwa, napisał kiedyś: „Tylko ci, którzy nienawidzą Murzyna, widzą w Murzynie nienawiść”.

Mimo że była jedną z pierwszych kolonii niewolniczych, Kuba – w momencie gdy Brytyjczycy zdobyli Hawanę – miała stosunkowo niewielką populację niewolników w porównaniu z innymi koloniami karaibskimi, takimi jak Haiti czy Jamajka. To właśnie Brytyjczycy uczynili z Hawany wielki ośrodek handlu niewolnikami. Najpierw sprowadzili tysiąc dwustu niewolników do pomocy przy oblężeniu miasta, a po jego zajęciu sprzedali ich na specjalnie urządzonym do tego celu targu. W ten sposób, chociaż niewolnicza siła robocza była wykorzystywana na Kubie głównie poza stolicą, w regionach rolniczych, handel niewolnikami odbywał się w Hawanie.

Na początku XIX wieku, kiedy miasto było znów pod silną kontrolą Hiszpanów, generowało ogromne bogactwa. Nie były to już jednak skarby wysyłane z Ameryki Łacińskiej do Europy, ale zyski z handlu niewolnikami i coraz bardziej dochodowego handlu cukrem. Im większy był rynek cukru, tym więcej cukru produkowano, a w konsekwencji – tym więcej niewolników było potrzebnych do pracy na plantacjach. Zgodnie z najczęściej przyjmowanymi szacunkami sześćdziesiąt pięć procent niewolników na Kubie pracowało przy produkcji cukru, zaś kolejne piętnaście procent przy innej produkcji rolnej.

Niewolnicy nie posiadali niczego. Wydawano im prymitywną odzież. W czasie żniw pracowali codziennie po szesnaście godzin. Wielu umierało z wyczerpania, ale ich właściciele uważali, że taniej jest kupić nowych niewolników niż dbać o tych, których kupili wcześniej.

Właściciele niewolników mieszkali w ekstrawaganckich posiadłościach, które do dzisiaj można zobaczyć w La Habana

Vieja – niektóre z nich były tak duże, że zamieniono je w hotele. Zmartwieniem bogaczy były luksusy, biżuteria i to, jak się ubrać, idąc na bal lub do teatru. Chadzano na koncerty i przedstawienia operowe, wśród których było również kilka stworzonych przez kompozytorów oraz wybitnych muzyków urodzonych w Hawanie. Biali *habaneros* cieszyli się jednym z najwyższych standardów życia wśród obywateli amerykańskich krajów. Ich życie było pełne europejskich luksusów oraz amerykańskiej technologii. Potrzeby przemysłu cukrowniczego sprawiły, że Kuba – jeszcze przed Hiszpanią – miała sieć kolejową, zbudowaną z pomocą amerykańskich inżynierów.

Liczba czarnoskórej ludności – zarówno niewolników, jak i ludzi wolnych – w ciągu XIX wieku ogromnie wzrosła. W 1790 roku Kuba miała 153 559 białych mieszkańców, 64 590 niewolników i 54 151 „wolnych kolorowych". W 1869 roku na wyspie żyło już 763 176 białych, 363 286 niewolników i 238 927 „wolnych kolorowych".

W hawańskim porcie wyładowywano ze statków niewolników, a ładowano na nie cukier i tytoń. Afrykanów umieszczano w barakach, które były dogodnie zlokalizowane – jeden w mieście i jeden w lesie, nieopodal parków oraz podmiejskich terenów rekreacyjnych. Pociąg wjeżdżający do Hawany mijał ten leśny barak, a podróżni mogli dla rozrywki oglądać przez okna trzymanych w klatkach niewolników. Ponieważ Afrykanie nigdy wcześniej nie widzieli pociągu, często byli przerażeni i wymachiwali rękami w sposób, który pasażerom wydawał się zabawny. Rodziny urządzały sobie przejażdżki karetami, żeby obejrzeć uwięzionych niewolników.

Niewolnictwo ujawniało barbarzyństwo ukryte za fasadą dobrych manier. Dni targowe nie nadawały się na rodzinne wycieczki. Potencjalni nabywcy czekali za zamkniętymi drzwiami, nasłuchując zawodzenia i jęków po drugiej stronie.

W końcu drzwi się otwierały i mężczyźni łokciami torowali sobie drogę do środka, starając się złapać tylu „wybranych” – w większości nagich mężczyzn – ilu tylko byli w stanie objąć własnymi rękami lub związać sznurem.

Osobliwość hiszpańskiego prawa, która wywarła wielki wpływ na Hawanę, polegała na tym, że niewolnicy mieli możliwość wykupienia sobie wolności. Każdy niewolnik miał ustaloną cenę i mógł się wykupić za jednorazową opłatą albo w ratach, stając się w ten sposób na jakiś czas współwłaścicielem samego siebie. Był to przywilej gwarantowany przez obowiązujące prawo.

Oczywiście „przywilej” to w tym przypadku raczej mętne pojęcie. Żeby kupić sobie wolność, niewolnik musiał mieć pieniądze, do czego nie był przecież uprawniony. Niewolnicy z pól trzciny cukrowej mieli niewielkie szanse na to, żeby zarobić jakieś pieniądze, ale niewolnicy w Hawanie (gdzie – w odróżnieniu od niewolników pracujących na plantacjach – większość stanowiły kobiety pracujące w stołecznych rezydencjach) mieli już pod tym względem o wiele większe możliwości. Mogli bowiem trudnić się handlem. Był to handel różnego rodzaju – od prowadzenia małych sklepików aż po sprzedawanie własnych wdzięków. Tłumaczy to poniekąd sposób, w jaki Hawana stała się centrum prostytucji na Kubie.

W rezultacie między Hawaną a resztą Kuby wykształciły się trzy bardzo ważne różnice. Stolica miała znacznie więcej wyzwolonych czarnych niż jakakolwiek inna część wyspy. Miała również więcej kobiet. I miała znacznie więcej ludzi mieszanych rasowo i uważanych za egzotycznych – zwłaszcza kobiet, które nazywano „*las mulatas*”.

Gospodarka miasta opierała się na pracy czarnoskórych wyzwoleńców – kucharzy, krawców, praczek i stolarzy. Ale również najważniejsze gałęzi przemysłu hawańskiego, takie jak budowa statków i produkcja cygar, były uzależnione od pracy wolnych Murzynów. Pod koniec XVIII i w XIX wieku,

kiedy wytwarzanie cygar uległo mechanizacji, zaś wysoka jakość cygar hawańskich stała się znana w Europie i Ameryce Północnej, większość osób pracujących przy ich produkcji stanowili czarni wyzwoleńcy.

Pozostała część Kuby silnie odczuwała brak kobiet. Biali mężczyźni przybywający z Hiszpanii na Kubę w celu zrobienia fortuny często przypływali na wyspę samotnie. Większa dysproporcja między płciami istniała jednak pośród niewolników, głównie mężczyzn, którzy zostali sprowadzeni na wyspę, gdy mieli piętnaście–dwadzieścia lat. Właściciele wykorzystywali ich głównie do ciężkiej pracy fizycznej, więc – z wyjątkiem nielicznych kobiet, które trafiały jako pomoc domowa do posiadłości hawańskich – nie potrzebowali niewolnic.

Możliwość zarabiania pieniędzy na boku przez niewolnice pracujące w hawańskich domach była tylko jednym z czynników przyczyniających się do istnienia w mieście wielkiej populacji wyzwolonych czarnych. Kolejnym było upodobanie właścicieli niewolników do uprawiania seksu ze swoimi niewolnicami. Do seksu niewolnice były przymuszane siłą, czasami je szantażowano, ewentualnie mamiono obietnicą lepszych warunków życiowych – nierzadko stosowano wszystkie te trzy metody naraz. Jeśli współżycie skutkowało spłodzeniem dziecka, kobieta mogła stać się wolna, chociaż zazwyczaj sprzedawano ją w charakterze mamki. Dziecko natomiast było już wolnym człowiekiem. Podobne sytuacje zdarzały się także na plantacjach, mimo że było tam mniej niewolnic.

Czarnoskórzy wyzwoleńcy często przenosili się z plantacji do miast. Największym magnesem była dla nich słynąca z dużej liczby wolnych Murzynów Hawana, która szybko stała się znana ze swych czarnoskórych mieszkańców i ich kultury. Począwszy od muzyki i religii, a na odmiennym sposobie

mówienia skończywszy, Hawana pozostawała centrum kultury afrykańskiej na Kubie.

Pod koniec XVIII wieku zaczął się spełniać najgorszy koszmar właścicieli niewolników. Haitańscy niewolnicy wypowiedzieli posłuszeństwo swym właścicielom i po długich i krwawych walkach wypędzili ich z wyspy, kładąc kres niewolnictwu na Haiti. Wielu francuskich plantatorów, którym udało się uciec, przeniosło się na Kubę, przywożąc ze sobą przerażające opowieści.

Kuba miała swoją własną historię powstań niewolników, którą zapoczątkowało powstanie w kopalni w Jobabo z 1533 roku. W 1727 roku niewolnicy z plantacji Quiebra Hacha, leżącej na południe od Hawany, zbuntowali się i porzucili plantację, zabrawszy ze sobą narzędzia oraz broń palną, po czym zaczęli terroryzować okolicę, plądrując i zabijając. Rebelia została stłumiona dopiero przez dobrze uzbrojony oddział piechoty przybyły z Hawany.

Przyczyną tego, że Kuba pozostała kolonią hiszpańską o ponad siedemdziesiąt lat dłużej niż większość krajów Ameryki Łacińskiej, był fakt, iż kubańscy właściciele niewolników domagali się obecności wojska hiszpańskiego na wyspie. Właściciele bali się nie tylko swoich niewolników, lecz także licznych czarnoskórych wyzwoleńców, którzy byli znacznie trudniejsi do spacyfikowania niż niewolnicy.

Alexander von Humboldt, znany pruski geograf, który na początku XIX wieku wielokrotnie podróżował na Kubę, zaobserwował z zaniepokojeniem, że do 1825 roku populacje niewolników i czarnoskórych wyzwoleńców powinny przewyższyć swoją liczebnością populację białych. „Liczba wyzwolonych czarnych, którzy mogą łatwo połączyć siły z niewolnikami, szybko rośnie na Kubie” – alarmował.

Humboldt przestrzegał, że sytuacja w Hawanie jest szczególnie niepokojąca częściowo dlatego, że czarnoskórzy

wyzwoleńcy z innych części Kuby przenosili się do stolicy. Stwierdził, że w ciągu dwudziestu lat biała ludność Hawany wzrosła o siedemdziesiąt trzy procent, podczas gdy populacja „wolnych kolorowych” aż o sto siedemdziesiąt jeden procent.

Prześladujący kubańskich właścicieli niewolników koszmar o krwawej jatce urządzonej białym niemal się ziścił. W 1812 roku czarnoskóry wyzwoleniec z Hawany, José Antonio Aponte, stanął na czele powstania. Był on kapłanem boga Changó, którego czcił afrykański lud Joruba, i wykorzystał ten kult do rozbudowy swego ruchu – ziściło się tym samym to, czego biali od zawsze się obawiali.

Powstanie Apontego, wzniecone osiem lat po triumfie rewolucji haitańskiej, odwoływało się do przywódcy tamtego buntu, Toussainta L’Ouverture’a, oraz innych bohaterów Haiti. Jeden z organizatorów powstania we wschodniej części Kuby, Hilario Herrera, był weteranem rewolucji haitańskiej.

Powstanie objęło całą wyspę; jego celem było zniesienie niewolnictwa i ostateczne obalenie hiszpańskich rządów. Bunty wybuchały zarówno w Hawanie i w głównych miastach Kuby, jak i na wiejskich plantacjach. Aponte został jednak zdradzony przez swych nielojalnych zwolenników, a następnie schwytany i powieszony razem z ośmioma innymi buntownikami. Po śmierci obcięto im głowy, które umieszczono w klatkach wystawionych wokół miasta. Na widok publiczny wystawiono także jedną z dłoni Apontego. *Más malo que Aponte* – „gorszy niż Aponte” – to popularne w Hawanie powiedzenie, którego używa się, kiedy ktoś zrobi coś naprawdę złego.

Strach trwał dalej, podobnie jak niewolnictwo. W 1844 roku rząd hiszpański ogłosił, że rozbił spisek zwany La Conspiración de la Escalera (spisek drabinowy), który swą nazwę miał zawdzięczać temu, że wielu z oskarżonych przywiązywano do drabiny i bito. Tysiące niewolników, czarnych wyzwoleńców i Mulatów zostało skazanych na

wygnanie, pobitych, uwięzionych lub straconych, ale do dzisiaj nie jest jasne, czy powstanie faktycznie było planowane, czy też była to tylko podjęta przez rząd próba zdławienia ruchu abolicyjnego.

W 1817 roku Hiszpanie podpisali z Brytyjczykami porozumienie o ograniczeniu niebezpiecznej praktyki importowania Afrykanów, ale popyt na cukier stale rósł, więc niewolników szmuglowano dalej. Kolejny traktat zakazujący importu niewolników podpisano z Brytyjczykami w roku 1835, jednak przemyt kontynuowano. W połowie XIX wieku na Kubę nielegalnie dostarczano około pięćdziesięciu tysięcy afrykańskich niewolników rocznie. Gdy zdarzyło się, że przemytników złapano podczas szmuglerskiego rejsu, wyrzucali oni za burtę ładunek, z którym płynęli na Kubę. Skoro na niewolniku kupionym w Afryce i sprzedanym w Hawanie handlarze osiągali zysk na poziomie dwustu procent, mogli sobie pozwolić na to, żeby pozbyć się kilkuset z nich.

4

Ogień i słodycz Cecylii

> *La complexión podía pasar por saludable, la encarnación viva, hablando en el sentido en que los pintores toman esta palabra, aunque a poco que se fijaba la atención, se advertía en el color del rostro, que sin dejar de ser sanguíneo, había demasiado ocre en su composición, y no resultaba diáfano ni libre. ¿A qué raza, pues, pertenecía esta muchacha?*
>
> Karnację miała pełną blasku, jeśli użyjemy tego słowa w takim znaczeniu, jakie nadają mu malarze, chociaż przyjrzawszy się uważnie, można było dostrzec, że kolor twarzy, choć rumiany, miał w sobie wiele ochry, nie był czysty ani jednolity. Do jakiej rasy należała ta dziewczyna?[8]
>
> Cirilo Villaverde, *Cecylia Valdés* (1882)

Ponad połowę populacji czarnoskórych wyzwoleńców w Hawanie stanowiły kobiety. Niewolnica była warta tylko jedną trzecią tego, co mężczyzna, dzięki czemu kobietom znacznie łatwiej było kupić sobie wolność. Z kolei na prowincji niewolnice były rzadkością, ponieważ dla właściciela niewolników ciężarne kobiety oraz małe dzieci nie były produktywne.

Hawana stała się znana jako miasto pełne kobiet – pięknych kobiet. Czasami mówi się również, że są tu piękni mężczyźni, ale nacisk zazwyczaj kładzie się na piękne kobiety. W *Naszym człowieku w Hawanie* Graham Greene pisze: „W Hawanie żyło się jak w fabryce produkującej taśmowo ludzką piękność”.

To, co najbardziej pociąga wielu *habaneros*, przynajmniej według nich samych (bo mówią o tym nieustannie), to fakt, że niektóre z tych kobiet są, jak mawiają Kubańczycy, *muy atrás*, czyli obdarzone szerokim siedzeniem. Nawiązania do tej cechy są wszechobecne nie tylko w rozmowach i tekstach piosenek, lecz także w literaturze. W opublikowanej w 1965 roku powieści Edmundo Desnoesa *Memorias del*

subdesarrollo [Wspomnienia z Trzeciego Świata] narrator stwierdza z pozorną powagą: „Litera S, jaką tworzą brzuch i tyłek, osiąga u pewnych Kubanek taki punkt, w którym staje się niezależna, nieproporcjonalna w stosunku do reszty ciała, zyskując nawet swoją własną osobowość”.

Piropos, pochlebstwa, jakie mężczyźni wykrzykują na ulicach Hawany pod adresem atrakcyjnych kobiet, to często prawdziwe ody na cześć szerokości ich siedzeń – jakie to istne pałace, jakie są rewolucyjne, jak to niczego im nie brak – zależnie od tego, jaki panuje aktualnie klimat polityczny. Reakcja kobiety – rozbawienie, zakłopotanie, gniew – zależy od tego, w jakim aktualnie znajduje się nastroju, ale gdy w tych zachwytach znajdzie się również jakiś celny komentarz społeczny, zwykle zostają docenione.

Miasto słynące ze swych pięknych kobiet w nieunikniony sposób stało się również znane ze swego przemysłu seksualnego. W czasach kolonialnych oraz, ponownie, w czasach dyktatur, które nastały już po uzyskaniu niepodległości – zwłaszcza w latach 1952–1959, pod rządami Fulgencio Batisty, który miał silne powiązania z amerykańską mafią – prostytucja stała się ogromnie dochodowym przedsięwzięciem, z całymi ulicami domów o kiepskiej reputacji, dziewczęcymi występami w śródmiejskim teatrze Szanghaj oraz mnóstwem skąpo odzianych kobiet w klubach nocnych. Ogromne targowisko prostytucji na Plaza del Vapor zlikwidowano dopiero po zwycięstwie rewolucji.

W 1959 roku do władzy doszedł Fidel Castro – nienachalnie popierający feminizm, skrajnie pruderyjny i sprzeciwiający się wolnej przedsiębiorczości – który próbował zamknąć wszystkie domy publiczne. Lecz po upływie ponad pół wieku od rozpoczęcia jego rządów kubańskie władze ciągle jeszcze nie zdołały położyć kresu prostytucji. Pojawia się ona w niektórych hotelach i restauracjach, wszędzie tam, gdzie są cudzoziemcy, ponieważ wielu mężczyzn z zagranicy

nadal marzy o spędzeniu nocy lub choćby kilku godzin z *habanera*. Uliczni stręczyciele podchodzą do cudzoziemców i szepczą: „*¿Quieres una mu-la-ta?*” („Chcesz Mulatkę?”). W języku hawańskiej ulicy, okrytym złą sławą z powodu przeskakiwania sylab i pomijania fonemów, słowo „*mulata*” to trzy starannie wypowiedziane sylaby.

Co najmniej od końca XVIII wieku, gdy niewolnictwo osiągnęło wielką skalę, postać Mulatki otacza swoista aura tajemniczości. Czy istnieje bardziej hawański mit od legendy, zgodnie z którą miejscowe cygara są skręcane na udach Mulatek? W rzeczywistości cygar nie skręca się na udach, zwłaszcza na udach kobiet, których nie zatrudniano w fabrykach cygar aż do roku 1877. Mit ten został rozpropagowany przez pewnego francuskiego dziennikarza.

Tajemnicza aura Mulatki, zakorzeniona w rasizmie i seksizmie społeczeństwa niewolniczego, zrodziła się z faktu, że Mulatka nigdy nie była niewolnicą – ponieważ była w połowie biała, można ją było uważać za niemal pełnoprawną istotę ludzką. Różnicę w pozycji społecznej czarnoskórej kobiety i Mulatki odzwierciedlało slangowe wyrażenie używane w XIX wieku przez kubańskich mężczyzn. Mulatkę nazywano „cynamonem” – czymś egzotycznym i smakowitym, podczas gdy na czarnoskórą kobietę mówiono „węgiel”. Wielu ludzi uważa osoby mieszanej rasy za atrakcyjne. Hiszpański poeta García Lorca napisał kiedyś, że Hawana ma najpiękniejsze kobiety na świecie „z powodu kropel czarnej krwi, jakie noszą w sobie wszyscy Kubańczycy”.

Lecz hawańska Mulatka zawdzięczała swoją reputację również uwarunkowaniom, w jakich żyła. Mulaci i Mulatki, którzy chcieli wspiąć się po szczeblach drabiny społecznej, musieli być przedsiębiorczy. W latach pięćdziesiątych XX wieku kubańska etnografka Lydia Cabrera zbadała kubańskie powiedzenia, które były inspirowane afrykańskimi

przyśpiewkami. Jedno z nich brzmiało: „Potrzeba jest ojcem Mulata”.

Mulatka miała wyższą pozycję społeczną niż wolna Murzynka, ale niższą niż biała kobieta. Osoba mieszanej rasy była nadal „kolorowa”, chociaż miała większe prawa niż czarnoskórzy. „Kolorowi” nie byli dopuszczani do pewnych zawodów. Nie mogli mieć lepszych miejsc w teatrach i nie byli wpuszczani do niektórych restauracji. Doświadczali również drobnych upokorzeń, takich jak pomijanie w dokumentach tytułu *don* lub *doña* przed ich nazwiskami. Tak jak większość ludzi znajdujących się pośrodku hierarchii społecznej, osoby mieszanej rasy przywiązywały ogromne znaczenie do awansu społecznego; dla Mulatek kluczem do osiągnięcia tego celu byli biali mężczyźni. Jeśli Mulatka miała dziecko z białym mężczyzną, było ono „kwarteronem” – Mulatem jednej czwartej krwi murzyńskiej, znajdującym się stopień wyżej na rasistowskiej drabinie społecznej. Bogaci biali *habaneros*, którzy bez żadnych skrupułów pozwalali sobie na małżeńską niewierność, wiedzieli, że mieli do dyspozycji piękne Mulatki. W Hawanie o takich rzeczach wiedzieli wszyscy, choć nikt o tym głośno nie mówił. Bogaty potomek plantatorów trzciny cukrowej mógł spać ze swoją Mulatką, obdarowywać ją w nieskończoność prezentami, a nawet zapewnić jej dobry dom w Hawanie, ale jeśli zażądała zbyt wiele, mógł ją odprawić. Mulatka musiała się więc nauczyć, jak ostrożnie odgrywać swoją rolę. By przetrwać, musiała być atrakcyjna i kusząca.

Opowiadająca o Mulatce popularna dziewiętnastowieczna piosenka, zwana też *guaracha*, zaczyna się od słów „*Yo soy la reina de las mujeres*”:

Jestem królową żeńskiego rodu

W tej ziemi, co obiecana jest;

Jestem słodyczą i jestem ogniem,

Ja jestem kluczem do męskich serc.

I refren:

Nie wiem nawet, co ja tu mam,

Ani co dręczy mnie;

Aj, aj, aj!

Na mą chorobę nie ma lekarstwa.

To za mą sprawą białym kobitkom

Mężczyźni nie dają miłości

Bo oni zabijają się o me kąski

I rozpływają się w moim cieple.

Najlepszym sposobem na zrozumienie fenomenu Mulatki w dziewiętnastowiecznej Hawanie jest lektura wielkiego daru, jaki pozostawił nam po sobie Cirilo Villaverde – jego powieści *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*.

Starszy o ponad pokolenie od Martíego Villaverde urodził się w zachodniej prowincji Pinar del Río w 1812 roku, tym samym, w którym wybuchło powstanie niewolników pod wodzą Apontego. Był synem wiejskiego doktora mieszkającego na plantacji trzciny cukrowej. We wczesnym dzieciństwie był świadkiem panującej na plantacjach brutalności wobec niewolników, która go przeraziła. Kiedy dorósł, przeniósł się do Hawany, gdzie zdobył wykształcenie i otrzymał dyplom prawnika; w tym czasie rozpoczął także karierę pisarską. W 1848 roku, po tym, jak zaangażował się w nieudaną próbę obalenia hiszpańskich rządów, został aresztowany i skazany na roboty w grupie skutych łańcuchem więźniów, ale zdołał uciec i osiadł w Nowym Jorku. Tam przez ponad czterdzieści lat mieszkał i tworzył – aż do śmierci w 1894 roku. Dożył końca niewolnictwa na Kubie, ale zmarł na cztery lata przed wyzwoleniem wyspy spod panowania Hiszpanii.

Pierwszą wersję *Cecylii Valdés* Villaverde stworzył w Hawanie w 1839 roku, a potem napisał ją na nowo. W Nowym Jorku przepisał ją jeszcze kilka razy. Za każdym razem

opowieść stawała się coraz dłuższa i bardziej skomplikowana. Ostatecznie wydał ją dopiero w 1882 roku, początkowo tylko w Nowym Jorku. Na Kubie została opublikowana po uzyskaniu niepodległości – ukazała się w 1903 roku i od tamtej pory miała ponad piętnaście wydań. We frustrującym świecie wydawniczym porewolucyjnej Kuby, gdzie ukazuje się bardzo dużo książek, ale na rynku utrzymują się jedynie te traktujące o Fidelu lub Che (albo o nich obu), *Cecylia Valdés* jest zawsze do kupienia.

Mówi się, że *Cecylia Valdés* to kubańska *Chata wuja Toma*. Jest to prawda w tym sensie, iż powieść Villaverdego stanowi ostre potępienie niewolnictwa oraz jego wpływu na społeczeństwo. O ile jednak książka Harriet Beecher Stowe była manifestem ruchu abolicjonistycznego i od czasu zniesienia niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych stała się rzadko czytanym historycznym artefaktem, *Cecylia Valdés*, która ukazała się w momencie, gdy niewolnictwo przechodziło już do historii, stała się chlubą kanonu literatury kubańskiej.

Villaverde, tak jak wielu emigrantów kubańskich, spędził dużą część swego życia, tęskniąc za światem, którego miał już nigdy nie ujrzeć. W miarę jak coraz bardziej zmieniał swoją książkę, wychodził stopniowo poza temat niewolnictwa, żeby zająć się bolączkami społecznymi, które były wytworem niewolnictwa i (co wydawało się niemal pewne) miały je przeżyć, czyli kwestiami wciąż aktualnymi – choćby rasizmem i niesprawiedliwym traktowaniem kobiet. Villaverde swoją powieść zadedykował „kobietom Kuby”.

Są takie powieści – *Don Kichot* w Hiszpanii, *Nędznicy* we Francji, *Wojna i pokój* w Rosji czy *Przygody Hucka* w Stanach Zjednoczonych – które zajmują centralne miejsce w tożsamości kulturowej danego narodu. W literaturze kubańskiej taką rolę odgrywa *Cecylia Valdés*. José Martí, który uznawany jest powszechnie za największego pisarza Kuby, uważał książkę Villaverdego za niezapomniane

arcydzieło. Podobnie jak *Przygody Hucka* i pozostałe książki, które zyskują sobie ogólnonarodowe znaczenie, *Cecylia Valdés* spotyka się z nieustanną krytyką, ale jeśli chce się rozmawiać o kubańskiej literaturze, to ta powieść, obok wierszy, esejów i listów Martíego, jest lekturą obowiązkową.

Cecylia stała się nieprzemijającym wzorem hawańskiej Mulatki. Jej uroda zapiera dech w piersiach. Mając w sobie słodycz i ogień, roztapia swoim ciepłem serca czarnych, brązowych oraz białych mężczyzn. Nie jest wyjątkową intrygantką, ale jako sierota, która musi sama o siebie zadbać, ma bogatego białego opiekuna. Zakochał się w niej potomek pewnego arystokratycznego rodu, który zbił fortunę na uprawie trzciny cukrowej. Ona też go pokochała. Oczywiście trudno oczekiwać, że on poślubi Mulatkę; jest zaręczony z białą córką innego arystokratycznego rodu.

Cecylia myśli, że jest sierotą – Valdés to nazwisko często nadawane sierotom w tamtych czasach – ale w rzeczywistości jej matka jest niewolnicą, a ojciec jest jednocześnie ojcem jej bogatego kochanka. Są zatem przyrodnim rodzeństwem, nawet o tym nie wiedząc. Ojciec musi więc doprowadzić do zerwania ich związku, nie ujawniając przy tym, że ma córkę Mulatkę. Cecylia nie wie, że reguły tej gry zostały zmienione na jej niekorzyść.

Matka przystojnego młodzieńca, który kocha Cecylię, jest damą o pozornie subtelnej wrażliwości. Nie cieszą jej rodzinne wakacje w *ingenio,* jak nazywa się na Kubie cukrownie, gdzie niewolnicy zaharowywali się prawie na śmierć. Nie sprzeciwia się jednak niewolnictwu i przyjmuje argument, że niewolników należy karać, bić prawie do śmierci lub okaleczać, ponieważ są zbyt „barbarzyńscy”, by cokolwiek zrozumieć. Ale ona sama nie lubi na to patrzeć. Jest na to zbyt delikatna. „Dajże spokój z twierdzeniem, że niewolnicy z Afryki mają duszę i że są aniołami”**[9]** – strofuje ją mąż.

Tak jak w pozostałej części Karaibów, wszystkie możliwe cechy fizyczne – gładkość włosów, grubość warg, odcień paznokci – były traktowane jako wskazówki świadczące o pochodzeniu rasowym każdej osoby. Karnację dłoni lub kształt nosa uznawano często za niezawodny wyznacznik w tej kwestii.

Na temat Cecylii, pięknej sieroty po nieznanych rodzicach, czytamy u Villaverdego: „Przed okiem znawcy nie mógł się ukryć fakt, że jej czerwone wargi miały ciemniejsze kontury, jak również i to, że blask jej twarzy u nasady włosów przekształcał się w rodzaj półcienia”**[10]**.

Jednym z bardziej interesujących przykładów tego rodzaju obserwacji – nadal czynionych przez dzisiejszych *habaneros* w stosunku do swoich przyjaciół, sąsiadów, pracodawców i przywódców politycznych – było to, że dla rasistowskich ekspertów twarz dyktatora Batisty świadczyła o obecności w jego żyłach domieszki krwi Tainów, co niegdyś uważane było za rzecz równie haniebną, jak posiadanie domieszki krwi afrykańskiej. Zanim Batista sięgnął po władzę, nie miał prawa wstępu do pewnych klubów, ponieważ uważano, iż pochodzi od Tainów, chociaż lud Tainów już właściwe nie istniał. „Ma to wypisane na twarzy” – mówiono.

Obecnie, gdy od zniesienia niewolnictwa na Kubie minęło ponad sto lat, rozmowy w Hawanie wyglądają już inaczej. Ale tylko odrobinę. Ludzie nadal żartują sobie na temat podejrzanych rysów twarzy. „*El que no tiene de Congo tiene de Carabalí*” to powszechnie stosowane powiedzenie w Hawanie. „Kto nie ma w sobie nic z Kongo, ma coś z Carabal”. Obydwa są kubańskimi określeniami na afrykańskie pochodzenie.

W połowie XX wieku antropolog Fernando Ortiz zwrócił uwagę, że hawańscy mężczyźni oceniali kobiety w ten sam sposób, co cygara. Jak zauważył Ortiz, tytoń, który stanowił „produkt niekończącego się krzyżowania i mieszania”,

przybierał wiele różnych barw. Nie było dwóch podobnych do siebie cygar i wszyscy palacze mieli swoje ulubione kolory – *claros*, *colorado-claros*, *colorados*, *colorado-maduros* i tak dalej – można byłoby długo wymieniać. „Kolorów różnych rodzajów cygar jest wiele, tak samo jak w przypadku kobiet, które nie sposób dzielić wyłącznie na blondynki i brunetki". Ortiz analizował zarówno kubański rasizm, jak i seksizm (który Kubańczycy wolą nazywać *machismo*), ale zauważył również, że przekomarzanie się na temat rasy i seksu było tam szeroko akceptowane jako sposób mówienia o tych kwestiach i żartowania z nich bez żadnych złych zamiarów.

Habaneros nadal bawią się gierkami słownymi, przylepiając rasowe łatki. Często mówią o kimś „*negrito*" (czarnuszek), co może być użyte jako określenie obraźliwe, jak również wypowiedziane z humorem i bez urazy – jako czułe słówko – przynajmniej, gdy robi to osoba, która sama ma ciemniejszy kolor skóry i mówi o innej takiej osobie. W języku hiszpańskim zdrobnienie pejoratywnego określenia łagodzi je, nadając mu humorystyczny i ironiczny wydźwięk. Kolejnym przyjaznym określeniem jest już nieco przestarzałe „*el chino*", co dosłownie oznacza Chińczyka, ale w ulicznym slangu Hawany – osobę o mieszanej krwi, choć używane w odniesieniu do przyjaciół (polskim odpowiednikiem „*el chino*" będzie „koleś"). Istnieje również mnóstwo kpin z *blanquitos* (białasków). Często zresztą *habaneros* wymyślają swoje własne określenia. Poeta Virgilio Piñera zwykł żartować, że był „*altísimo mulato blanconozo*", co można przetłumaczyć jako „najjaśniejszy Mulat, który jest niezbyt biały".

Jeśli jakaś *negrita* i *blanquito* lub jakiś *negrito* i *blanquita* postanowią wziąć ślub, taki związek, nazywany potocznie „ryż z fasolą", jest ogólnie akceptowany bez żadnych kontrowersji. Z każdym kolejnym rokiem jest coraz więcej ludzi mieszanej krwi i coraz mniej stuprocentowych białych oraz czarnych. Zgodnie z obecnymi szacunkami tylko około czterdziestu procent mieszkańców Hawany stanowią ludzie o czysto

europejskim pochodzeniu. Niektóre badania pokazują wyższy odsetek białych, ale z niewielu z nich wynika, że biali mają większość.

Rasizm z pewnością nie zniknął, a brzemię historii na wiele sposobów daje ekonomiczną przewagę ludziom o jaśniejszej skórze. Dla przykładu – ponieważ większość emigrantów, którzy przysyłają różne towary i pieniądze swoim krewnym na Kubie, jest biała, odbiorcami tych szczodrych darów są ich biali krewni. Paczki z Miami rzadko są adresowane do czarnoskórych. Hawana stanowi jednak coraz bardziej mieszaną społeczność, a różnice rasowe są najczęstszym tematem żartów.

5

Za murem

La Habana es una ciudad bien grande. Eso dice mi mamá, que sabe mucho de esas cosas. Cuentan que un niño se puede perder en ella para siempre. Que dos personas se pueden estar buscando durante años y no encontrarse nunca. Pero me gusta mi ciudad.

Hawana jest naprawdę dużym miastem. Tak mówi moja matka, a ona sporo wie o tych rzeczach. Mówią, że dziecko może się w nim zgubić na zawsze. Że dwoje ludzi może się tu szukać nawzajem latami i nigdy nie spotkać. Ale ja lubię moje miasto.

Mirta Yáñez, *La Habana es una ciudad bien grande* (1980)

Hawana była, a La Habana Vieja jest nadal, miastem wąskich uliczek – zbudowanych tak dla lepszej obrony i większego cienia – oraz chodników tak wąskich, że pieszy ledwo może się na nich zmieścić. Richard Henry Dana Jr., znany ze swej książki *Two Years Before the Mast* [Dwa lata przed masztem], demaskującej życie marynarzy statków handlowych, pisał w 1859 roku o Hawanie:

> Ulice są tak wąskie, a domy na nich stoją tak blisko siebie, że wygląda to raczej jak wolna przestrzeń pozostawiona między murami domów niż drogi przeznaczone do podróżowania. Wydaje się niemożliwe, żeby dwa pojazdy mogły się tu wyminąć, a jednak jakoś im się to udaje. Stale tworzą się jakieś zatory na drodze. W niektórych miejscach nad całą ulicą między domami rozpięte są markizy i jedziemy jakby pod długim namiotem.

Kobiety w długich spódnicach nie były w stanie chodzić po tak wąskich chodnikach, a ulice były zabłocone i panował na nich niebezpieczny ruch. „Prawdziwe damy”, czyli białe kobiety, tak czy owak nie wychodziły z domu. Na ulicach widywało się tylko „kolorowe” kobiety i łatwo sobie wyobrazić, jaką stanowiły pokusę, skoro mogły wszędzie pójść, pić alkohol, uprawiać hazard, a nawet, według niektórych relacji, palić cygara. Dwudziestowieczny kubański pisarz Guillermo Cabrera Infante twierdził, że banderole na cygara, które zostały wymyślone w 1830 roku przez

niemieckiego imigranta Gustava Bocka specjalnie dla cygar należącej do niego marki Aguila de Oro, stworzono po to, żeby kobiety nie musiały dotykać tytoniowego liścia w czasie palenia.

Białe kobiety spędzały całe dnie w domach, przesiadując w oknach niczym piękne ptaki zamknięte w klatce. Okna były wysokie, usytuowane tuż nad ulicą i osłonięte żelaznym okratowaniem. Nie było w nich – i nie ma po dziś dzień – żadnych szyb, dzięki czemu bryza może swobodnie wpadać do środka.

Hawańskie okna zawsze fascynowały przyjezdnych, nie tylko ze względu na to, w jaki sposób piękne i elegancko ubrane kobiety flirtowały na oczach przechodniów ze stojącymi na ulicy zalotnikami, lecz także dlatego, że w gorące noce całe rodziny wystawiały się na pokaz w swoich oknach. Anthony Trollope pisał, że miejscowe rodziny „spędzają wieczór, siedząc przy wielkich, nisko położonych oknach swoich bawialni; a ponieważ te okna prawie zawsze wychodzą na ulicę, całe wnętrze jest widoczne dla każdego, kto tamtędy przechodzi”. Z kolei Dana pisał: „Okna dochodzą do ziemi, a ponieważ są na równi z ulicą i w większości nie mają szyb, nic z wyjątkiem krat nie powstrzymałoby przechodnia przed wejściem na pokoje”.

Gdy biali poświęcali się życiu rodzinnemu, „kolorowi” mieszkańcy Hawany pracowali na ulicach, starając się być przedsiębiorczymi (potwierdzają to podróżnicy tacy jak Trollope, Dana i dziewiętnastowieczny pisarz-podróżnik Samuel Hazard). Natomiast bogaci biali młodzieńcy zajmowali się pustymi rozrywkami. „Młodzi mężczyźni i wielu z tych, którzy nie są już wcale młodzi, spędzają wieczory i najwyraźniej znaczną część dnia na jedzeniu lodów oraz grze w bilard” – pisał Trollope.

Kiedy bogate młode białe kobiety chciały wyjść z domu, musiały jechać wolantem. Był to rodzaj lekkiego powozu

zaprojektowanego specjalnie dla młodych kobiet, o którym wspomnieć musiał właściwie każdy, kto w XIX wieku odwiedzał Hawanę. Młoda kobieta *nigdy* nie wysiadała z wolantu, dopóki nie wróciła do swego domu, a i wtedy mogła to uczynić, dopiero gdy wolant wjechał z ulicy na dziedziniec. Kiedy kobieta chciała pojechać na zakupy, wolant zatrzymywał się przed sklepem, a sklepikarz specjalnie do niej wychodził.

Wolant miał głębokie siedzenie umieszczone wysoko na osi między dwoma wielkimi kołami. Dwa niezwykle długie dyszle łączyły koła ze znajdującym się na przedzie kozłem stangreta oraz jednym lub dwoma końmi. Im większą arystokratką była podróżująca dama, tym większa była odległość między jej siedzeniem i miejscem woźnicy, co bardzo utrudniało manewrowanie tymi pojazdami w wąskich uliczkach. Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w ogóle nie wchodził w grę. Wolanty ledwo mogły się zmieścić w ciasnych zaułkach La Habana Vieja i, jak twierdził Samuel Hazard, próba dokonania skrętu była „okazją do wielu grubych przekleństw". W Hawanie warstewka dobrych manier była zawsze cieniutka jak papier.

Wyminięcie się dwóch wolantów jadących w przeciwnych kierunkach wymagało sporo umiejętności, tym bardziej że chodniki również były wąskie. Niewolnik powożący wolantem, *calesero*, stanowił element dekoracji. Był ubrany w aksamitny płaszcz o głębokim, najczęściej szkarłatnym odcieniu, przyozdobiony złotymi lub srebrnymi koronkami, nosił do tego nieskazitelnie białe bryczesy i kamizelkę, czarny jedwabny kapelusz ze srebrną lub złotą wstążką oraz wyglansowane na połysk buty do kolan, które lśniły niczym szklanki. Na srebrnych strzemionach widniał herb właściciela. Wszystko to wyglądało, jakby po ulicy jechał złoty rydwan przypominający salaterkę ze ślicznymi kobietami.

W dziewiętnastowiecznej Hawanie powozy były ważnym symbolem statusu (w latach pięćdziesiątych XX wieku tę funkcję pełniły cadillaki) – bogacze manifestowali w ten sposób swoją pozycję społeczną. W pierwszym akapicie *Cecylii Valdés* jeden z bohaterów zaznacza swój status za pomocą ubioru stangreta oraz srebrnych zdobień swego zaprzęgu.

Kabina powozu była zawieszona na skórzanych pasach, które amortyzowały wstrząsy, gdy *calesero* w szybkim tempie pędził konie wyboistymi ulicami, zmuszając przechodniów do usuwania się z drogi. Zresztą wielu spośród pieszych i tak stanowili „kolorowi", więc brak wystarczającej ilości miejsca na chodniku uważano za mało istotny problem.

Pod koniec XIX wieku stary mur miejski nie mógł już dłużej ograniczać Hawany – nie tylko z powodu rosnącej liczby mieszkańców, lecz także ich krzątaniny i energii, których nie dawało się już zamknąć w jednym małym zakątku otoczonym murem. Na każdej ulicy *habaneros* mogli zajrzeć do swoich ukochanych barów, kawiarni i domów gry. A wieczorami chodziło się na tańce, bo jeśli *habaneros* cokolwiek kochali bardziej niż picie i uprawianie hazardu, był to właśnie taniec.

Kto mógłby się oprzeć takiemu miejscu? Nawet w XIX wieku Hawana była pełna turystów. W rzeczywistości to miasto stało się centrum karaibskiej turystyki na długo przed innymi miejscami tego regionu. W tutejszych nadmorskich skałach wykuto nawet obszerne łaźnie – ich pozostałości są widoczne do dzisiaj, jeśli tylko przypływ i fale na to pozwalają – gdzie goście mogli się kąpać w oceanie oraz cieszyć prywatnością na skalnych półkach i siedziskach, na których można się było odprężyć, pozostając częściowo zanurzonym w wodzie. Wejścia do tych łaźni były na tyle duże, by pozwolić wodzie morskiej dostać się do środka, ale, jak pisał Hazard, jednocześnie na tyle małe, żeby nie wpuścić tam „żadnego żarłocznego potwora". Mogło się to odnosić do

rekinów, od których w tych wodach aż się roiło. *Habaneros* nie korzystali z łaźni – uważali je za modny wymysł, na punkcie którego szaleją cudzoziemcy.

Miasto zapewniało możliwość dokonania zakupów na najwyższym poziomie w luksusowych sklepach przy Calle Obispo („ulicy Biskupiej”) i Calle O’Reilly, która wzięła swoją nazwę od pochodzącego z Irlandii hiszpańskiego oficera. W cieniu pod markizami można tam było kupić porcelanę, szkło, towary europejskie, jedwab oraz ubrania zrobione z włókien ananasa. Dzisiaj, gdy zaczynają się odradzać sklepiki dla turystów, często są one otwierane przy tych samych ulicach.

Habaneros chodzili wieczorami nie tylko na tańce, lecz także do opery. Kiedy widownia szczególnie doceniła przyjezdnego śpiewaka, mogła go obsypać kwiatami. Następnie, jeśli występ był wyjątkowo udany, widzowie mogli go nawet obrzucić biżuterią, z typowo hawańską przesadą obdarowując solistę brylantami. Opera nie była odpowiednim miejscem na okazywanie umiaru. W Hawanie takich miejsc było zresztą niewiele.

Walki kogutów, które ostrogami przytwierdzonymi do nóg rozszarpywały się na śmierć, podczas gdy robiący zakłady mężczyźni wrzeszczeli wniebogłosy, były w Hawanie ulubioną rozrywką. W czasie walki kogutów patyna dobrych manier, z jakimi można się było spotkać w sklepach, teatrach i salach operowych, szybko odpadała. Hazard przestrzegał turystów: „Odwiedźcie choćby raz walki kogutów, a gwarantuję wam, że nigdy więcej tam nie pójdziecie, ale za to wyjdziecie stamtąd mocno zniesmaczeni”. Było to jednak miejsce, w którym można było zobaczyć przekrój całego hawańskiego społeczeństwa – niewolników, czarnych wyzwoleńców, Mulatów, ubogich białych i arystokratów.

Nie widywało się tam tylko kobiet.

W 1827 roku na Plaza de Armas, w eksponowanym miejscu w centrum miasta, ukończono budowę monumentu upamiętniającego założenie Hawany, który przypominał pomniejszoną grecką świątynię z doryckimi kolumnami. To wydarzenie wyzwoliło zamiłowanie do architektury neoklasycystycznej. Bogacze zapragnęli budować nowe domy z kolumnami doryckimi, jońskimi, a nawet bogato zdobionymi kolumnami korynckimi. Nie było jednak na to wystarczająco dużo miejsca w obrębie otoczonej murami Hawany. Po wschodniej stronie miasto opierało się o zatokę, nie mając gdzie się rozprzestrzeniać. Wolne miejsce pod zabudowę było tylko na zachodzie, za murami miejskimi.

Tam właśnie *habaneros* dali się porwać kolumnowemu szaleństwu. Jak pisał w 1970 roku Alejo Carpentier: „Jedna z najbardziej osobliwych stałych w stylu hawańskim: niewiarygodna obfitość kolumn, miasto jako magazyn kolumn, dżungla kolumn, nieskończoność kolumn…”. W jaskrawym świetle słonecznym kolumny te nasuwały skojarzenia ze scenerią filmu *noir*, złożoną z pogrążonych w cieniu *portales* (portyków), w których ktoś mógłby się zaczaić niezauważony, by nagle przesunąć się w stronę światła.

W miarę jak miasto rozprzestrzeniało się poza swoje stare mury, w kolejnych epokach na popularności zyskiwały coraz to nowe style architektoniczne – proces ten trwał również w XX stuleciu. Carpentier pisał: „To narzucanie stylów, to nowatorstwo w stylach, dobre i złe, bardziej złe niż dobre, stworzyło w Hawanie styl bez stylu”. Dzisiejsza Hawana przypomina muzeum architektury prezentujące prawie każdą ideę architektoniczną, jaka pojawiła się od początku XVII wieku do lat sześćdziesiątych XX wieku, z kilkoma dobrymi przykładami każdej z nich.

Ekspansja Hawany na zachód zaczęła się w istocie na kilka dekad przed popadnięciem *habaneros* w kolumnową gorączkę, a mianowicie w 1772 roku, kiedy na zachód od murów

miejskich wybudowano okazały bulwar. Był on, w odróżnieniu od pozostałych uliczek Hawany, prosty, przestronny i dobrze wybrukowany. Nazwano go Paseo del Prado, na wzór wielkiego, wysadzanego drzewami bulwaru madryckiego. Z odległego, położonego w głębi lądu końca hawańskiego bulwaru można było między drzewami dojrzeć fort, morze i wieżę El Morro. W 1877 roku wzdłuż tej arterii urządzono Parque Central – park Centralny.

W drugiej połowie XVIII wieku Hawana liczyła ponad czterdzieści tysięcy mieszkańców – więcej niż ówczesny Nowy Jork. Mur coraz bardziej tracił na znaczeniu. Pod koniec XVIII stulecia Hawana dzieliła się już na dwie części: *intramuros*, czyli część w obrębie murów, która później zmieniła się w La Habana Vieja, oraz *extramuros*, część poza murami, obecnie znaną jako Centro Habana. W 1863 roku rozpoczęło się wyburzanie murów miejskich, które zajęło prawie tyle samo czasu, co ich wybudowanie. Ostatni odcinek zburzono dopiero w XX wieku. Fragment muru pozostawiono w charakterze pomnika – znajduje się on nieopodal domu w La Habana Vieja, w którym José Martí spędził pierwsze cztery lata życia; dom ten został zamieniony w muzeum.

6

Potwór

Viví en el monstruo, y le conozco las entrañas.

Żyłem w brzuchu potwora i znam jego wnętrzności.

José Martí o Stanach Zjednoczonych w 1895 roku

Dzieje Kuby w XIX wieku naznaczone były nieustannymi powstaniami przeciwko hiszpańskim rządom. W 1823 roku były żołnierz José Francisco Lemus z pomocą lóż masońskich zorganizował rebelię, która objęła całą wyspę. Jego plan przewidywał ustanowienie niepodległego kraju i nazwanie go słowem pochodzącym z języka Tainów – Cubanacán. Lecz podobnie jak spisek niewolniczy Apontego z 1812 roku, ten bunt także został zinfiltrowany przez szpicli rządowych i szybko stłumiony.

Po upadku powstania Hiszpania wysłała na Kubę czterdzieści tysięcy żołnierzy, którzy mieli tam stacjonować na stałe. Przez większość czasu aż do końca stulecia wojska te pozostawały w stanie gotowości bojowej bądź wojny. *Peninsulares* – jak, w przeciwieństwie do Hiszpanów urodzonych na Kubie, nazywano przybyszów z Hiszpanii – budzili coraz większą niechęć u miejscowych. Wyjątek stanowili bogaci posiadacze ziemscy, którzy mieli nadzieję, że oddziały te ochronią ich przed niewolnikami, czarnymi wyzwoleńcami i abolicjonistami, którzy w komplecie opowiadali się za niepodległością.

W 1851 roku na Kubie wylądował Narciso López. Urodził się w Wenezueli i walczył wcześniej przeciwko Simónowi Bolívarowi, Wenezuelczykowi, który dążył do wyzwolenia Ameryki Południowej spod panowania Hiszpanii i chciał utworzyć jedno zjednoczone państwo latynoamerykańskie. Chociaż López służył jako lokalny urzędnik hiszpański na Kubie, bardzo mu się spodobał pomysł anektowania tej wyspy

przez Stany Zjednoczone. Amerykanie przez długi czas snuli takie plany. W 1808 roku Thomas Jefferson wysłał swojego przedstawiciela do Hawany, żeby zorientować się, czy istnieje możliwość zakupu wyspy (jak to wcześniej uczynili Amerykanie z Luizjaną). Nic z tego nie wyszło, ale w latach czterdziestych XIX wieku, wraz ze wzrostem napięć w Stanach Zjednoczonych między stanami niewolniczymi i wolnymi, na Południu pojawiło się pewne zainteresowanie pozyskaniem nowych ziem, które można by przekształcić w dodatkowy stan niewolniczy. Tej koncepcji sprzeciwiali się oczywiście czarni wyzwoleńcy i abolicjoniści.

Największe poparcie w Stanach Zjednoczonych Narciso López uzyskał ze strony orędowników idei Objawionego Przeznaczenia (*Manifest Destiny*), czyli wielce kontrowersyjnej koncepcji, zgodnie z którą biała rasa powinna wypełnić swoje domniemane przeznaczenie i przejąć panowanie nad całym kontynentem północnoamerykańskim. Niektórzy, jak na przykład John Quincy Adams, uważali tę ideę za spisek mający na celu dalsze rozprzestrzenianie się niewolnictwa. Jej przeciwnikiem był także Abraham Lincoln. Objawione Przeznaczenie posłużyło w 1846 roku jako uzasadnienie inwazji Stanów Zjednoczonych na Meksyk i aneksji połowy jego terytorium.

López zwerbował amerykańskich weteranów wojny meksykańskiej oraz próbował pozyskać dla swojej sprawy oficerów Armii Stanów Zjednoczonych z West Point, generała Roberta E. Lee i pułkownika Jeffersona Davisa, którzy mieliby stanąć na czele jego oddziału. Obaj jednak odmówili. W 1850 roku López sam objął dowodzenie, wylądował na wyspie i zajął port Cárdenas leżący na wschód od Hawany. Kiedy jednak wojska hiszpańskie ruszyły w jego kierunku, López wraz ze swoimi ludźmi wycofał się na statek i wrócił do Stanów Zjednoczonych.

Rok później López, stojący na czele czterystu trzydziestu pięciu ochotników, dokonał kolejnej inwazji, tym razem na zachód od Hawany. Hiszpanie schwytali lub zabili wszystkich uczestników tej wyprawy. Jej następstwa przypominały nieco wydarzenia, do których doszło ponad sto lat później, po zorganizowanej przez CIA inwazji w Zatoce Świń w 1961 roku: wielu z uczestników desantu Lópeza zostało bowiem rozstrzelanych przez hiszpańskie plutony egzekucyjne, zaś pozostałych wtrącono do więzienia i po zapłaceniu okupu odesłano z powrotem do Stanów Zjednoczonych. López został publicznie uduszony garotą w forcie La Punta koło La Habana Vieja. Niedaleko miejsca jego egzekucji znajduje się chyba najkrótsza uliczka na hawańskiej starówce, nazwana później na jego cześć Calle López. Łączy się ona z Calle Enna, noszącą imię hiszpańskiego generała, który pokonał Lópeza. Flaga oddziałów Lópeza, z czerwonymi i białymi paskami oraz pojedynczą gwiazdą, była wzorowana na amerykańskiej. O dziwo, ta flaga ruchu na rzecz aneksji wyspy przez Stany Zjednoczone stała się flagą kubańskiej niepodległości i do dzisiaj jest państwową flagą Kuby.

Nowy Jork, ten dom emigracyjnej inteligencji hawańskiej, był kwaterą główną walki o niepodległość Kuby, która zaczęła się w 1868 roku wraz z wybuchem zaciekłej „wojny dziesięcioletniej”. Nie zakończyła się ona powodzeniem, ale po jej zakończeniu inteligencja od razu zaczęła planować następną wojnę, rozpoczynając w ten sposób proces, który nie zatrzymał się już ani na moment aż do wyzwolenia Kuby spod panowania hiszpańskiego.

W Nowym Jorku José Martí stał się zarówno „apostołem niepodległości” Kuby, jak i najbardziej poważanym kubańskim pisarzem; do dzisiaj Martí jest uznawany za ważną postać literatury hiszpańskojęzycznej. Ten najsłynniejszy *habanero* w historii większość swoich dzieł napisał w Nowym Jorku.

Guillermo Cabrera Infante, który po zerwaniu z reżimem Castro zamieszkał w Londynie, pisał – prawdopodobnie nie bez zazdrości – iż żaden Kubańczyk na emigracji nigdy nie rozkwitł bardziej niż Martí, „przemieniając się z nieznanego uczniaka piszącego pamflety (kiedy deportowano go z Kuby, nie miał jeszcze dwudziestu lat) w jednego z największych pisarzy hiszpańskojęzycznych i bez wątpienia najlepszego prozaika kubańskiego”[11]. Na emigracji Martí stał się wyjątkowo płodnym pisarzem. Obecnie rząd kubański wydaje jego dzieła zebrane w dwudziestu sześciu tomach.

Zdaniem Cabrery proza Martíego „posiada także stopień gęstości właściwy pewnym metalom stałym, takim jak platyna”[12]. Martí pisał o polityce i literaturze, o tym, za czym tęsknił i co zostawił na Kubie, o kubańskiej niepodległości i zniesieniu niewolnictwa. Pisał również o Emersonie i Whitmanie, Ulyssesie Grancie, Jesse Jamesie, o Coney Island i zaśnieżonym Nowym Jorku. Rzadki urok jego pisarstwa można dostrzec w prostocie zdania rozpoczynającego jego esej poświęcony Karolowi Darwinowi: „Darwin był poważnym starcem, którego rozpierała duma, bo przejrzał na oczy”.

Poezja Martíego jest gęsta od metafor i ukazuje jego melancholię. Jako jeden z pierwszych poetów modernistycznych języka hiszpańskiego wywarł wielki wpływ na hiszpańską poezję. Lektura któregokolwiek z jego pism – poezji lub prozy – to udział w prawdziwej uczcie zmysłowości, wyprawionej przez kogoś, kto naprawdę kochał słowa. Jego zdania są nieustannie przywoływane w świecie hiszpańskojęzycznym, a żadne z nich nie są cytowane częściej niż te dwie linijki otwierające tomik jego wierszy zatytułowany *Versos sencillos* [Proste wersy]:

Yo soy un hombre sincero,

de donde crece la palma.

Jestem uczciwym człowiekiem,

z krainy, gdzie rośnie palma.

Są to również pierwsze słowa jednej z najpopularniejszych pieśni kubańskich, jakie kiedykolwiek napisano – *Guantanamery*. Popularność tego utworu jest zdumiewająca, biorąc pod uwagę fakt, że nikt tak naprawdę nie wie, o czym on w ogóle jest (ale z pewnością nie ma nic wspólnego z José Martím). Wydaje się jednak, iż opowiada o nieodwzajemnionej miłości do pewnej kobiety z Guantánamo. Został napisany prawdopodobnie około roku 1929 przez twórcę popularnych szlagierów Joseíto Fernándeza Díaza. W latach czterdziestych Díaz prowadził audycję radiową pod nazwą *La Guantánama*, w której używał tej piosenki jako wstępu do każdej części programu. Fernández przedstawiał różne wyjaśnienia na temat tego, kim była owa chłopka z Guantánamo, czyli *guajira Guantanamera*, ale nigdy nie wyjaśnił, co José Martí lub jego wiersz miał z tym wspólnego. Wiele osób uważa, że Fernández nie mógł przekonująco wyjaśnić znaczenia tekstu piosenki, ponieważ tak naprawdę go nie napisał, zaś jego autorem był urodzony w Hiszpanii znany kubański kompozytor muzyki klasycznej Julián Orbón. To Orbón podsunął tę piosenkę Pete'owi Seegerowi w wersji zawierającej nawet jeszcze więcej wersów z Martíego – to właśnie tę wersję Seeger spopularyzował w latach sześćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych.

Jak to bywa z piosenkami, z upływem czasu również i ta straciła na popularności, z wyjątkiem środowiska emigrantów kubańskich w Miami, tych samych, których Castro nazywał „*gusanos*" (robakami) i których *cubanidad* (kubańskość) zastygła w Hawanie lat pięćdziesiątych. „Oni nadal śpiewają *Guantanamerę*" – często słyszałem, jak w ten sposób krytykowano w Hawanie emigrantów. Dzisiaj jednak, kiedy turyści tłumnie wracają do Hawany, muzycy w barach, restauracjach i hotelach znowu grają *Guantanamerę*.

W 1892 roku Martí, nadal przebywający w Stanach Zjednoczonych, założył Kubańską Partię Rewolucyjną, która zaczęła planować kolejną próbę obalenia rządów hiszpańskich

na wyspie. Nawoływał do utworzenia rządu kubańskiego reprezentującego wszystkie rasy i klasy społeczne, przekonując, że należy to uczynić jak najszybciej, zanim na Kubie zdążą interweniować Stany Zjednoczone. Martí przewidywał, że jeśli w rewolucję włączą się Amerykanie, przejmą kontrolę nad wyspą i już nigdy z niej nie zrezygnują.

Martí, który prawdopodobnie wymyślił termin „*latino*", a z pewnością był jednym z pierwszych, którzy go używali, napisał w 1891 roku esej *Nasza Ameryka*. Martí przez „naszą Amerykę" rozumiał Amerykę Łacińską, którą przeciwstawiał Ameryce Północnej. W swoim eseju pisał, że Ameryka Łacińska musi się zjednoczyć, by stworzyć wspólny front oporu przeciw Stanom Zjednoczonym. „Już niedługo nadejdzie, domagając się zacieśnienia więzi, przedsiębiorczy i potężny naród z Północy, który nie zna naszej Ameryki i traktuje ją z lekceważeniem"**[13]** – pisał.

Martí pomagał zbierać pieniądze na armię, która miała wyzwolić Kubę, i w 1895 roku wrócił na wyspę, żeby dołączyć do dowodzącego oddziałami powstańczymi generała Máximo Gómeza. W ten oto sposób ów wątły i łysiejący czterdziestodwuletni *habanero*, który stał się nowojorskim poetą, mimo że ani nie jeździł dobrze konno, ani nie umiał się posługiwać bronią palną, poszedł na wojnę. Był podekscytowany faktem, że znalazł się na wsi, i w typowy dla wielu miastowych sposób fascynował się każdym listkiem oraz śpiewem ptaków, czemu dawał wyraz w swoim dzienniku, uważanym za jedno z jego najwspanialszych dzieł.

Pochodzący z Dominikany generał Gómez był wyszkolonym przez armię hiszpańską zawodowym żołnierzem oraz weteranem walk o niepodległość Kuby, który został okaleczony, walcząc na pierwszej linii. Z czasów „wojny dziesięcioletniej" miał w szyi ziejącą dziurę po kuli. Otwór zatykał kawałkami bawełny. W czasie tamtych walk zyskał sobie reputację wojownika o niezwykłej odwadze i zmyśle

taktycznym. Jego oddziały składały się w większości z ochotniczych zastępów czarnoskórych i Mulatów. Hiszpanie nazywali ich „*mambises*”, okazując w ten sposób lekceważenie z powodu ich afrykańskiego pochodzenia (było to pejoratywne określenie, którego wcześniej używano wobec niewolników na Santo Domingo). Ale to szyderstwo odniosło skutek odwrotny do zamierzonego i z czasem owa nazwa zyskała sobie popularność wśród oddziałów walczących o niepodległość.

Powstańcom brakowało amunicji (tylko co czwarty z nich miał broń palną), dlatego Gómez postanowił wykorzystać to, iż Hiszpanie odczuwali skrywany strach przed czarnoskórymi, i wymyślił taktykę ataku maczetami. Stanąwszy przed ustawioną w szeregu hiszpańską piechotą, jego żołnierze oddawali w kierunku wroga jedną salwę, a następnie uderzali nań – z Gómezem w pierwszej linii – z maczetami w rękach. Takie szarże budziły przerażenie wśród żołnierzy hiszpańskich.

Wkrótce po tym, jak Martí dołączył do Gómeza na wschodniej Kubie, w tamtych okolicach doszło do jednej z pomniejszych potyczek z Hiszpanami. Gómez rozkazał Martíemu udać się na tyły. Zamiast tego poeta ruszył jednak z kopyta naprzód, dzierżąc w ręku pistolet. A może stracił kontrolę nad swoim koniem?

W każdym razie został postrzelony w szyję przez schowanego w wysokiej trawie strzelca wyborowego. Według niektórych wersji tej opowieści Martí zginął natychmiast; zgodnie z innymi – hiszpański piechur rozpoznał go i dobił drugą kulą. W ten oto sposób ruch niepodległościowy poszedł na wojnę bez swojego duchowego przywódcy. Męczeńska śmierć na polu bitwy przyczyniła się jednak do wzmocnienia jego wizerunku „apostoła niepodległości”.

Na dzień przed swoją śmiercią Martí zaczął w górach wschodniej Kuby pisać list, którego już nigdy miał nie

dokończyć. Adresatem był jego przyjaciel Manuel Mercado, podsekretarz spraw wewnętrznych w rządzie meksykańskim. W młodości, gdy razem z rodzicami przebywał na wygnaniu w Meksyku, Martí był sąsiadem Mercado i zaprzyjaźnił się z nim. W swoim liście Martí pisał, że obawia się, iż po odejściu Hiszpanów Kuba przejdzie pod panowanie Stanów Zjednoczonych. Uważał to za bardzo prawdopodobne, bo – jak sam twierdził – żył w brzuchu tego potwora.

Potwór ten w istocie miał chrapkę na przejęcie Kuby. Jako nowa imperialistyczna potęga, która sąsiadowała z resztkami rozpadającego się imperium hiszpańskiego, Stany Zjednoczone marzyły o anektowaniu Filipin, Portoryko i istnego raju tuż przy swoich wybrzeżach – Kuby. Nowa fala popularności idei Objawionego Przeznaczenia ogarnęła większość Amerykanów. Prezydent William McKinley, który był raczej prawdziwym politykiem niż prawdziwym imperialistą, nie mógł się przeciwstawić tej woli społecznej. Tak w 1898 roku rozpoczęła się na Karaibach wojna między Stanami Zjednoczonymi i Hiszpanią. Amerykanie zrobili dokładnie to, czego obawiał się Martí: przegonili Hiszpanów i przejęli kontrolę nad wyspą. Kiepsko uzbrojeni Kubańczycy walczyli z Hiszpanią przez niemal całe stulecie; uzbrojonym po zęby Amerykanom pokonanie wojsk hiszpańskich zajęło cztery miesiące.

1 stycznia 1899 roku Hiszpania wycofała się z Kuby. Tego samego dnia władzę nad wyspą objął amerykański zarząd wojskowy z generałem Johnem R. Brookiem na czele. Nieco wcześniej pewien podekscytowany pisarz o nazwisku Trumbull White wydał książkę zatytułowaną *Our New Possessions* [Nasze nowe posiadłości] z rozdziałami poświęconymi Kubie, Portoryko, Hawajom i Filipinom. Rozdział o Kubie, noszący tytuł *The Pearl of The Antilles* [Perła Antyli], zaczynał się następująco:

> Największa wyspa i największe miasto spośród wszystkich w Indiach Zachodnich, odkryte przez Kolumba w czasie jego pierwszej wyprawy, a teraz

po raz pierwszy spoglądające w kierunku bliskich relacji handlowych i społecznych ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

Lecz ta „największa wyspa” okazała się pewnym rozczarowaniem. Amerykanie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo była ona wyczerpana po kolejnych wojnach. Drogi, mosty, szkoły, przychodnie i szpitale potrzebowały pilnych napraw. Półtoramilionowa populacja Kuby zmniejszyła się o dwieście tysięcy od czasu rozpoczęcia przez Kubańską Partię Rewolucyjną wojny o niepodległość w 1895 roku. Według spisu ludności przeprowadzonego w 1887 roku tylko jeden na trzech białych Kubańczyków umiał pisać, a wśród „kolorowych” piśmienni stanowili zaledwie jedenaście procent.

W grudniu 1899 roku władzę na wyspie przejął generał Leonard Wood, co zapoczątkowało drugą fazę amerykańskiej okupacji. Jako były naczelny lekarz armii amerykańskiej, Wood był zainteresowany badaniami kubańskiego doktora Carlosa Juana Finlaya, który odkrył, że żółta febra przenosi się z moskitów na ludzi. Wood sprowadził na wyspę amerykańskiego lekarza wojskowego Waltera Reeda, którego praca o pasożytach i chorobach tropikalnych, zwłaszcza żółtej febrze, zmieniła historię medycyny.

Entuzjazm Amerykanów, którzy zrewolucjonizowali nie tylko kubańską służbę medyczną, lecz także ulepszyli tamtejsze drogi i mosty oraz wybudowali wiele szkół, dość szybko wygasł i władze amerykańskie uznały, że nie chcą anektować wyspy, a jedynie mieć możliwość kontrolowania jej z pewnej odległości. I tak w 1901 roku pod nadzorem Amerykanów uchwalona została kubańska konstytucja: wyspa miała być od tej pory demokratyczną republiką z powszechnym prawem głosu, rozdziałem państwa od Kościoła i prezydentem wyłanianym w wyborach bezpośrednich. Był tu jednak pewien haczyk w postaci wielu ograniczeń wprowadzonych przez ówczesnego amerykańskiego sekretarza wojny Elihu Roota. Ograniczenia te zakazywały

Kubie zawierania traktatów, które szkodziłyby jej suwerenności, oraz zaciągania niemożliwych do spłacenia pożyczek, jak również przewidywały, że amerykańskie siły zbrojne będą miały prawo interweniować w sprawy kubańskie, jeśli tylko uznają to za stosowne. Kubańskie Zgromadzenie Konstytucyjne próbowało zrewidować te postanowienia, ale Stany Zjednoczone się na to nie zgodziły, stwierdzając, że jeśli te warunki – które weszły do historii jako poprawka Platta – nie staną się trwałym elementem kubańskiej konstytucji, amerykańskie wojsko nie opuści wyspy. Ponadto Stany Zjednoczone uzyskały na mocy tej poprawki prawo do posiadania bazy morskiej w zatoce Guantánamo przez następne osiemdziesiąt lat.

Kubańczycy zdołali ostatecznie obalić poprawkę Platta w 1934 roku, ale do dzisiaj bezskutecznie próbują negocjować wycofanie się US Navy z bazy w zatoce Guantánamo.

Przez kolejne dziesięciolecia Kuba borykała się z demokratycznymi wyborami, które czasami prowadziły do dyktatur, czasami do powstań ludowych, a nawet do zbrojnej rebelii. Stany Zjednoczone nie uważały jednak za stosowne, żeby rozwijać na wyspie demokratyczne ideały, które same wyznawały. Kiedy trudne eksperymenty Kuby z demokracją zakończyły się w 1952 roku zamachem stanu przeprowadzonym przez Fulgencio Batistę, Amerykanie poparli go, a nawet wysłali mu broń. Uważali, że z tym człowiekiem można przynajmniej robić interesy, chociaż większość transakcji Batisty polegała na wzbogacaniu jego własnego konta bankowego, głównie dzięki powiązaniom z amerykańską przestępczością zorganizowaną.

Kubańczycy kochają symbolikę. Kiedy Fidel Castro i jego rewolucjoniści obalili Batistę, celowo zajęli Hawanę 1 stycznia 1959 roku, dokładnie w sześćdziesiątą rocznicę przejęcia kontroli nad wyspą przez Stany Zjednoczone.

7

Śmierć, którą nam podarowali

Quieren que esa muerte que nos han regalado
sea la fuente de nuestro nacimiento.
Chcą, żeby ta śmierć, którą nam podarowali w prezencie,
była źródłem naszych narodzin.

José Lezama Lima, *Pensamientos en La Habana* (1944)

Kiedy Stany Zjednoczone przejęły w 1898 roku kontrolę nad Kubą, było to w zasadzie rozszerzenie relacji, która została zapoczątkowana wcześniej. Amerykańskie interesy handlowe odgrywały ważną rolę w gospodarce kubańskiej nawet wtedy, gdy wyspa była hiszpańską kolonią. Zaobserwował to choćby Trollope w czasie swojej wizyty na Kubie w 1859 roku:

> Kubański handel wpada w ręce cudzoziemców – głównie Amerykanów ze Stanów. Hawana wkrótce stanie się równie amerykańska, co Nowy Orlean.

Ten związek rozpoczął się po rewolucji amerykańskiej, kiedy Brytyjczycy odcięli swoje zbuntowane kolonie od handlu z pozostałymi posiadłościami brytyjskimi, zaś Kuba zastąpiła Jamajkę jako źródło produktów tropikalnych. Wkrótce Amerykanie zaczęli mocno inwestować w cukier, główną podporę kubańskiej gospodarki, kupując plantacje trzciny cukrowej i zarządzając nimi, jak również nabywając plantacje tytoniu, hodowle bydła i kopalnie. To oznacza, że Amerykanie – i to nie tylko ci z Południa – mieli znaczny udział w kubańskim niewolnictwie.

To właśnie amerykańskie interesy cukrowe pozwoliły rozwinąć się wyspie. W 1837 roku Amerykanie zbudowali pierwszą linię kolejową na Kubie, żeby połączyć położone na wsi plantacje trzciny cukrowej z portem w Hawanie. Kuba była trzecim krajem na świecie, który miał kolej żelazną.

Amerykanie uruchomili również żeglugę parową, nie tylko między Hawaną i Stanami Zjednoczonymi, lecz także między Hawaną i Matanzas oraz innymi miastami północnego wybrzeża Kuby. Amerykanie zarówno rozwinęli miejscową żeglugę oraz ruch kolejowy, jak i nimi zarządzali.

W 1851 roku za sprawą nowojorczyka Samuela Kennedy'ego na Kubie pojawił się telegraf. W Stanach Zjednoczonych uruchomiono go zaledwie pięć lat wcześniej. I całkiem możliwe, że to właśnie na Kubie wynaleziono w istocie telefon. Antonio Meucci, Włoch mieszkający w Hawanie, wymyślił go bowiem już w 1871 roku, czyli trzy lata wcześniej niż Alexander Graham Bell.

Do połowy XIX wieku turyści ze Stanów Zjednoczonych na tyle często odwiedzali Kubę, że amerykański biznes turystyczny starał się zawładnąć tą bujnie rozwijającą się na wyspie branżą poprzez zakładanie własnych hoteli o takich nazwach jak American Hotel czy Havana House. Lecz dopiero w czasie amerykańskiej okupacji wojskowej w 1898 roku Hawana przeżyła, jak to określił „New York Times", istny „najazd Amerykanów w każdym wieku", pragnących obejrzeć to, co Trumbull White nazwał „naszą nową posiadłością".

Obywatel Stanów Zjednoczonych nie potrzebował nawet paszportu, żeby dostać się na Kubę. Niektórzy zostawali na wyspie przez kilka tygodni, inni przez kilka dni, a jeszcze inni, nazywani „*patos de la Florida*" – „kaczkami z Florydy" (od karolinki, ptaka z rodziny kaczkowatych, który przylatuje z Florydy na Kubę, żeby budować gniazda na drzewach palmowych) – po zaledwie kilku godzinach wracali na swoje łodzie.

Hawana zawsze cieszyła się wysokim poziomem wyrafinowania oraz standardów życiowych w porównaniu z innymi miastami Ameryki Łacińskiej i z pewnością zawsze dalece wyprzedzała inne miasta karaibskie. Od 1768 roku miała latarnie uliczne i była jednym z pierwszych miast na

Karaibach, w którym wydawano gazetę – nosiła tytuł „Gazeta de La Havana” i zaczęła się ukazywać w 1782 roku.

Lecz pod koniec XIX wieku, po stuleciu politycznej zawieruchy, miasto było w kiepskim stanie i nowi amerykańscy turyści postrzegali je jako miejsce zacofane, idealne do zrobienia świetnego interesu. Ziemia była tania i amerykańskie firmy handlujące nieruchomościami zaczęły ją wykupywać w tempie, które poważnie niepokoiło Kubańczyków. Vedado – przylegająca do centrum Hawany dzielnica z luksusowymi domami otoczonymi ogrodami, która dopiero niedawno zaczęła się rozwijać – zostało zalane przez Amerykanów, wykupujących pośpiesznie działki i domy po cenach, które były dla nich zdumiewająco niskie.

Martí miał rację, przewidując, że Amerykanie będą traktować z lekceważeniem „naszą Amerykę”. Jankesi postrzegali Hawanę jako niszczejące slumsy, które można odnowić za pomocą amerykańskiego *know-how*. Kubańczyków także można by odnowić i nauczyć, jak mają wyglądać, by przypominali swych sąsiadów z Północy. Jak pisano w przewodniku turystycznym *Terry’s Guide to Cuba* [Przewodnik Terry’ego po Kubie] z 1927 roku:

> Dzisiejsza Kuba szybko staje się zamerykanizowana (*americanizado*). Tysiące ludzi działają, myślą i wyglądają jak Amerykanie; noszą amerykańskie ubrania, jeżdżą amerykańskimi autami; używają amerykańskich mebli i maszyn; często wysyłają swoje dzieci do amerykańskich college’ów; sami mieszkają przez jakiś czas w Stanach, lub zamierzają to uczynić, i jedzą dużo amerykańskich potraw.

Oczywiście jest w tym jakaś historyczna ironia losu. Autor przewodnika miał na myśli tylko pewną klasę Kubańczyków, w większości mieszkających w Hawanie. I po 1959 roku, kiedy Fidel Castro rozpoczął swoje starania o przekształcenie tej zbudowanej i kontrolowanej przez Amerykanów części społeczeństwa, to właśnie jej przedstawiciele mieli najwięcej do stracenia i jako pierwsi wyjechali. Do połowy lat siedemdziesiątych w Hawanie pozostało już niewielu zamerykanizowanych Kubańczyków.

Amerykanie byli przekonani, że Hawana po prostu czekała bezczynnie na ich przybycie. W 1898 roku Trumbull White pisał: „Rozmnożenie się Amerykanów na wyspie samo z siebie poprawi to, co z naszego punktu widzenia było jej największą wadą – brak pokrewnej nam społeczności amerykańskiej”.

W 1900 roku prywatne spółki amerykańskie finansowane przez rząd Stanów Zjednoczonych zaczęły wydawać miliony dolarów na duże projekty, mające uczynić z Hawany miasto bardziej nadające się do życia dla Amerykanów. Brukowały i łatały ulice, ulepszały instalacje wodno-kanalizacyjne, wprowadzały pierwsze toalety wyposażone w spłuczki, budowały nowe elektrownie, doprowadzały elektryczność do domów, stawiały latarnie uliczne w nowych dzielnicach oraz budowały chodniki i fontanny w parkach miejskich.

Havana Electric Railway Company z siedzibą w Nowym Jorku wybudowała ponad dwadzieścia kilometrów elektrycznej sieci tramwajowej, która połączyła centrum Hawany z tym, co wtedy uważano za przedmieścia, a co z czasem miało się znaleźć w granicach miasta – Vedado na zachodzie, leżącymi dalej na południe Cerro i Jesús del Monte oraz słynącym z mineralnych źródeł i kąpieli leczniczych Guanabacoa na wschodzie.

Ta nowojorska spółka tramwajowa zmieniła kształt Hawany po rozpoczęciu okupacji amerykańskiej w stopniu większym niż cokolwiek innego. Dzięki niej bowiem ludność zamieszkująca znaczny obszar przedmieść mogła łatwo dotrzeć do centrum Hawany. Ziemia była dostępna, można było na niej budować domy z podwórzami, ogrodami, elektrycznością oraz ciepłą i zimną wodą w toaletach, które nie stały już na zewnątrz i można w nich było spuścić wodę. Takie domy nie były specjalnie drogie i dla każdego, kto miał trochę pieniędzy i nie był zagorzałym tradycjonalistą, te rozległe, bardziej oddalone tereny były znacznie bardziej

atrakcyjne do zamieszkania niż Centro Habana czy La Habana Vieja.

Amerykanie przywieźli ze sobą także innowacje w zakresie technik budowlanych, które otwierały przed miastem nowe możliwości architektoniczne. Na początku XX wieku w Hawanie zaczął się pojawiać modny w Paryżu i Nowym Jorku ozdobny styl *beaux arts*, a w ślad za nim – *art déco* i inne style.

Pod koniec lat dwudziestych rzeka Almendares nie wyznaczała już zachodniej granicy Hawany. Za nowym mostem – dziś w tym miejscu znajduje się tunel – leżały nadmorskie dzielnice Miramar i Marianao z polem golfowym, country clubem, torem wyścigów konnych, kasynem oraz atrakcyjną plażą. Te okolice stały się wówczas ulubionymi nowymi dzielnicami Amerykanów i ten status utrzymują do dziś.

W pierwszej połowie XX wieku turystyka na Kubie stale się rozwijała. W 1912 roku magnat naftowy Henry Flagler przedłużył swoją linię kolejową Florida East Coast Railway z zatoki Biscayne do Key West. W tamtym czasie Key West było największym miastem południowej Florydy, ale Flagler tak naprawdę myślał o założeniu bazy do prowadzenia handlu z pobliską Kubą. Połączenie kolejowe przez Florydę do Key West zbliżyło Kubę do Stanów Zjednoczonych bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Hawana gościła rozmaite amerykańskie konferencje i była popularnym celem podróży amerykańskich sław oraz – dzięki obecności amerykańskiej floty w zatoce Guantánamo – marynarzy.

Na początku okupacji amerykańskiej w Hawanie było zarejestrowanych dwieście domów publicznych, ale ta istniejąca od dawna branża hawańska miała teraz odnotować gwałtowny wzrost. Na początku lat trzydziestych w stolicy Kuby pracowało ponad siedem tysięcy prostytutek. Dla wielu mężczyzn wizyta u prostytutki była – obok muzyki, rumu i

cygar – jednym z obowiązkowych elementów wycieczki do Hawany.

Pojawiały się również niezliczone nowe bary, kawiarnie i restauracje. Hawana zawsze była miastem pełnym takich przybytków, ale nowe miejsca powstawały specjalnie z myślą o Amerykanach – Harry's New York Bar, Texas Bar, Chicago Restaurant, Manhattan Café. Reklamowały się swoją „amerykańską kuchnią", a czasami „amerykańską obsługą", co prawdopodobnie oznaczało szybką obsługę w porównaniu z tempem kubańskim, które nawet sami Kubańczycy uważali czasami za zbyt wolne. (Kubańczycy nie są już powolni. Jednym z przesłań rewolucji było hasło głoszące, że ciężka praca jest czynem rewolucyjnym – ten przekaz oraz nowy status pracy przy obsłudze przemysłu turystycznego zaowocowały pracowitymi i wydajnymi pracownikami. Dzisiaj w Hawanie nie widać leniwych pracowników, nawet gdy panują upały).

Sklepy zaczęły specjalizować się w amerykańskim jedzeniu, lekach, artykułach drogeryjnych, ubraniach i innych towarach. Kubańczycy sprzedający tutejsze produkty niejednokrotnie nadawali swoim sklepom amerykańskie nazwy. Sklepy spożywcze straciły swą hiszpańską nazwę, zaczęto nazywać je z amerykańska *groceries*. Nowym sposobem na zrobienie kariery stało się objęcie posady przedstawiciela handlowego lub dystrybutora amerykańskich towarów, ewentualnie prawnika reprezentującego amerykańskie firmy.

Co niezwykłe, w kraju słynącym z rodzimych wyrobów tytoniowych modne stały się amerykańskie papierosy. Amerykańscy producenci samochodów, zwłaszcza Ford, zatrudniali miejscowych agentów sprzedaży. „*Un ford*" stało się słowem oznaczającym taksówkę, choć dzisiaj częściej mówi się na nie „*chevy*". W 1930 roku w Hawanie przypadało więcej samochodów *per capita* niż w Nowym Jorku.

Zwierzęta domowe w Hawanie często nosiły – i nadal noszą – amerykańskie imiona oraz uczą się podstawowych komend po angielsku. *Habaneros* uwielbiają zwierzęta, w Hawanie jest mnóstwo udomowionych kotów i psów, mimo że jest to biedne miasto, w którym często brakuje jedzenia. Po sposobie zachowania zwierząt domowych łatwo się zorientować, że rzadko są źle traktowane. Koty są chude, ale przyjazne, tak samo jak ludzie.

Święta Bożego Narodzenia stały się kompletnie zamerykanizowane, zaczęto je obchodzić 25 grudnia zamiast 6 stycznia, w tradycyjny dzień Trzech Króli – *El Día de los Reyes*. No i pojawił się amerykański Święty Mikołaj – Santa Claus. Zamożne rodziny zaczęły świętować zarówno 25 grudnia, jak i 6 stycznia. W ciągu minionego półwiecza rewolucja usiłowała wyrugować Świętego Mikołaja, ale *habaneros* nadal obchodzą amerykańskie Boże Narodzenie, razem z takimi amerykańskimi świętami jak Dzień Matki i Dzień Ojca.

W 1921 roku Hawana stała się jednym z pierwszych miast na świecie, które posiadały międzynarodowe lotnisko. Pierwsze regularne połączenie z Key West uruchomiły linie Aeromarine Airways. Pan Am zaczął latać do Hawany w 1928 roku, a w latach trzydziestych już wiele linii lotniczych oferowało loty do Hawany z kilku amerykańskich miast.

Wśród rzeczy, jakie Ameryka sprowadziła do Hawany, były również jedne z pierwszych na świecie kinoteatrów, w których wyświetlano filmy dźwiękowe. W 1950 roku Kuba stała się pierwszym latynoamerykańskim krajem posiadającym telewizję, a w 1958 roku jako pierwsza miała już telewizję kolorową. W chwili zwycięstwa rewolucji w 1959 roku w Hawanie działało sto trzydzieści osiem kinoteatrów.

Wiele hawańskich firm robiło świetny interes na błyszczących czarno-białych fotosach hollywoodzkich gwiazd. *Habaneros* lubili umieszczać je w witrynach swoich sklepów i

restauracji oraz w domach prywatnych; po rewolucji robili to samo z błyszczącymi zdjęciami Fidela i Che – ta tradycja obowiązuje do dzisiaj.

Habaneros zawsze kochali gwiazdy filmowe – nieprzypadkowo do popularności rewolucji przyczynił się fakt, że przeprowadzili ją mężczyźni, którzy sami wyglądali jak kinowi amanci. Hawańska literatura jest pełna odniesień do hollywoodzkich filmów. Trudno o książkę, która byłaby bardziej *habanero* niż opublikowana w 2005 roku powieść kryminalna *Adiós Hemingway* Leonarda Padury, której fabuła koncentruje się wokół sprawy Avy Gardner, która pływała nago w basenie Hemingwaya (prawie każdy w Hawanie powie, że to prawda). W grę wchodzi morderstwo, a kluczowym dowodem są oczywiście koronkowe majteczki, które panna Gardner zrzuciła z siebie przed skokiem do wody.

Przy Prado i Parque Central stały eleganckie hotele, takie jak dziewiętnastowieczna Inglaterra czy wybudowana w 1908 roku w stylu neomauretańskim Sevilla z białymi, koronkowymi balustradami i bajkowymi wejściami zwieńczonymi łukami w kolorze turkusowym. W 1924 roku, kiedy w Hawanie trudno było znaleźć budynki wyższe niż dwukondygnacyjne, do wspomnianego hotelu dodano nowoczesne dziesięciopiętrowe skrzydło z salą balową na dachu, zbudowane przez słynną nowojorską firmę architektoniczną Schultze and Weaver. Kiedy w latach pięćdziesiątych amerykańska mafia zaczęła przejmować hawańską branżę turystyczną, współwłaścicielem hotelu Sevilla, noszącego już wówczas nazwę Sevilla Biltmore, był Santo Trafficante Jr., który przeniósł się do Hawany w 1950 roku, uciekając przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości na Florydzie.

Kiedy Hawana w 1930 roku poszerzyła się o Vedado, na nabrzeżu tej dzielnicy wybudowano kolejny hotel, który stał się wizytówką miasta – hotel Nacional. Został on

zaprojektowany przez nowojorską firmę McKim, Mead and White, znaną z wielu słynnych budynków w Nowym Jorku – kampusu Uniwersytetu Columbia, oryginalnego dworca Pennsylvania Station, Biblioteki Morgana – oraz innych amerykańskich miastach (Bostońska Biblioteka Publiczna czy Narodowe Muzeum Historii Naturalnej w Waszyngtonie). W przypadku hotelu Nacional firma sięgnęła po styl neośródziemnomorski, który zyskał sobie popularność wśród bogaczy przybyłych na Florydę dzięki kolei Flaglera. Nowy hotel wybudowany w Vedado przypominał sławny już wtedy Breakers Hotel w Palm Beach, który w 1925 roku został przebudowany przez firmę Schultze and Weaver. Nacional, ze swoimi pięciuset pokojami, był największym hotelem Hawany i jako pierwszy miał widok na ocean.

Amerykanie przebudowywali Hawanę na własną modłę. A skoro amerykańskie gusta skłaniały się ku segregacji rasowej, podobnie musiało to wyglądać także na Kubie – wszystko, byle tylko zadowolić Amerykanów. Poeta Nicolás Guillén opisywał zaobserwowaną przez siebie sytuację, gdy pewna para próbowała wynająć pokój w Nacionalu. Biały mężczyzna, któremu towarzyszyła młoda Murzynka, usłyszał, że w wielkim hotelu absolutnie nie znajdzie się dla nich ani jeden pokój. Nie miało żadnego znaczenia, że ową kobietą była słynna tancerka Josephine Baker, która przybyła do Hawany na występy. Para musiała pójść do innego hotelu, mniejszego i nie tak popularnego wśród Amerykanów. Jak pisał Guillén: „Hotel Nacional, na przykład, jest jankeski. Stanowi w Hawanie kawałek Wirginii albo Georgii, czyli miejsc, gdzie bycie czarnym to ledwie lekko uczłowieczona forma bycia psem”. Następnie pozwolił sobie na typowo hawański sarkazm. „Mimo wszystko bądźmy sprawiedliwi: trzeba powiedzieć, że w żadnym momencie pani Baker nie groziło, że zostanie zlinczowana, jak to by się stało w Richmond czy w Atlancie. Czyż to nie ewidentny postęp, z którego my, Kubańczycy, powinniśmy być dumni?”

Hiszpański zamek El Morro nie był już jedynym wyróżniającym się punktem na hawańskim horyzoncie, nad którym wznosiły się teraz również dwie wieże Nacionalu i wielka biała kopuła El Capitolio – Kapitolu stanowiącego siedzibę władz ustawodawczych zmagającej się z trudnościami Republiki Kuby. Budynek ten został ukończony w 1929 roku, za rządów generała Machado, demokratycznie wybranego prezydenta, który po krótkim flircie z demokracją uznał jednak, że autokracja lepiej się sprawdza (Machado został ostatecznie obalony przy użyciu siły). Po rządach Machado nie ostały się żadne demokratyczne instytucje, ale pozostał po nim ten bardzo duży gmach władzy ustawodawczej, większy od swego waszyngtońskiego odpowiednika, którego, pomimo oficjalnych zaprzeczeń, wydaje się kopią. W posadzce pod kopułą Kapitolu rzekomo umieszczono brylant, od którego mierzy się odległości między stolicą i wszelkimi punktami na Kubie. Szacowany koszt tego budynku wynosił dwadzieścia milionów dolarów i mówiło się, że jego budowa doprowadziła kubańską gospodarkę do bankructwa.

Podobnie jak to mają w zwyczaju francuscy prezydenci, Machado był zdeterminowany, by pozostawić po sobie widoczne ślady w stolicy – oprócz El Capitolio wybudował również Malecón, bulwar biegnący wzdłuż stojącego w dzielnicy Vedado muru chroniącego miasto przed falami Atlantyku. Przez stulecia wybrzeże w tym miejscu, z niesfornymi falami rozbijającymi się w nieprzewidywalny sposób o skały i bryzgającymi pianą, stanowiło rodzaj ziemi niczyjej. Część tego nabrzeża w ostatnich latach panowania hiszpańskiego służyła jako wysypisko śmieci. Lecz w 1902 roku, za czasów okupacji amerykańskiej, generał Wood kazał zbudować wzdłuż nabrzeża mur, a później, kiedy w Hawanie zaczęły się w dużych ilościach pojawiać samochody, wzdłuż tego muru zbudowano malowniczą drogę. W 1930 roku, w okresie dyktatury Machado, drogę wydłużono, żeby biegła

wzdłuż całego zaokrąglonego nabrzeża Vedado – nieco ponad dziesięć kilometrów od La Habana Vieja do rzeki Almendares.

Malecón kompletnie zmienił perspektywę Hawany. Do czasu jego wybudowania Hawana była miastem leżącym nad zatoką. Kiedy zbudowano Malecón, *habaneros* odwrócili się od zatoki w kierunku oceanu. Hawana stała się miastem leżącym nad morzem, nad Atlantykiem, nad cieśninami, stojącym twarzą w twarz z Prądem Zatokowym, stała się miastem, które przyciągnęło Hemingwaya. Malecón nadal jest ulubionym miejscem spotkań, miejscem, gdzie można łowić ryby, gdzie zakochani mogą spacerować, słuchając huku morza, lub pościskać się w cieniu, miejscem, gdzie można wieczorem pograć na gitarze, jedynym miejscem w Hawanie, gdzie w bezlitośnie upalny dzień można cieszyć się atlantycką bryzą, gdzie wieczorem można się odświeżyć, miejscem, gdzie można znaleźć schronienie za niezliczonymi kolumnami budynków stojących wzdłuż tego bulwaru, odpowiednim miejscem do stawienia czoła morzu, gdzie ocean jest nieco dziki, a wysokie fale przelewają się ponad krawędź drogi. Jazda samochodem obok spienionych fal jest czymś ekscytującym. Jak pisał Cabrera Infante w swojej powieści *Trzy pstre tygrysy*: „Powiedziałbym coś, co szczęśliwi właściciele kabrioletów wiedzą równie dobrze, jak ja, i nie trzeba im tego tłumaczyć, tak że zwracam się wyłącznie do tych, którzy nigdy nie sunęli kabrioletem po Malecónie, między piątą a siódmą wieczorem, 11 sierpnia 1958 sto czy sto dwadzieścia na godzinę: ten przywilej, ta pełnia szczęścia, ta euforia”**[14]**.

Dla dzieci hawańskich nie ma większej radości w upalny dzień – a taki jest tu prawie każdy – niż biegać wśród fal rozpryskujących się nad Malecónem. Każdy, kto dorastał w Hawanie, ma wspomnienia z dzieciństwa związane z Malecónem. Carlos Eire, uprzywilejowany syn sędziego z czasów Batisty, w swoich wspomnieniach z dzieciństwa, zatytułowanych *Czekając na śnieg w Hawanie*, opisywał, jak

przekonywał swego ojca, żeby w czasie sztormu przejechał samochodem przez fale na Malecónie.

Można by uzbierać cały tom poezji o Malecónie – od *Noche habanero* [Hawańska noc] Ibarzábala przez *En el Malecón* [Na Malecónie] Bernarda Jambriny i *En el Malecón* Agustína Acosty po *Las tardes del Malecón* [Popołudnia Malecónu] Carpentiera oraz wiele innych tytułów.

Romantyczność tego bulwaru zwiększa dodatkowo niewyraźny, ale podniecający posmak niebezpieczeństwa. Morze podnosi się, zdaje prężyć muskuły i uderza o nabrzeże, ochlapując drogę. Potem fale wznoszą się ponad mur i rozpryskują na drodze, pozostawiając ślady piany w miejscach zetknięcia się z podłożem, a czasami nawet oblewając filary budynków stojących po drugiej stronie bulwaru. To wtedy pojawia się natrętna myśl: „Na ile to może być groźne?”.

Bardzo groźne. Słowo „huragan” pochodzi z języka Tainów, którzy jako pierwsi rysowali symbolizujące go spirale. Hawana leży w krainie huraganów. Najbardziej niszczycielskim, jaki kiedykolwiek zarejestrowano – być może były groźniejsze, ale zarejestrowano je wyłącznie za pomocą wspomnianych spiral Tainów – był huragan Santa Teresa z 15 października 1768 roku. Nie było wtedy żadnego sposobu, żeby zmierzyć prędkość wiatru, ale całe kamienice zostały wówczas obrócone w gruzy, zaś do wewnętrznego, rzekomo bezpiecznego portu z wściekłością wdarło się morze, które cofając się, zabrało ze sobą wszystkie stojące na kotwicy statki. W 2005 roku inny październikowy sztorm, huragan Wilma, przedarł się przez Malecón i znaczna część miasta została zalana wodą morską na wysokość prawie metra. Chociaż ewakuowano wtedy sto trzydzieści tysięcy ludzi, zaś wielkie fragmenty Malecónu zostały zabrane przez morze, co spowodowało, że nadmorska strona na wpół zrujnowanego Vedado wyglądała jeszcze gorzej, nie było żadnych ofiar śmiertelnych. Malecón szybko naprawiono, a stare,

rozsypujące się miasto doznało niewielu trwałych szkód, być może dlatego, że już wcześniej było zdewastowane.

Prohibicja – konstytucyjny zakaz spożywania napojów alkoholowych obowiązujący w Stanach Zjednoczonych w latach 1920–1933 – stanowiła dla Hawany nową szansę. To właśnie prohibicja przyciągnęła do Hawany przestępczość zorganizowaną. Kubańskie lokale adresujące swoją ofertę do Amerykanów mogły im teraz zaoferować niedostępne w ojczyźnie drinki. Machado musiał być zachwycony, kiedy w 1928 roku, w czasie wizyty amerykańskiego prezydenta Calvina Coolidge'a na Kubie, na oczach zgromadzonych dziennikarzy kazał obsłudze zaserwować gościowi daiquirí. Przedstawiciele prasy byli pod wrażeniem tego, jak pomysłowo Coolidge zdołał jednak odwrócić uwagę Machado, unikając przy tym kelnera z drinkiem.

Większość Amerykanów nie tylko nie odmawiała oferowanych im libacji – przybywali oni do Hawany specjalnie po to, żeby się napić. Nawet bez udziału przestępczości zorganizowanej dla hawańskich barów był to świetny interes. Chyba najsłynniejszym z nich był znajdujący się koło hotelu Sevilla Biltmore bar Sloppy Joe's, z przestronnym wnętrzem, wieloma lustrami i długim, ciemnym kontuarem z mahoniu oraz wysokimi stolikami z ciemnego drewna. Slogan reklamowy Sloopy Joe's brzmiał: „Pierwszy przystanek, gdzie zaczyna być mokro"[15].

Właśnie w tym barze Carol Reed nakręcił scenę z *Naszego człowieka w Hawanie*, w której sprzedawca odkurzaczy jest werbowany przez wywiad brytyjski. Można przypuszczać, że takie rzeczy mogły tam mieć miejsce – w ogromnym barze, w którym tłoczyli się niemal wyłącznie cudzoziemcy.

Hiszpan José Abeal y Otero, znany swoim amerykańskim klientom jako Sloppy Joe, otworzył swój lokal po wprowadzeniu prohibicji w Stanach. Według Abeala, który w latach trzydziestych rozprowadzał broszurki z historią swego

baru, początkowo – w 1918 roku – otworzył tam sklep spożywczy. Ponieważ sklep był bardzo zaniedbany, amerykańscy klienci zaczęli nazywać go „Sloppy Joe's" – „U niechlujnego Joego". Zgodnie z inną wersją tej opowieści nazwa była związana z niepochlebną opinią na temat lokalu.

Specjalnością Sloppy Joe's była kanapka o tej samej nazwie, która stanowiła doskonały symbol ówczesnej Hawany. Było to po prostu tradycyjne kubańskie danie picadillo, serwowane na amerykańskiej bułce do hamburgerów.

Poniżej zamieszczam przetłumaczony przeze mnie z hiszpańskiego przepis, który podał mi tamtejszy barman. Najpierw jednak trzeba przyrządzić picadillo, a więc oto przepis na tę potrawę, który otrzymałem ponad trzydzieści lat temu w równie słynnym hawańskim barze La Bodeguita del Medio:

Posiekać mięso (wołowinę) i zamarynować je w soli oraz soku z limonki albo occie. Zrobić sofrito z mielonego czosnku i cebuli podsmażonych krótko na średnim ogniu razem z siekanym mięsem. Powinno się to robić powoli.

A teraz przepis używany w Sloppy Joe's:

Podsmażyć picadillo na oleju, dodać czarny pieprz, cebulę, czosnek, kmin rzymski, liść laurowy i sos pomidorowy, a na koniec sos demi glace. Dodać soli do smaku, w czasie gotowania dorzucić jeszcze zielone oliwki. Na koniec trzymać na średnim ogniu przez pięć minut. Podawać na bułce hamburgerowej.

Sloppy Joe's to również popularny w latach trzydziestych drink serwowany w wysokich szklankach z kruszonym lodem i słomką. Jego sekretem są proporcje między alkoholem a sokiem owocowym. Oto składniki tego drinka, zgodnie z barową broszurką:

dwie uncje soku ananasowego

jedna uncja koniaku

jedna uncja porto

ćwierć łyżeczki pomarańczowego curaçao

ćwierć łyżeczki grenadyny.

Sloppy Joe’s słynął ze swoich koktajli, które były bardzo modne w Hawanie. Bar szczycił się osiemdziesięcioma rodzajami przyrządzanych koktajli, w tym American Girl i Mary Pickford – ten drugi robiono, jako uproszczoną wersję Sloppy Joe’s, z ananasa, rumu i grenadyny.

Drinki z lodem były kubańską specjalnością w XIX wieku, kiedy tylko kilka miast, w których królował upał, w szczególności Hawana i Nowy Orlean, dysponowało dużymi zapasami lodu. Lód dostarczano z północy, jego bloki wycinano w stanach Nowy Jork i Nowa Anglia, przechowywano w izolowanych lodowniach, a następnie wysyłano statkami z Nowego Jorku i Bostonu bezpośrednio do Hawany.

Pierwszy transport lodu przybył do Hawany w 1806 roku. W powieści *Cecylia Valdés* biali plantatorzy spędzają gorące popołudnia, sącząc drinki z lodem. W 1871 roku Samuel Hazard był zaskoczony łatwym dostępem do lodu w Hawanie. Kursujące po ulicach wozy konne, z których sprzedawano śnieżne rożki (lody szronowe z dużą porcją syropu), były powszechne w Centro Habana od XIX wieku aż do roku 1959, kiedy rewolucja zniosła prywatną przedsiębiorczość.

Jednym z pierwszych słynnych koktajli kubańskich z dodatkiem lodu było cuba libre. Amerykańscy żołnierze, w tym Rough Riders[16], którzy przywozili coca-colę na Kubę, zaczęli wkrótce doprawiać ją rumem, często wznosząc toasty za „wolną Kubę”, czyli sprawę, za którą rzekomo walczyli. Ten drink, serwowany w wysokiej szklance z lodem i odrobiną soku z limonki lub kapką gorzkiej nalewki, szybko stał się *habanero*.

Inny sławny bar Hawany, El Floridita, został założony w 1912 roku przez Constantino „Constante” Ribalaiguę, niskiego mężczyznę, cieszącego się sławą wielkiego barmana, który do perfekcji doprowadził serwowanie daiquirí – częściowo dzięki dodaniu do przepisu likieru maraschino. Podobnie jak cuba

libre, daiquirí zostało wymyślone na wschodzie Kuby, ale udoskonalono je w Hawanie. Daiquirí, składające się zasadniczo z rumu, soku z limonki, cukru i lodu, zawdzięcza swoją nazwę pewnemu górniczemu miasteczku. Podobno ten drink wymyślił amerykański inżynier Jennings Cox, gdy skończył mu się gin. Inni twierdzą, że jego wynalazcą był amerykański żołnierz William Shafter, który wymyślił daiquirí w Santiago, dodając lód do miejscowego drinka złożonego z rumu i soku z limonki. W każdym razie lód był głównym składnikiem tego amerykańskiego koktajlu.

Początkowo El Floridita słynął z wiszących pod sufitem, bardzo głośnych wiatraków oraz ogromnych, szeroko otwartych drzwi, które wpuszczały do środka powietrze. Tłum wylewał się z baru na ulicę. Hemingway mógł wyjść z hotelu, w którym mieszkał, minąć kilka nastawionych głównie na potrzeby Amerykanów sklepów na Calle Obispo, a następnie schłodzić się drinkiem z lodem w El Floridicie. To było przyjemne życie.

Bodeguita to niewielka piwnica z małym sklepikiem spożywczym, który zazwyczaj jest wyposażony w bar. Ángel Martínez założył taki lokal w 1942 roku. Miał się on nazywać Casa Martínez, ale wszyscy nazywali go La Bodeguita del Medio, czyli „piwniczka w samym środku osiedla”. W 1951 roku w spółkę z Martínezem wszedł Sepy Dobronyi, Węgier, który w swoim życiu robił wszystko – był między innymi pilotem, projektantem biżuterii oraz malarzem. Z jego pomocą La Bodeguita zamieniła się w coś pomiędzy barem, restauracją a speluną, co w Hawanie sprawdziło się doskonale. Gwiazdy kina, takie jak Errol Flynn, mogły tutaj tanio się napić i zjeść lokalne chłopskie przysmaki, zasiadając w jednym z kilku małych pokoików o tandetnym uroku i słuchając przy tym nieźle wykonanych boler i pieśni zwanych *guajiras*. Klientów zachęcano do tego, żeby na ścianach pozostawiali swoje podpisy i rysunki.

Wśród potraw kubańskich serwowanych w La Bodeguicie było ajiaco. Chociaż to danie zajmuje poczesne miejsce w kuchni hawańskiej, wywodzi się z prowincjonalnych plantacji trzciny cukrowej, gdzie bulwy warzyw zapewniały niewolnikom niedrogie wyżywienie. Alfonso Hernández Catá, tworzący na początku XX wieku pierwszy wielki kubański prozaik specjalizujący się w krótkich formach, w jednym z opowiadań opisał pewnego weterana, który przytacza swoim dzieciom historię z czasów wojny o niepodległość. Upiera się jednak, żeby przed opowieścią zjedli najpierw ajiaco. W ten sposób chce zachować kontakt z *cubanismo*.

Ajiaco jest uważane za kwintesencję kubańskiej potrawy, ponieważ zawiera miejscowe bulwy: jukę, znaną również jako maniok, boniato, czyli białego słodkiego ziemniaka, i malangę, korzeń podobny do taro. Ponadto są w nim afrykańskie produkty, takie jak jams i banan, oraz europejskie mięsa. Na jednej z upstrzonych bazgrołami ścian w La Bodeguicie, ktoś napisał: „*Yo mi apetito solo aplaca en la mesa en que brilla un buen ajiaco*” („Mój apetyt zaspokaja tylko stół, na którym błyszczy dobre ajiaco”).

A oto przepis na to danie serwowane w La Bodeguicie:

> Do naczynia żaroodpornego włóż peklowaną wołowinę, paski wieprzowiny, wołowiny i bekonu i zalej to wszystko wodą. Doprowadź do wrzenia i dodaj dwa lub trzy banany, boniato, malangę, maniok, kolczocha, bakłażana, kolbę słodkiej kukurydzy, miąższ dyni i, jeśli chcesz, również trochę ziemniaków. Gotuj to przez godzinę. Utłucz przyprawy w moździerzu, dodaj trochę szafranu i zmieszaj je z odrobiną bulionu z naczynia żaroodpornego. Wlej wszystko do naczynia żaroodpornego. Dodaj odrobinę soku z limonki i gotuj jeszcze przez piętnaście minut.

Drink, który przyniósł sławę La Bodeguicie, to mojito. Ten koktajl, spopularyzowany przez Ángela Martíneza, jest teraz łączony z Hawaną, ale jego pochodzenie nie jest pewne i może sięgać wielu stuleci wstecz. O ile daiquirí wlewa się do szklanek wypełnionych kruszonym lodem, mojito zawiera tylko kilka kostek lodu, co sugeruje, że może to być drink o dłuższej historii.

Dla mnie mojito jest *tym* smakiem Hawany. Przyjeżdżam tam, sączę moje pierwsze mojito i już wiem, że jestem w Hawanie. Kiedyś nie można było wypić tego drinka nigdzie indziej. Dzisiaj są wszędzie – w Nowym Jorku, Paryżu i Tokio. Lecz żadne z tych oszukaństw nie smakuje jak prawdziwe mojito, ponieważ przy ich przygotowaniu popełnia się fatalny błąd – dodaje się niewłaściwego rodzaju mięty. Mojito trzeba przyrządzać z tropikalną zieloną miętą, która rośnie na Kubie i nazywa się *yerba buena*. Szczerze mówiąc, moja słabość do tego drinka może być nadmierna – w latach osiemdziesiątych pewien urzędnik rządowy, oddelegowany do śledzenia moich poczynań na Kubie, nadał mi przezwisko „Mojito".

A oto przepis na mojito z La Bodeguity:

> Zmieszaj pół łyżeczki cukru i sok z połowy limonki w kieliszku koktajlowym. Dodaj listki mięty i zgniataj je tak długo, aż puszczą sok. Dodaj dwie kostki lodu i pół uncji rumu Havana Club Light Dry. Zalej do pełna wodą sodową i wymieszaj.

Chociaż w powyższym przepisie używany jest cukier w kryształkach, zauważyłem, że w La Bodeguicie używają syropu z trzciny cukrowej, który znacznie lepiej miesza się z drinkiem. W niektórych barach hawańskich dodają także odrobinę gorzkiej wódki angostura, co również jest dobrym pomysłem.

W 1940 roku, kiedy Batista doszedł do władzy po raz pierwszy, a w szczególności za drugim razem, po zamachu stanu w 1952 roku, zdał sobie sprawę, że im częściej angażował się w jakieś projekty i im szerzej były one zakrojone, tym więcej pieniędzy mógł ukraść. Dlatego oferował rządowe wsparcie finansowe, ulgi podatkowe i dotacje dla projektów budowlanych, które zawsze przyciągały amerykańskich inwestorów. Niektórzy z nich, jak Santo Trafficante i Meyer Lansky, byli czołowymi postaciami przestępczości zorganizowanej w Stanach Zjednoczonych.

W 1946 roku w hawańskim hotelu Nacional odbyło się jedyne w swoim rodzaju spotkanie na szczycie amerykańskiego świata przestępczego. Lucky Luciano, człowiek, któremu w USA przypisywano udział w przestępczości zorganizowanej, za co został deportowany z Ameryki, próbował ułożyć sobie życie w Hawanie. Ostatecznie jednak był zmuszony wrócić na ojczystą Sycylię. Celem wspomnianego spotkania było właśnie mianowanie szefa syndykatu hazardowego, który miał kontrolować hawańskie kasyna. Na naradzie zjawili się liczni członkowie nowojorskich rodzin przestępczych, jak również Joe i Rocco Fischetti z założonej przez Ala Capone organizacji chicagowskiej oraz piosenkarz Frank Sinatra. Ostatecznie bossem hawańskiego hazardu został ogłoszony Meyer Lansky, którego Luciano znał od dzieciństwa spędzonego w nowojorskiej dzielnicy Lower East Side.

Zarówno hazard, jak i związane z nim łapówki wręczane władzom stanowią w Hawanie uświęconą tradycję. Villaverde w *Cecylii Valdés* wspomina, że na początku XIX wieku „domy gry na Kubie płaciły rządowi kontrybucję na rzekome obiekty dobroczynne”**[17]**.

W latach pięćdziesiątych setki kolejnych barów i nocnych klubów otwarto przy Paseo del Prado i w dzielnicy Vedado, wokół Calle 23 – Dwudziestej Trzeciej Ulicy, która nadal tętni życiem. Nazywa się ją La Rampa, ponieważ wybudowano ją na lekkim wzniesieniu. Nocne kluby zaczęto otwierać także poza Vedado. Leżące tuż za miastem Sans Souci przypominało majątek wiejski z ogrodami, po których można się było przechadzać albo tańczyć pod gołym niebem przy akompaniamencie znanych orkiestr. Występowali tam światowej sławy artyści, od Édith Piaf i Harry’ego Belafonte po Marlenę Dietrich i Sarah Vaughan, jak również kubańskie gwiazdy, takie jak Benny Moré, słynny śpiewak specjalizujący się w bolerach. Tamtejszym kasynem zarządzał Meyer Lansky.

Również na przedmieściach, tuż obok Marianao, znajdowała się Tropicana ze swą spektakularną architekturą z lat czterdziestych XX wieku, a zwłaszcza zaprojektowanymi przez Maxa Borgesa Arcos de Cristal – wielkimi betonowymi łukami ze szklanymi ścianami. Tropicana to jedyny ze słynnych klubów tamtej epoki, który – przez lata zarządzany przez władze rewolucyjne – przetrwał do dziś. Budynek wygląda na nieco sfatygowany i jest kompletnie nie na miejscu w rewolucyjnej Hawanie (Kubańczycy tam nie chadzają), ale jego architektura nadal zachwyca, a kobiety – pomimo stanowiska rządu, który oficjalnie sprzeciwia się kupczeniu ciałem – są tam piękne i prawie nagie.

Graham Greene, opisujący w autobiografii *Ways of Escape* [Drogi ucieczki] swoje podróże do Hawany, w szczery i bezpośredni sposób wyraził to, o czym prawdopodobnie myślała większość mężczyzn:

> Cieszyłem się niemoralną atmosferą miasta Batisty, ale nigdy nie zostawałem tam na tyle długo, żeby zdać sobie sprawę ze smutnego tła politycznego, jakim było bezprawne wtrącanie ludzi do więzienia i stosowanie tortur. Przyjeżdżałem tam […] dla restauracji Floridita (słynnej ze swych daiquirí i krabów Morro), dla burdelowego życia, ruletki w każdym hotelu, automatów do gry, wyrzucających z siebie wygrane w postaci strumieni srebrnych jednodolarówek, teatru Szanghaj, gdzie za dolara i dwadzieścia pięć centów można było zobaczyć nagi kabaret z ekstremalną sprośnością i najbardziej niebieskimi z niebieskich filmów[18] w przerwach między występami.

W swojej książce Greene opisuje wieczór, jaki spędził z przyjacielem w teatrze Szanghaj, obserwując występ mężczyzny zwanego Supermanem, który na żywo uprawiał seks z pewną Mulatką. Pisarz narzekał jednak, że pokaz zaprezentowany przez Supermana był „nudny jak w przypadku męża wypełniającego swe obowiązki małżeńskie”. Następnie przyjaciele poszli przepuścić pieniądze na ruletce, zjedli kolację w El Floridicie, wypalili odrobinę marihuany i obejrzeli lesbijski występ w Blue Moon. Po tym wszystkim ich kierowca zdobył jeszcze po niewiarygodnie niskiej cenie odrobinę kokainy, którą kupił w kiosku z gazetami. Diler był

jednak nieuczciwy, ponieważ kokaina okazała się zwykłym białym proszkiem. To właśnie taki wieczór zainspirował Greene’a, by miejsce akcji jego komedii szpiegowskiej, która później została zatytułowana *Nasz człowiek w Hawanie*, przenieść z Europy do stolicy Kuby. „Nagle uderzyło mnie, że tutaj, w tym niezwykłym mieście, gdzie każdy występek był dozwolony i wszystko można było kupić, znajduje się prawdziwe tło dla mojej komedii”. Dobrze czy źle, a prawdopodobnie i tak, i tak, wszystko zakończyło się rewolucją.

Pod koniec lat pięćdziesiątych w Hawanie rozpoczął się ten sam proces, co w innych miastach usytuowanych nad brzegiem morza, a mianowicie budowa ściany betonowych wieżowców hotelowych, oddzielających miasto od oceanu. W 1955 roku Meyer Lansky zapoczątkował realizację swojego marzenia, budując najbardziej luksusowy hotel nadmorski na Karaibach – Habana Riviera w dzielnicy Vedado. Lansky wkład własny wzbogacił o pieniądze uzyskane od inwestorów z Las Vegas oraz sześć milionów dolarów z pożyczek rządowych, jakich udzielił mu jego przyjaciel Batista. Był to hotel o dwudziestu jeden piętrach, zaprojektowany przez Igora Polevitzky’ego, który swoimi budynkami, takimi jak wzniesiony w 1940 roku Shelbourne Hotel, wywarł wielki wpływ na wygląd wieżowców stojących na nabrzeżu Miami Beach. Jedną z wyróżniających się atrakcji Riviery stanowił fakt, że był to pierwszy budynek w Hawanie mający wewnętrzną klimatyzację, która nadal stanowiła rzadkość w tym mieście.

Hawański Hilton, który otwarto w 1958 roku, był trzydziestojednopiętrowym budynkiem stojącym na skraju La Rampa w Vedado i, jak przechwalali się jego właściciele, był widoczny z każdego miejsca w mieście. Miał sześćset trzydzieści pokojów, duży basen, kasyno i komfortowy bar na dachu, z którego, jak głosi stary dowcip, roztaczał się

najlepszy widok w całej Hawanie, ponieważ nie było stamtąd widać Hiltona.

Zgodnie z często stawianą tezą, która doprowadza do furii przeciwników rewolucji, można stwierdzić, iż to właśnie rewolucja ocaliła Hawanę. Ocaliła ją przed przekształceniem w kolejne Miami Beach lub portorykańskie San Juan. Ocaliła Malecón przed odcięciem go od reszty miasta przez hotelowe wieżowce. I ocaliła Hawanę przed Josepem Lluísem Sertem oraz jego wykształconymi na Harvardzie i będącymi pod wpływem Le Corbusiera architektami, którzy przedstawili miastu swoją propozycję zmodernizowania kubańskiej stolicy. Zabytkowe budynki La Habana Vieja miały zostać zastąpione przez beton i szkło, wąskie uliczki poszerzone i utwardzone, żeby lepiej nadawały się do ruchu samochodowego, a starodawne hiszpańskie place miały zamienić się w parkingi. Sert planował, że miasto będzie liczyć cztery miliony mieszkańców, czyli dwa razy więcej niż dzisiejsza Hawana.

Castro widział, jak inne latynoamerykańskie miasta, takie jak Santo Domingo, Meksyk i Caracas, były zalewane przez przybyszów ze wsi, szukających tam szans, których w wielu przypadkach wcale tam nie było. W rewolucyjnej Kubie wprowadził więc prawo, zgodnie z którym Kubańczyk, który chciał przenieść się do stolicy, musiał złożyć podanie i wykazać w nim dobrze zorganizowany plan ułożenia sobie pomyślnego życia w mieście. Hawana nie jest miastem dla wszystkich Kubańczyków.

8

Rewolucja w dwudziestu sześciu smakach

Esta ciudad picante y loca…

To miasto, pieprzne i szalone…

Federico de Ibarzábal, *Una ciudad del trópico* (1919)

Kiedy na początku lat osiemdziesiątych przybyłem do Hawany po raz pierwszy, zatrzymałem się w Hiltonie, który w tym czasie nazywał się już Habana Libre. Nie był to mój wybór – rząd kubański lokował tam wszystkich amerykańskich dziennikarzy. Chociaż byłem wdzięczny za klimatyzację i nie przejmowałem się brakiem kasyna, to miejsce wydawało mi się kompletnie sterylne w mieście, które sprawiało odwrotne wrażenie. Poza tym trudno było nie czuć się tam kontrolowanym. Krążyły pogłoski, że telefony były na podsłuchu, zaś urzędnicy rządowi w rozmowach z dziennikarzami nie kryli tego, że wiedzą o umówionych lunchach i innych planach, jakie omawialiśmy przez telefon. Wydawali się bardziej zainteresowani podkreśleniem swojej dogłębnej wiedzy niż ukryciem faktu, że nas szpiegowali.

W wielkim lobby siedziało mnóstwo znudzonych mężczyzn, którzy wyglądali na agentów rządowych – jeden z nich zawsze „przypadkowo” wstawał akurat wtedy, kiedy wychodziłem. Były tam również kobiety, które wyglądały na prostytutki, ale miały jakieś powiązania z agentami rządowymi. W końcu była to znacjonalizowana gospodarka.

Niektórzy twierdzą, że rewolucja zaczęła się krwawo i bezlitośnie, co jest w istocie prawdą. Lecz jej początki były również idealistyczne i kompletnie niepraktyczne. Rząd nie od razu zdał sobie sprawę z tego, że jeśli dysponuje się luksusowym hotelem w rodzaju Habana Libre, powinno się z niego zrobić dochodowy interes. I dlatego w pierwszych latach po rewolucji ów hotel był udostępniany tysiącom wiernych

partii chłopów, których zwożono autobusami, żeby wiwatowali na cześć Fidela na jego wiecach. Zakwaterowanie chłopów w luksusowym hotelu świetnie wyglądało pod względem ideologicznym, chociaż nie byli oni obeznani z takim luksusem i mieszkali po kilku w jednym pokoju, nie zawsze pozostawiając hotelowe wnętrza w najlepszym stanie. Z czasem rząd zdał sobie jednak sprawę, że nie był to właściwy sposób użytkowania hotelu o tak wysokim standardzie, tym bardziej że takich miejsc nie było zbyt wiele.

W czasie jednego z pobytów na Kubie, spędziwszy tydzień w Habana Libre, postanowiłem na własną rękę przenieść się do małego hoteliku w Vedado. Miałem tam mniejszy pokój, a klimatyzator stanowiła hałaśliwa skrzynka w oknie, ale nie było tam żadnego lobby, w którym ktoś mógłby sennie przesiadywać.

W tamtym czasie na Kubie były tylko dwa kanały telewizyjne. Jeden był polityczny i przedstawiał oficjalną linię rządu w wielu kwestiach; było to w jakimś sensie pomocne dla dziennikarzy. Drugi kanał był poświęcony kulturze i w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że w niektóre wieczory wolałem zostać w hotelu, żeby obejrzeć w telewizji jakiś świetny film kubański.

W czasie tamtej podróży zobaczyłem *Memorias del subdesarrollo* [Wspomnienia z Trzeciego Świata], klasyczny czarno-biały film Tomása Gutiérreza Alei z 1968 roku, będący adaptacją powieści Edmundo Desnoesa o tym samym tytule, która ukazała się w 1965 roku. Była to jedna z pierwszych powieści o życiu na Kubie w okresie rewolucji. Opowiada o człowieku, który czuje się zagubiony po tym, jak wszyscy jego znajomi wyjechali do Miami. Gutiérrez nakręcił także dwa inne świetne filmy: *La muerte de un burócrata* [Śmierć biurokraty], bardzo mroczną i zabawną komedię o biurokracji czasów rewolucji, oraz *La última cena* [Ostatnia wieczerza], fascynujący dramat historyczny o osiemnastowiecznym

plantatorze, który zaprasza dwunastu spośród swoich niewolników na kolację, żeby odtworzyć w ten sposób ostatnią wieczerzę.

Wieczór po wieczorze mój telewizor oferował mi znakomite filmy, o których nigdy wcześniej nie słyszałem – filmy krytykujące rząd i mówiące o seksizmie, rasizmie oraz materializmie. Była jakaś nierozwiązywalna sprzeczność w fakcie, że państwo policyjne tak dobrze zarządza krytyką społeczną. W 1993 roku Gutiérrez i Carlos Tabío nakręcili krytykujący homofobię rządu film *Fresa y chocolate* [Truskawka i czekolada]. Większość zagranicznej prasy pisała o tym filmie, jakby stanowił on odważne wyzwanie rzucone władzy, a tymczasem był to film finansowany przez kubański rząd.

Warto w tym miejscu przypomnieć trzy podstawowe fakty: Kubańczycy mówią bardzo dużo, kubańscy politycy mówią jeszcze więcej, a Fidel Castro bił wszelkie rekordy w tej dziedzinie. Pewnej nocy w moim małym pokoiku z hałaśliwym klimatyzatorem postanowiłem sumiennie wysłuchać transmitowanego przez telewizję wystąpienia Fidela Castro. Mówiło się o nim, że miał fotograficzną pamięć, i tamtego wieczoru przez wiele godzin faktycznie przemawiał z głowy. Zasnąłem. Nagle obudziło mnie walenie do drzwi. Wyrwany ze snu, zataczając się, poszedłem otworzyć. Jakiś mężczyzna w mundurze wręczył mi wiadomość na kiepskim papierze, którego zawsze używał rząd. Ów człowiek miał na sobie zielonkawy uniform MININT, czyli służby bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Moją pierwszą reakcją był podziw. Skąd wiedzieli, że zasnąłem na Fidelu? Otrzymany świstek papieru nakazywał mi zameldować się następnego dnia o dziesiątej rano w ministerstwie. Pismo nie było utrzymane w grzecznym tonie, co było dosyć dziwne, bo kubańskie władze są zasadniczo

bardzo uprzejme w stosunku do amerykańskich dziennikarzy. Szybko zrozumiałem, że nie chodziło wcale o to, iż zasnąłem podczas przemówienia. Tak naprawdę nigdy nie dowiedziałem się, co było powodem wezwania. Kiedy następnego ranka pojawiłem się w ministerstwie, pewien uprzejmy człowiek w mundurze poprosił mnie o pokazanie mojego biletu powrotnego. Miałem odlecieć następnego dnia. Po obejrzeniu biletu urzędnik serdecznie uścisnął mi dłoń i życzył szczęśliwego lotu.

Jeśli ja sprawiałem wrażenie paranoika, a rewolucyjna Hawana sprawiała – i sprawia nadal – wrażenie paranoicznej społeczności, działo się tak nie bez powodu. Strach przed napaścią od strony morza pozostaje obecny w tamtejszej kulturze, albowiem po piratach na wyspę przypływały wojska brytyjskie oraz hiszpańskie, a po nich przybyli Amerykanie, żeby ukraść krajowi „niepodległość”.

W 1961 roku CIA i emigranci kubańscy próbowali dokonać inwazji na wyspę. Stany Zjednoczone czuły się zagrożone przez kubański rząd rewolucyjny, który przybierał coraz bardziej komunistyczne oblicze, a emigranci kubańscy zapewniali CIA – co było błędem, jak się potem okazało – iż Kubańczycy byli gotowi wzniecić powstanie i obalić Castro. Główne siły inwazyjne wylądowały w Zatoce Świń na południowym wybrzeżu wyspy, schodząc na brzeg na pięknej, odizolowanej od reszty lądu i usianej skałami plaży o białym piasku, zwanej Playa Girón. Po trzech dniach walk kontrrewolucjoniści zostali pokonani przez Kubańską Armię Rewolucyjną.

Do kolejnej konfrontacji między Kubą i Stanami Zjednoczonymi doszło rok później, gdy John F. Kennedy przeciwstawił się Związkowi Radzieckiemu w kwestii rozmieszczenia rakiet na Kubie. Hawana i reszta wyspy szykowały się na następną inwazję, ale kryzys został

zażegnany, a kolejny desant na tak dużą skalę nigdy już nie nastąpił.

Po tych wydarzeniach Hawana – tak samo jak reszta wyspy – zachowywała jednak czujność. Worki z piaskiem, działa przeciwlotnicze i milicja wypełniały miejskie nabrzeże Malecón. Nawet na pudełkach zapałek, które, jak prawie wszystko inne po rewolucji, były produkowane w państwowych zakładach, pisano przez dziesięciolecia: „*Ciudad de La Habana lista para la defensa*" – „Miasto Hawana gotowe do obrony".

Desnoes w powieści *Memorias del subdesarrollo* przywraca nastrój tamtych czasów, przytaczając słowa Fidela: „Wszyscy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, jesteśmy jednością w tej godzinie zagrożenia!". Główny bohater Desnoesa nie czuje się jednak ani trochę zainspirowany, myśląc: „Wszyscy jesteśmy jednością, więc zginę jak cała reszta. Ta wyspa jest pułapką, a rewolucja jest tragedią, ponieważ jesteśmy zbyt mali, żeby przetrwać, żeby wyjść z tego cało. Jesteśmy za biedni i jest nas za mało".

Paranoja Kuby okazała się permanentna i, jak to często bywa, podsycana przez rzeczywistość. Za czasów Kennedy'ego CIA rozpoczęła operację „Mangusta", czyli program wymierzonych przeciwko Kubie działań dywersyjnych, które obejmowały próby zamachów na Castro oraz akty sabotażu.

Pamiętając o tym, jak w poprzednich stuleciach piraci wysyłali do Hawany swoich szpiegów, którzy udawali przyjaźnie nastawionych gości, żeby zebrać informacje na temat portu i jego fortyfikacji, a następnie zameldować się z powrotem na statku i przejść do ataku, rząd kubański przez kilka dekad po rewolucji zakazywał komukolwiek robienia zdjęć portu. Jeśli jakiś turysta albo dziennikarz zapuścił się z aparatem w okolice nabrzeża, zawsze znalazł się jakiś urzędnik gotowy interweniować.

Ten rodzaj paranoi prawie nie miał granic. W opowiadaniu Antonio Beníteza Rojo *Estatuas sepultadas* [Pogrzebane pomniki] z 1967 roku narrator sugeruje, że motyle są „jakąś tajną bronią, której jeszcze nie pojęliśmy". Podobnego zdania jest jego matka.

Któż jednak może stwierdzić, co było lub jest realne? CIA zawsze twierdziła, iż opowieści, że w ramach operacji „Mangusta" chciano dokonać zamachu na Castro za pomocą wybuchającego cygara, były nieprawdziwe. Tymczasem powołana przez Kongres Stanów Zjednoczonych komisja Churcha, która w 1975 roku badała nadużycia CIA, zidentyfikowała osiem różnych prób zamachu na życie Fidela Castro. Jej członkowie nie zdołali potwierdzić faktu zastosowania wybuchających cygar, ale zatrute cygara przeznaczone dla kubańskiego przywódcy faktycznie zostały wysłane na wyspę. CIA opracowała również plan, zgodnie z którym zamierzano wysmarować wnętrze butów Castro środkiem mającym sprawić, że wypadną mu włosy i straci on tym samym słynną brodę. Skoro prawdziwe były wybuchające cygara i środki na wypadanie włosów, którymi potajemnie smarowano wnętrze butów, kto mógł stwierdzić z całkowitą pewnością, że motyle nie stanowią żadnego zagrożenia? I jakie inne zagrożenia mogły jeszcze nadciągnąć od strony morza?

Na Kubie istnieje rozległy system sąsiedzkiego donosicielstwa. Nosi on nazwę Komitety Obrony Rewolucji (Comités de Defensa de la Revolución – CDR) i opiera się na tej samej zasadzie, co organizowana w Stanach Zjednoczonych kampania przeciwko terroryzmowi pod hasłem: „Jeśli coś widziałeś, powiedz coś".

Kubańczycy chyba jednak trochę przesadzili. W Hawanie jest piętnaście tysięcy CDR-ów, a na całej wyspie aż sto tysięcy. Wiele osób zajmujących się tą działalnością to zwykli plotkarze, którzy zasypują służbę wywiadowczą G2

nieistotnymi błahostkami z życia sąsiadów. Plotkowanie zawsze stanowiło część hawańskiego obyczaju. Ludzie wiedzą, że ktoś zawsze doniesie władzom o tym, co zrobili albo powiedzieli. Lecz *habaneros* stopniowo się do tego przyzwyczaili i nie wygląda na to, żeby rozmawiali między sobą ze szczególną ostrożnością.

Komitety zajmują się również organizowaniem lokalnych usług w rodzaju dziennej opieki nad dziećmi oraz inicjatyw zdrowotnych na rzecz lokalnych społeczności. CDR-om udało się zapewnić, aby na każdy kwartał przypadał w Hawanie co najmniej jeden lekarz. Taka jest rola tutejszych władz, które są niezwykle skuteczne, jeśli chodzi o angażowanie ludzi w jakieś inicjatywy – czy to dobre, czy złe.

Kiedy Fidel Castro był przywódcą Kuby, 1 maja – w tradycyjne święto światowego socjalizmu – rokrocznie urządzano ogromny wiec na rozległym, trapezoidalnym Plaza de la Revolución, który znajduje się na południowym skraju Vedado. Ów plac powstał jeszcze za czasów Batisty, który nazwał go Plaza Cívica. Nad placem góruje wysoki obelisk, który wygląda, jakby z jednej strony wyrastały z niego płetwy, przez co przypomina wielkiego białego potwora wynurzającego się prosto z ziemi. Niedaleko od niego znajduje się biały marmurowy pomnik José Martíego, który wydaje się kucać w niewygodnej pozycji.

Każdego 1 maja Fidel maszerował na trybunę, żeby wygłosić swoje przemówienie. Za swoich młodych lat Castro był postawnym, potężnie zbudowanym, atletycznym mężczyzną o wielkiej charyzmie. Biła od niego niemal elektryczna energia, która, jak sam widziałem, zdawała się wypełniać wielkie sale, a nawet pulsować na całym tym ogromnym placu.

Uczestniczyłem w wielu spośród tych pierwszomajowych uroczystości. Rząd chciał, żeby zagraniczni dziennikarze je relacjonowali, więc w tym okresie łatwo było dostać wizę

prasową. Plac był zawsze pełny, ponieważ specjalnie na tę okazję zwożono autobusami ludzi ze wsi. Obecnie kwateruje się ich raczej w akademikach niż w luksusowym Habana Libre, ale nadal okazują entuzjazm godny kibiców drużyny gospodarzy w czasie baseballowych rozgrywek World Series.

Ludzie przynosili różne symboliczne rekwizyty. W 1985 roku był to wielki but, długi na jakieś trzy i pół metra, który obnoszono dookoła placu. W tamtym czasie, po dwóch dekadach walki o nowe buty i ciągłego reperowania starych, w tym nawet tenisówek, Kuba w końcu produkowała wystarczająco dużo butów, żeby zaspokoić potrzeby swoich mieszkańców. Jak lubił podkreślać rząd, w ten sposób kraj „osiągnął obuwniczą samowystarczalność”.

Bezpośrednio po rewolucji i nałożeniu embarga handlowego przez Stany Zjednoczone jednym z wielkich problemów na Kubie, a zwłaszcza w Hawanie, była kwestia zastąpienia czymś amerykańskich produktów, od których społeczeństwo było całkowicie uzależnione. Bardzo trudno było kupić podstawowe produkty, takie jak mydło czy buty.

Powstałą próżnię zapełniono z pomocą Związku Radzieckiego. Dotując rewolucję, stał się on w zasadzie głównym źródłem zaopatrzenia wyspy w zagraniczne towary. W tamtych upojnych czasach Kubańczycy nie mieli pieniędzy i nikt się nie bogacił, ale z pomocą Rosjan krok po kroku rozwiązywano problemy – był to dowód na to, że rewolucja faktycznie działa.

Z czasem Kubańczycy nauczyli się, jak samemu robić rzeczy, których potrzebowali; nawet piłki baseballowe. Jednym z pierwszych problemów, jakie rozwiązali, była produkcja miejscowego substytutu coca-coli. Było to konieczne – jak na wolnej Kubie mieliby pić cuba libre bez coli? Wymyślili więc własną formułę, ale wkrótce pojawił się inny przejściowy kryzys – choć mogli już produkować wystarczającą ilość coli, nie mieli wystarczająco dużo korka,

by wyścielać wnętrze kapsli. I ten problem udało się szybko rozwiązać i w czasie wieców na stoiskach rozdawano darmowe butelki tropi-coli. Z czasem rząd, z pomocą firmy Nestlé, wyprodukował podobny napój, który nazwano TuKola, od zawołania hawańskich sprzedawców ulicznych, którzy krzyczeli: „*¡Compre tu cola!*” – „Kup swoją colę!”. Obecnie tropi-cola jest kubańskim towarem eksportowym.

Mimo rozwiązania problemu z colą los cuba libre nadal był niepewny. Mianowicie brakowało rumu – główni wytwórcy tego trunku na wyspie, w tym Bacardi, wyjechali. Mieszcząca się w Santiago gorzelnia tej firmy została znacjonalizowana i Kubańczycy zaczęli produkować swój własny rum. Inna słynna marka, Havana Club, była z kolei własnością rodziny Arechabalów, która także opuściła wyspę. Rząd kubański rozwiązał ten kryzys, wchodząc w spółkę z francuską korporacją alkoholową Pernod Ricard, żeby samemu wyrabiać Havana Club. W ten sposób przyszłość cuba libre wydawała się zabezpieczona.

Był również problem z lodem. Tego niegdysiejszego znaku rozpoznawczego hawańskich koktajli zaczęło bowiem również brakować. Tylko niektóre bary obsługujące cudzoziemców dysponowały lodem, ponieważ do jego wytworzenia potrzebna jest duża ilość energii elektrycznej, Kubańczycy zaś byli zmuszani do oszczędzania prądu. Kiedy jeden z bohaterów powieści Leonardo Padury próbuje zamówić w barze daiquirí, takie jak lubił Hemingway, z mnóstwem lodowego szronu i bez cukru, barman odpowiada szyderczo: „Kiedy ostatni raz widziałem kawałek lodu, byłem pingwinem”.

Kolejny problem na ogarniętej rewolucją Kubie stanowił brak nowych aut oraz części samochodowych. Oszczędziło to jednak Hawanie innego problemu, czyli korków, które stanowią plagę większości dzisiejszych miast. Być może dlatego *habaneros*, spacerując po Malecónie, chodzą zazwyczaj środkiem ulicy. Jest to jednak zwyczaj, który został

zapoczątkowany na długo przed rewolucją. Prawdopodobnie narodził się w La Habana Vieja, ponieważ tamtejsze chodniki są zbyt wąskie, żeby dwoje ludzi mogło iść obok siebie.

W latach pięćdziesiątych zamożna hawańska rodzina nie mieszkała już w ciasnym centrum miasta, ale daleko poza nim i dysponowała własnym autem, a ściślej mówiąc – amerykańskim samochodem. Pod koniec dekady na Kubie było już sto siedemdziesiąt tysięcy samochodów, prawie wyłącznie amerykańskich; większość z nich znajdowała się w Hawanie. Absurdalnie wysoki odsetek stanowiły wśród nich cadillaki, ale były również buicki, chryslery, studebakery, chevrolety i fordy – wszystko, czym jeździło się w Ameryce.

Po rewolucji, kiedy majętna rodzina chciała opuścić Kubę, musiała zabrać swój samochód do warsztatu w celu dostrojenia silnika, a następnie sprezentować pojazd rządowi, wraz z certyfikatem poświadczającym, iż jest on w dobrym stanie. Wiele spośród tych maszyn stanowiły najnowsze modele, które rząd mógł do woli rozdawać, komu tylko chciał. Bycie dobrym rewolucjonistą wiązało się z korzyściami.

Lecz te korzyści wiązały się również z wyzwaniami. Podobnie jak szewcy, którzy musieli się nauczyć, jak naprawiać tenisówki, hawańscy mechanicy musieli się teraz nauczyć, jak utrzymać samochody na chodzie pomimo braku oryginalnych części. Niektórzy rozwiązywali problemy, wykorzystując części silników z innych modeli. Dlatego wiele chevroletów i innych klasyków jeździ obecnie z nowszymi silnikami Toyoty. Pewien mechanik twierdził nawet, że udało mu się zamontować w samochodzie silnik od łodzi. Niektóre z oryginalnych silników grzmiały i buczały tak głośno, że zaczęto na nie mówić „*cafeteras*” – „kawiarki”.

W Hawanie powstał klub właścicieli starych samochodów, ceniących sobie tylko te pojazdy, które są całkowicie lub prawie całkowicie oryginalne. W tym przypadku chodzi nie tylko o hobby. Dobrze utrzymany zabytkowy samochód

zapewnia bowiem swemu właścicielowi pracę kierowcy taksówki turystycznej, a tacy kierowcy należą do najlepiej zarabiających ludzi na Kubie.

W czasach radzieckich na Kubę dotarła również łada, czyli samochód produkowany – głównie na eksport – w Związku Radzieckim. Został on zaprojektowany w taki sposób, żeby mógł znieść syberyjskie wyboje, dlatego uznano, że będzie to pojazd nadający się idealnie na coraz gorsze nawierzchnie kubańskich dróg. Kanciaste łady, które były niewygodne i miały nadzwyczaj twarde zawieszenie, stanowiły niemal zupełne przeciwieństwo amerykańskich samochodów z lat pięćdziesiątych, z ich tapicerowanymi siedzeniami, przestronnymi wnętrzami i wykończeniem, w którym królowały łuki. Co gorsza, okazało się, że łady nie były w ogóle trwałe. Obecnie chevy, rocznik pięćdziesiąty piąty, jest zazwyczaj w znacznie lepszym stanie niż łada, rocznik osiemdziesiąty piąty.

Rozsypujące się łady można uznać za metaforę relacji Kuby ze Związkiem Radzieckim – mimo trzydziestoletniej bliskości niewiele z nich pozostało. Na wyspie musiała jednak istnieć pewna sympatia do Rosjan, ponieważ Vladimir i inne rosyjskie imiona stały się w Hawanie modne – nosi je wiele osób urodzonych w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ludzie z tamtego pokolenia często uczyli się rosyjskiego, ale obecnie rzadko mówią w tym języku i w większości twierdzą, że nic z niego nie pamiętają. Rosyjska moda nigdy się nie przyjęła w tym latynoskim kraju. Chociaż większości *habaneros* nie było stać na ładne ubrania, mieli poczucie stylu i uważali, że noszone przez Rosjan źle dopasowane garnitury oraz dżinsy, workowate sukienki i chustki wiązane na głowie były nieatrakcyjne.

Chociaż Rosjanie wspierali Kubę gospodarczo i na inne sposoby, rzadko mówili po hiszpańsku i nie byli zintegrowani z kubańskim życiem. Dla przykładu – zamiast na siedzibę

swojej ambasady wybrać jakąś okazałą starą rezydencję, wybudowali wielką, przerażającą konstrukcję z betonu, która przypominała fortecę w stylu La Cabaña czy El Morro. Nowoczesne budownictwo było jednak lepiej dostosowane do zainstalowanego tam sprzętu nasłuchowego, który jest zresztą częściowo widoczny z zewnątrz.

Rosjanie zaopatrywali się w swoich własnych sklepach, gdzie kupowali wódkę i kawior. Co najmniej jeden z tych sklepów istnieje do dzisiaj i można w nim zrobić zakupy, jeśli tylko zna się odpowiednich ludzi. W 2012 roku zaprowadził mnie tam pewien kubański szef kuchni, który miał wstęp do tego sklepu, chociaż nie chciał mi powiedzieć, dlaczego cieszył się takim przywilejem. Ta wizyta przypominała powrót do Związku Radzieckiego, który zniknął dwadzieścia lat wcześniej. Sklep znajdował się w ogrodzonym kompleksie budynków w Vedado. Przypominał tajny amerykański bar z czasów prohibicji. Każdy, kto chciał do niego wejść, musiał podejść do człowieka stojącego przy bramie i coś mu szepnąć, a wtedy albo wejście stawało otworem, albo klient był odprawiany z kwitkiem.

Po wejściu do środka znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu z ladą stojącą przed dosyć skąpo zaopatrzonymi półkami – zupełnie jak w kubańskim sklepie. Były tam różne europejskie alkohole i likiery oraz kilka pierwszorzędnych produktów rosyjskich, takich jak czerwony i czarny kawior. Ceny były wyższe od tego, na co mogła sobie pozwolić większość Kubańczyków, ale nieszczególnie wysokie jak na standardy zachodnie. Można tam było również dostać całkiem prozaiczne rzeczy, takie jak mydła i detergenty, z których wiele – pomimo obowiązującego embarga – wyglądało na amerykańskie. U Amerykanina te artykuły nie wzbudziłyby większego zainteresowania, ale dla Kubańczyka były to podstawowe produkty, które zniknęły wraz z wprowadzeniem embarga.

W czasie rewolucji zamknięto kasyna i większość klubów, zniesiono też własność prywatną, co oznaczało, że sklepy i restauracje albo były zamykane, albo przechodziły na własność państwa. Likwidacja małych sklepów i prywatnych restauracji wygnała z Hawany jej dwie ważne grupy etniczne, a mianowicie Żydów i Chińczyków, gdyż jedni i drudzy, jak to czynią imigranci w większości miejsc, mocno koncentrowali się na prywatnej przedsiębiorczości.

Historia obecności Żydów na Kubie, a zwłaszcza w Hawanie, jest długa – szczególnie jeśli przyjmiemy, że część załogi Kolumba stanowili ochrzczeni Żydzi uciekający przed prześladowaniami w Hiszpanii. W Hawanie Żydów nazywa się „*polacos*”. Nikt nie wie dlaczego, ponieważ to określenie wydaje się pochodzić jeszcze sprzed czasów imigracji z Polski, a na dodatek na Kubie znalazło się wielu Żydów sefardyjskich, pochodzących między innymi z Brazylii i Turcji. Nikt nie wie także, dlaczego Amerykanów nazywa się tutaj „*yumas*”. Sami Amerykanie sugerują, że to od westernu *15:10 do Yumy*, z Vanem Heflinem i Glennem Fordem w rolach głównych, który został nakręcony w 1957 roku na podstawie opowiadania Elmore’a Leonarda, ale nigdy nie spotkałem w Hawanie nikogo, kto kiedykolwiek słyszałby o tym filmie. A dlaczego wszystkich Hiszpanów nazywa się na Kubie „*gallegos*”, co oznacza mieszkańców położonej w północno-zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego Galicji, skoro jest to tylko jedna z prowincji Hiszpanii? A dlaczego Włochów nazywa się tu „*amicis*”? A dlaczego na blondynkę mówi się tutaj „*negrita*” (czarnulka), chociaż jest zupełnie na odwrót? Wszystko to ma u swoich podstaw jeden powód: *habaneros* uwielbiają przezwiska i używają ich, nie oglądając się na żadne urazy, uprzedzenia, ale też nie zważając na jakąkolwiek logikę.

W latach trzydziestych na Kubie było dwanaście tysięcy Żydów. Niektórzy z nich byli obywatelami Stanów Zjednoczonych, którzy walczyli w wojnie amerykańsko-

hiszpańskiej 1898 roku i zostali na wyspie. Później pojawili się również Żydzi uciekający przed Hitlerem.

Żydzi przyjeżdżali na wyspę, ale też ją opuszczali. Ostatni rabin opuścił Hawanę w 1958 roku, jeszcze przed zwycięstwem rewolucji. Do tego czasu dwunastotysięczna społeczność powiększyła się do zaledwie piętnastu tysięcy osób. W mieście było kilka synagog oraz żydowskich sklepów i restauracji, które oczywiście cieszyły się popularnością wśród turystów z Nowego Jorku. Jednak po rewolucji większość Żydów wyjechała z Kuby, ponieważ nie chcieli, aby państwo przejęło ich majątek. Do połowy lat osiemdziesiątych na Kubie pozostało tylko ośmiuset Żydów, w większości w Hawanie. Nadal mieli dwie synagogi, ale odbywało się w nich bardzo mało obrzędów religijnych.

Większość Żydów, którzy pozostali na Kubie, była zsekularyzowana. Często należeli oni do entuzjastycznych zwolenników rewolucji. Wśród nich byli żydowski założyciel Komunistycznej Partii Kuby Fabio Grobart, który przyprowadzał na partyjne spotkania Fidela Castro, jak również Ricardo Subirana y Lobo, który pomógł sfinansować powrót Castro z wygnania, żeby ten mógł wzniecić rewolucję.

Kuba nie ma własnej historii antysemityzmu pomimo mocno antyizraelskiego stanowiska rządu po 1967 roku oraz lekceważenia, jakie władze okazują zorganizowanej religii. Rząd przyznał nawet tej niewielkiej społeczności wyjątkowe przywileje, importując specjalne rodzaje jedzenia, jak na przykład używaną w czasie Paschy macę, a także finansując pogrzeby na cmentarzu żydowskim w Hawanie ze środków państwowych oraz zapewniając Żydom dodatkowe przydziały żywności z okazji ich świąt religijnych.

Społeczność żydowska, która kiedyś stanowiła istotny element życia Hawany, obecnie jest tak mała, że nie dostrzega jej prawie nikt, poza odwiedzającymi Kubę Żydami. Młodzi Żydzi kubańscy, podobnie jak inni młodzi Kubańczycy w tym

bardzo zsekularyzowanym społeczeństwie, rzadko okazują zainteresowanie tradycyjną religią. Lecz pomimo to jedna z liderek tej społeczności, Adela Dworin, która dorastała przed rewolucją w rodzinie ściśle ortodoksyjnych Żydów, mówiła mi w 1985 roku: „Możesz jeść wieprzowinę, możesz mówić »Kocham komunizm i nienawidzę religii«, ale nadal czujesz, że jesteś Żydem”.

Po rewolucji Hawanę opuściła także większość Chińczyków – obecnie Barrio Chino, chińska dzielnica, to już tylko nazwa, podobnie jak Vedado. Kiedy znikały stamtąd ostatnie restauracje – w latach osiemdziesiątych były już tylko dwie – lokale z kuchnią kubańsko-chińską stały się modne w Nowym Jorku.

Chińczycy wywarli jednak ogromny wpływ na życie Hawany.

W XIX wieku, kiedy kolejne kraje znosiły niewolnictwo, kubańscy plantatorzy, którzy szukali innego źródła taniej siły roboczej, zaczęli sprowadzać do pracy Majów z pobliskiego Jukatanu. Warunki pracy na Kubie okazały się jednak nie do zniesienia dla Majów, którzy albo wracali do Meksyku, albo osiedlali się w La Habana Vieja, w dzielnicy położonej przy murach miejskich. Nazwano ją Barrio Campeche od nazwy meksykańskiego stanu, z którego pochodzili. Dzisiaj nic już jednak nie zostało z majańskiego charakteru owej dzielnicy.

Pierwsi chińscy robotnicy przybyli do Hawany w 1844 roku z Kantonu. Na statkach przypływających z Azji panowały niewiele lepsze warunki niż na statkach niewolniczych. Szacuje się, że około dwunastu procent chińskich pracowników nie przeżyło tej podróży.

Wielu z nich zostało porwanych z własnego kraju i nie miało pojęcia, dokąd się ich zabiera. Od razu po przybyciu na Kubę wysyłano ich na plantacje, gdzie pracowali razem z afrykańskimi niewolnikami i byli trzymani w podobnych, ale

stojących osobno barakach. Zmuszano ich do pracy za dwadzieścia centów dziennie na ośmioletnich kontraktach. Jeśli wcześniej nie umarli albo sami się nie zabili, po zakończeniu tego okresu większość z nich wracała do Chin.

Niektórzy jednak zostawali na roli i pracowali na swoich własnych farmach; Chińczykom przypisuje się wprowadzenie na Kubie uprawy mango. Większość Chińczyków przeniosła się natomiast do Centro Habana, nowej dzielnicy leżącej za murami miejskimi, gdzie zakładali sklepy i restauracje. Pierwsza chińska restauracja na Kubie została otwarta w 1858 roku, a w ślad za nią pojawiło się wiele kolejnych. Chińczycy stworzyli tu swoją własną kuchnię, stanowiącą naturalne połączenie dwóch tradycji – obu opierających się w dużym stopniu na wieprzowinie i owocach morza. W XX wieku Barrio Chino stało się największą chińską dzielnicą w Ameryce Łacińskiej, z szyldami pisanymi po kantońsku i mandaryńsku, papierowymi lampionami w jaskrawych kolorach, chińskojęzycznymi gazetami, jak również – to już typowo hawańskie – prostytucją, kabaretami z gołymi panienkami oraz hazardem.

W Hawanie chińska kultura łatwo mieszała się z kulturą kubańską, która z kolei miała w sobie elementy kultury afrykańskiej. Jednym z najsłynniejszych Kubańczyków chińskiego pochodzenia był artysta Wifredo Lam. Chociaż urodził się w wiejskiej prowincji Santa Clara, uważa się go za przykład prawdziwej kwintesencji bycia *habanero* – jego ojciec był Chińczykiem, matka zaś była córką Mulata i afrykańskiej niewolnicy. Lam był malarzem, który starał się wyrazić afrykańskie tradycje, w jakich się wychował. W latach trzydziestych studiował w Paryżu i był pod wielkim wpływem poznanych tam artystów, takich jak Breton, Miró, Braque, Léger i Matisse. Miał tam nawet wspólną wystawę z Picassem. Twórczość Lama zawsze miała jednak fundamenty afrykańskie.

Kolejnym przykładem kubańskiej mieszanki afrykańsko-chińskiej jest *Chino de la Charada* – rodzaj ilustracji, która wydaje się zakorzeniona w chińskim folklorze, ale czerpie również z santeríi, czyli wierzeń wywodzących się z Afryki Zachodniej. Na rysunku tego typu znajduje się postać Chińczyka w tradycyjnym stroju, trzymającego w jednej ręce rybę, a w drugiej fajkę. Jego ciało jest pokryte obrazkami – na jednym uchu motyl, na kostce wąż, a w innych miejscach: klejnot, kurczak, kot, czaszka, żółw. Obok każdego z tych obrazków widnieje numer. Chińczycy wykorzystywali *Chino de la Charada* do opartych na numerologii wróżb, lecz byli i tacy, którzy używali go jako klucza do trafienia szczęśliwego numeru na loterii. Na przykład, jeśli zobaczy się przelatującego motyla, można spojrzeć na numer przypisany do motyla narysowanego na uchu Chińczyka z *La Charada* i obstawić ten numer na loterii. Wszyscy Kubańczycy, niezależnie od pochodzenia, znają ten system. W autobiografii Graham Greene pisze o pewnym kierowcy, który jadąc przez wieś, przypadkowo rozjechał kurczaka i czuł się w obowiązku zagrać na loterii, stawiając na jedenastkę – numer przypisany kurczakowi w *La Charada*.

Mimo że Hawana nie jest już taką jaskinią hazardu jak w czasach Greene'a i nie ma w niej tylu Chińczyków, co wtedy, *La Charada* nie uległa zapomnieniu. We współczesnym slangu hawańskim Fidel Castro nazywany jest El Caballo – „Koń". Jest to jeden z łatwiejszych do rozszyfrowania przydomków na Kubie, pochodzi bowiem od konia narysowanego na głowie *El Chino*. Znacznie trudniej jednak wyjaśnić, dlaczego Raúl Castro, brat Fidela, a obecnie prezydent Kuby, jest nazywany przez *habaneros* La China, czyli „Chinka".

Ponieważ komunizm opowiadał się za własnością państwową, można ją postrzegać jako rodzaj eksperymentu pokazującego ograniczenia władzy. W Związku Radzieckim, na Węgrzech, w Chinach czy na Kubie rząd potrafił zapewnić swym

obywatelom wykształcenie i dostęp do służby zdrowia, ale zupełnie sobie nie radził z prowadzeniem restauracji.

W Hawanie po rewolucji państwo otworzyło kilka nowych restauracji, w tym bułgarską i rosyjską. Starało się również dalej prowadzić kultowe lokale, w tym klub nocny Tropicana oraz bary Sloppy Joe's, El Floridita i La Bodeguita del Medio. Sloppy Joe's upadł w 1965 roku – według niektórych z powodu pożaru, a zdaniem innych przez rządową biurokrację. El Floridita był nieczynny jedynie w trakcie remontu, zaś La Bodeguita ani przez moment nie była zamknięta.

Sloppy Joe's w 2013 roku został ponownie otwarty przez kubańską agencję rządową, która odnawia historyczne domy w pobliskiej La Habana Vieja. Był to niezwykły eksperyment w dziejach socjalistycznej branży restauracyjnej. Uczestnicy tego projektu przestudiowali historię lokalu, oglądając stare fotografie i rozmawiając z ludźmi pamiętającymi jego dawny wystrój. W rezultacie Sloppy Joe's został odnowiony z tą samą troską, co Catedral de la Virgen María oraz historyczne posiadłości i gmachy rządowe. Bar został wiernie odtworzony, łącznie z menu oraz drinkami. Wygląda teraz dokładnie tak samo elegancko jak w filmie Carola Reeda i z pewnością daleko mu do niechlujności. I znowu serwuje się tam słynne Sloppy Joe's, czyli kanapkę oraz drinka o tej nazwie.

Sloppy Joe's, El Floridita i La Bodeguita są znane jako miejsca, w których stałym bywalcem był Hemingway. Niewykluczone, że właśnie w tym można upatrywać powodu ich przetrwania. Hawana bowiem nigdy nie marnuje okazji do upamiętnienia miejsc związanych z Hemingwayem.

Tego amerykańskiego pisarza wspomina się wszędzie tam, gdzie spędził część swojego życia – w Oak Park (Illinois), Paryżu, Madrycie, Key West i Ketchum (Idaho) – ale w Hawanie jest upamiętniany tak obsesyjnie, że graniczy to wręcz z fetyszyzmem. Tylko tutaj można się dowiedzieć, że nie nosił bielizny i ciągle pierdział. Kiedy *habaneros* widzą

słusznych rozmiarów Amerykanina, który ma siwą brodę, wołają na niego „Papa”. Przytrafiło mi się to niejeden raz.

Kubańczycy, którzy mieli okazję znać Hemingwaya, przez resztę życia zarabiali na udzielaniu wywiadów na jego temat. Obecnie żyje już niewielu starszych ludzi, których powiązania z Hemingwayem były na tyle mgliste, że trudno oczekiwać, aby ktoś chciał płacić za rozmowę z nimi. Nadal jednak są oni, niczym zabytki minionej ery, atrakcją dla odwiedzających Kubę turystów. W Cojímar mieszka niejaki Osvaldo Carnero, zwany Ova, który pojechał z Hemingwayem do Peru, żeby tam nakręcić ekranizację noweli *Stary człowiek i morze*. To on złowił siedemsetkilogramowego marlina, stoczywszy z nim walkę, którą pokazano potem w filmie. Kiedy do Cojímar przyjeżdżają wycieczki, sprowadza się Osvaldo oraz pewnego mężczyznę, który jako dziecko obserwował kręcenie wspomnianego filmu i twierdzi, że widział na planie Hemingwaya. Z kolei turyści odwiedzający Hawanę mogą się spotkać z niejakim Cayuco, niskim, żylastym mężczyzną, który naprawdę nazywa się Oscar Blas Fernández. Dorastał on w pobliżu domu Hemingwaya i grał w baseball z jego synami. Jak twierdzi ów człowiek, Hemingway nazywał go Cayuco Jonronero, co oznacza „zdobywca home runów”.

– Dlaczego? – zapytałem go. – Czy zdobył pan mnóstwo home runów?

– Nie – odparł z nieśmiałym uśmiechem. – Tylko jednego.

Książki o Hemingwayu wciąż ukazują się w Hawanie i zawsze dobrze się tam sprzedają, mimo że z powodu sporu o prawa autorskie powieści Hemingwaya są na Kubie niedostępne i niewielu Kubańczyków je czytało.

Hemingway mieszkał w Hawanie przez trzy dekady, czyli dłużej niż gdziekolwiek indziej, jednak stale podróżował i bardzo mało napisał o tym mieście. Jego dobrze zachowany dom na podmiejskim wzgórzu nie ma w sobie prawie nic

kubańskiego. Zamieniono go w muzeum i stanowi on obecnie jedną z najpopularniejszych atrakcji turystycznych Hawany. W 2015 roku dyrektorka muzeum Ada Rosa Alfonso Rosales mówiła mi: „Na Kubie słowo »Hemingway« ma magiczną moc. Jeśli tylko potrzebuję czegoś od kogoś, mówię, że jestem dyrektorką Museo Hemingway. Gdy tylko wymawiam słowo »Hemingway«, wszystkie drzwi stają otworem”.

Dzieje tego muzeum wiele mówią o kubańskiej rewolucji. René Villarreal, który w dzieciństwie mieszkał w sąsiedztwie domu pisarza, a następnie został szefem personelu w muzeum, opowiadał, że Castro pojawił się tam niespodziewanie latem 1961 roku, po tym, jak Hemingway zastrzelił się w Ketchum w stanie Idaho. Fidel, jak większość Kubańczyków, był fanem Hemingwaya. Na słynnym zdjęciu widać obu mężczyzn podczas sponsorowanego przez pisarza turnieju wędkarskiego. Odbył się on na Kubie w maju 1960 roku, wygrał go Castro. Prawdopodobnie na żadnym innym zdjęciu nie udało się zmieścić w jednym kadrze większego ego. Widać na nim młodego Castro, który wyraźnie był podekscytowany faktem, że znalazł się w obecności starzejącego się pisarza. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy się spotkali.

Kiedy El Comandante odwiedził dom Hemingwaya, Villarreal przyjął to z taką obojętnością, że Castro uśmiechnął się i zapytał: „Wiesz, kim jestem?”. Młody człowiek oczywiście wiedział, ale zdążył się już przyzwyczaić do obcowania ze sławnymi ludźmi. Castro oznajmił Villarrealowi, że chce, aby to on dalej zarządzał domem pisarza, utrzymywał go w niezmienionym stanie i oprowadzał wycieczki.

Był to czas, w którym rewolucja dopiero zaczynała tworzyć własną biurokrację, zaś Villarreal już wkrótce zaczął narzekać, że urzędnicy rządowi oraz wojskowi zmieniają wszystko i niszczą dom. Przedstawiciele władz nie ufali człowiekowi, który nie brał udziału w rewolucji, nie należał do partii

komunistycznej i najwyraźniej był mało zainteresowany nowym porządkiem. Wkrótce potem Villarreal wystąpił do władz o wizę wyjazdową, ale żeby ją uzyskać, musiał najpierw odpracować swoje na plantacji trzciny cukrowej. Resztę życia spędził w New Jersey. Villarreal zmarł w 2014 roku, zaś państwo kubańskie za pośrednictwem Museo Hemingway uczciło jego pamięć.

Pokój numer pięćset jedenaście na piątym piętrze hotelu Ambos Mundos w La Habana Vieja nigdy nie jest wynajmowany. Czeka tam przewodnik, który po otrzymaniu dwóch pesos pokaże wam wnętrze tego malutkiego pokoju. W 1928 roku, kiedy Hemingway po raz pierwszy się tam zatrzymał, hotel był nowy, miał eleganckie lobby z wysokim sufitem i, rzecz jasna, ze wspaniałym, długim barem.

Ściany tego lobby są teraz pokryte zdjęciami Hemingwaya. O dziwo, większość z nich nie została zrobiona na Kubie i żadnego z nich nie wykonano w tym hotelu. Jedną z fotografii jest wiszący na ścianie powiększony autograf Hemingwaya, co sprawia wrażenie, jakby pisarz podpisał się pod Ambos Mundos.

Oryginalna winda hotelowa jest nieco przerażająca. Do dzisiaj obsługuje ją windziarz, który zabiera zwiedzających do pokoju pięćset jedenaście. Znajduje się on w głębi korytarza, jest w nim pojedyncze łóżko, stojące w wąskiej wnęce. Hemingway zawsze prosił o ten pokój – z wyjątkiem sytuacji, kiedy towarzyszyła mu żona Pauline Pfeiffer – ponieważ mimo małych rozmiarów miał najlepszy w całym hotelu widok (na hawański port). Niezależnie od tego, gdzie Hemingway się zatrzymywał – w weneckim Gritti Palace, paryskim Ritzu czy Sun Valley Lodge w Ketchum – zawsze dostawał najlepszy pokój.

Dzisiejszy widok z pokoju pięćset jedenaście nie jest już tak ładny jak kiedyś, ponieważ Batista (który, gdyby utrzymał się przy władzy, zrujnowałby miasto) kazał zburzyć stojący

dawniej przed hotelem niski siedemnastowieczny klasztor. Na jego miejscu powstał trzypiętrowy budynek ze stali i szkła – jeden z najbrzydszych w La Habana Vieja – zasłaniający widok na port. Dla Hemingwaya był to kolejny powód, żeby nienawidzić Batisty – wcześniej jego ludzie zatłukli na śmierć psa pisarza, nie wspominając już o kilku spośród jego przyjaciół. Oczywiście w latach pięćdziesiątych, gdy Batista kazał wybudować wspomniany budynek, Hemingway mieszkał już w swoim domu na wzgórzu.

Nie wszyscy w Hawanie są jednak zafascynowani dziedzictwem Hemingwaya. Niektórzy mieszkańcy odnoszą się do mody na Hemingwaya podobnie jak pewien właściciel restauracji w Madrycie, który wywiesił w swoim lokalu tabliczkę z napisem „*Aquí nunca comió Hemingway*” („Tutaj nigdy nie jadł Hemingway”). W jednej z najlepszych scen w *Memorias del subdesarrollo* Desnoesa główny bohater zabiera swoją dziewczynę do domu pisarza. Kiedy dostrzega ona ogromne buty Hemingwaya, on wyjaśnia jej porozumiewawczo: „Amerykanie mają wielkie stopy. Zawsze to dostrzegałem, nawet u najpiękniejszych kobiet”. To odniesienie do kolejnego przykładu hawańskiego slangu: cudzoziemców – najpierw Hiszpanów, a potem Amerykanów – nazywało się tu czasem „*los patones*”, ponieważ rzekomo mają wielkie *patas*, czyli stopy.

Leonardo Padura przyznał się kiedyś, że z Hemingwayem łączyła go „trwająca długie lata miłość połączona z nienawiścią”. Muzeum urządzone w domu zmarłego pisarza określił mianem „dekoracji wymyślonej za życia dla upamiętnienia śmierci”. Powieściopisarz Abilio Estévez, który w dzieciństwie razem z rodziną odwiedzał dom Hemingwaya kilka razy do roku, stwierdził, że panował w nim „pogrzebowy nastrój”, jak we wszystkich muzeach.

Ja z wizyty w tamtym miejscu wyniosłem całkiem odwrotne wrażenie – czułem się jak podglądacz. Myszkujesz

po czyimś domu pod nieobecność gospodarza, który, jak się zdaje, zaraz wróci. Hawana próbuje zresztą utrwalić poczucie, że Hemingway nadal żyje. W 2015 roku podsłuchałem, jak włoscy turyści pytali przewodnika w pokoju pięćset jedenaście, gdzie teraz mieszka słynny pisarz. Wydawali się bardzo zasmuceni na wieść o tym, że już nie żyje.

W czasach radzieckich El Floridita był lokalem państwowym. Nie miał już wtedy szeroko otwartych drzwi, ponieważ wyposażono go w hałaśliwą klimatyzację, która pompowała zimne powietrze wzdłuż baru nawet wtedy, gdy zaopatrzenie w energię elektryczną było ograniczone. W tamtym czasie w lokalu przestali się również tłoczyć klienci.

Kiedy odwiedzałem ten lokal w latach osiemdziesiątych, było tam jeszcze kilku barmanów pamiętających, jak serwowano Hemingwayowi jego ulubione daiquirí bez cukru, podając je jako *á Papa*. Barmani mieli mnóstwo czasu, żeby ze mną pogawędzić, ponieważ było niewielu klientów. Jeden z barmanów, Antonio Meilan, zapamiętał pisarza jako „miłego i uczuciowego człowieka”, który zawsze zamawiał podwójne daiquirí bez cukru, a w tej restauracji zawsze tylko pił i nigdy nic nie jadł. Wbrew temu, co zapamiętał Meilan, wielu biografów Hemingwaya twierdzi jednak, że pisarz urządzał przyjęcia w jadalni na zapleczu lokalu.

W czasie mojej wizyty ta owalna jadalnia na tyłach specjalizowała się w serwowaniu langust, ale rzadko miewała jakichś gości. Langusta – bardzo duży, pozbawiony szczypiec, tropikalny skorupiak poławiany u południowych wybrzeży Kuby – była towarem luksusowym, który rząd uważał za źródło twardych dewiz, i dlatego była dostępna wyłącznie dla cudzoziemców. W restauracjach dla miejscowych nie wolno jej było podawać. W El Floridicie langusty serwowali kelnerzy w smokingach, które stanowiły ostatnią pozostałość po innej epoce.

W położonej w głębi La Habana Vieja La Bodeguita del Medio nie było ani langust, ani smokingów. Podobnie jak El Floridita, La Bodeguita miała być lokalem związanym z pamięcią po Hemingwayu, ale w czasie, gdy pisarz często odwiedzał Hawanę, jego upodobania zbliżały go raczej do klienteli noszącej smokingi (chociaż on sam często ubierał się niedbale w brudną guayaberę oraz szorty) i pozostaje kwestią dyskusyjną, jak dużo czasu tak naprawdę tu spędził.

Wśród licznych napisów na ścianach La Bodeguity jest również oprawiony w ramki dwuwiersz, skreślony starannym pismem Hemingwaya:

Moje mojito w La Bodeguicie

Moje daiquirí w El Floridicie.

Jak bardzo był pijany, kiedy to pisał? I czy w ogóle on jest autorem tego dwuwiersza? Odręczne pismo wydaje się odrobinę zbyt idealne. Kiedy zacząłem uczęszczać do La Bodeguity, stary i prawie ślepy Ángel Martínez nadal doglądał swojej starej bodegi, chociaż była to już wtedy państwowa restauracja. Nigdy nie rozmawialiśmy o autentyczności tego napisu, ale rozmawialiśmy o samym Hemingwayu. Martínez był fanem pisarza – mimo wszystko był przecież Kubańczykiem. Szczególnie lubił kubańską nowelę Hemingwaya *Stary człowiek i morze*.

Martínez potrafił cytować po hiszpańsku całe ustępy z tej książki. Ale o Hemingwayu w La Bodeguicie powiedział: „Sądzę, że przyszedł tutaj tylko trzy lub cztery razy. Częściej chodził do Floridity. Przychodził tutaj, zamawiał mojito, pozwalał sobie zrobić zdjęcie i szedł do Floridity, żeby tam zrobili mu jeszcze więcej zdjęć”.

Hemingway nie lubił mojito, ponieważ nie lubił cukru. A w El Floridicie mógł sobie zamawiać swoje daiquirí bez cukru. To martwiło Kubańczyków, którzy uważają, iż we wszystkim powinno być mnóstwo cukru. Wielu z nich podejrzewało nawet, że pisarz musiał być cukrzykiem. Ale Hemingway,

który zawsze otwarcie mówił o swoich dolegliwościach, nigdy nie wspominał o cukrzycy. Po prostu nie lubił cukru.

Jeśli w Hawanie zamówi się drinka bez cukru, barman zwykle powie: „To nie będzie dobrze smakować”. Ale dzięki Hemingwayowi przynajmniej w El Floridicie nikt nie wyraża sprzeciwu wobec daiquirí bez cukru.

Na ścianach w La Bodeguicie znajduje się jeden podpis sławnej osobistości, który prawdopodobnie jest autentyczny. Errol Flynn nabazgrał: „Najlepsze miejsce, żeby się upić”. I to jest prawda.

Państwowa gastronomia i dobre jedzenie miały tylko jeden punkt wspólny. Były nim lody. Fidel Castro, który był ich wielkim smakoszem, znany był z tego, że przerywał długie przemowy i sesje robocze, żeby urządzić sobie „przerwę na lody”. Gabriel García Márquez pisał, że kiedyś Castro „zakończył obfity obiad osiemnastoma gałkami lodów”. A skoro rewolucja zapewniła ludowi kubańskiemu opiekę zdrowotną, likwidację analfabetyzmu, wykształcenie i racje żywnościowe, to czy w tym gorącym, parnym mieście podzwrotnikowym nie była zobowiązana również do tego, żeby zapewnić ludowi lody?

Castro powierzył ten projekt Celii Sánchez, która od początku uczestniczyła w ruchu rewolucyjnym w prowincji Oriente, gdzie rozpoczęło się powstanie zbrojne. To ona wybrała miejsce na lądowanie oddziału inwazyjnego Fidela i była pierwszą kobietą, która z bronią w ręku walczyła w partyzantce kubańskiej. Kiedy czołowi producenci cygar udali się na emigrację, stworzyła cygaro Cohiba, które Fidel w słynny i stylowy sposób palił aż do 1985 roku, kiedy lekarze kazali mu zerwać z nałogiem. Zawsze blisko współpracowała z Castro i, jak to na Kubie, często pojawiały się sugestie, że byli kochankami.

Sánchez była również wielbicielką baletu. Planowaną lodziarnię postanowiła nazwać Coppelia, od tytułu swego ulubionego baletu. W logo lokalu znajduje się para pulchnych nóg w tutu i baletkach. Oto co się dzieje z baletnicami, które jedzą za dużo lodów.

Coppelia jest świetnie zlokalizowana – wybudowano ją przy La Rampa w dzielnicy Vedado, w miejscu gdzie wcześniej stał dziewiętnastowieczny szpital, zburzony w 1954 roku przez Batistę pod planowaną budowę nowoczesnego pięćdziesięciopiętrowego wieżowca. Rewolucja unieważniła ten i wiele podobnych planów Batisty dla Hawany. Zamiast tego urządzono tam park miejski. Lecz w 1966 roku było to bardzo zdewastowane miejsce z kilkoma rozlatującymi się straganami, które rzekomo były ogródkiem piwnym.

Castro chciał zdążyć z wybudowaniem Coppelii na zorganizowaną przez siebie konferencję międzynarodową, co oznaczało, że trzeba było ukończyć budowę w ciągu sześciu miesięcy. Wybrano to miejsce, ponieważ ważne delegacje (z radziecką na czele), przybywające na wspomnianą konferencję, miały się zatrzymać w pobliskim Habana Libre.

Większość czołowych architektów kubańskich do tego czasu wyemigrowała już z Kuby. Przywódcy rewolucji wybrali więc na projektantów młodych architektów, którzy sięgnęli po modernizm lat pięćdziesiątych, czyli estetykę przedkładającą okręgi nad sześcienne bryły.

Architekt Mario Girona zaprojektował konstrukcję dostosowaną do wyjątkowego położenia Kuby i tradycji Hawany. Główną rolę w tym projekcie odgrywały wykonane z prefabrykatów kolumny, które można było przywieźć i zmontować na miejscu. Podpierały one okrągłą konstrukcję, która nieuchronnie kojarzyła się z latającym spodkiem. Ten budynek był w całości produktem kubańskim.

Według legendy Fidel Castro był w posiadaniu wspaniałych przepisów na lody o trzydziestu sześciu smakach. W niektórych wersjach tej opowieści jest mowa o większej liczbie, a w innych o mniejszej. Nie wiadomo, skąd miały pochodzić owe receptury, ale zważywszy na ówczesne realia, zakłada się, że zostały komuś skonfiskowane. Castro wysłał swoich specjalistów do Kanady, żeby nauczyli się robić lody o różnych smakach, oraz sprowadził ze Szwecji i Holandii najdroższe maszyny do robienia lodów. Chciał zbudować największą na świecie lodziarnię z najlepszymi na świecie lodami dla „najlepszych na świecie ludzi”.

Girona wybudował największą na świecie lodziarnię – na tysiąc miejsc, ustawionych w większości pod drzewami figowca wzdłuż chodników wiodących do budynku. To i tak niewielka liczba, jeśli przyjąć, że Coppelia obsługuje blisko trzydzieści pięć tysięcy klientów dziennie, wydając przy tym ponad tysiąc sześćset litrów lodów.

Czekanie w kolejce zajmowało od godziny do dwóch, a czasami nawet dłużej. Fakt, że najwyraźniej nikt się tym nie przejmował, daje pewne wyobrażenie o charakterze *habaneros*. Stanie w kolejce przed Coppelią było jednym z rytuałów życia w Hawanie. Można było tam przyjść z grupą przyjaciół albo zawrzeć w kolejce nowe znajomości. Dla cudzoziemców była to najlepsza możliwość poznania miejscowych (i odwrotnie). A gdy ktoś już doszedł do lady, okazywało się, że warto było czekać.

Otwarta w 1966 roku Coppelia została zbudowana w tym samym celu, dla którego wyprodukowano tropi-colę – żeby zastąpić to, co zostało utracone na skutek embarga. Przed rewolucją lody importowały na Kubę wielkie kompanie amerykańskie. Celem Castro było produkowanie na miejscu lepszych lodów i w szerszym asortymencie smaków, niż robiła to jakakolwiek firma z Ameryki.

Oryginalne menu Coppelii zawierało dwadzieścia sześć smaków, które zazwyczaj były dostępne w komplecie. Warto je tu wymienić:

migdałowy, kokosowy, czekoladowy, orzechowy, brzoskwiniowy, tutti frutti, kawowy, kokosowo-migdałowy, karmelowy, pomarańczowo-ananasowy, ananasowy, śmietankowy, truskawkowy, truskawkowy z mieszanką owoców, bananowy, guajawowy, waniliowy, czekoladowy z mieszanką orzechów, czekoladowy z orzechami, miętowo-czekoladowy, czekolady słodowej, waniliowy z czekoladową posypką, miętowy z czekoladową posypką, muszkatołowy, kremu słodowego, crème de vie.

Crème de vie to rodzaj ajerkoniaku, serwowany w Hawanie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Czy emigranci, którzy twierdzą, że rewolucja jest szara i ponura, kiedykolwiek próbowali lodów o smaku crème de vie?

9

Mulatka powraca

> W dzisiejszych czasach nikt na Kubie nie naśladuje Rosjan; mamy teraz prawo popełniać nasze własne błędy.
>
> Edmundo Desnoes, *Donde me pongo* (1967)

W Hawanie ciągle swoje rządy sprawował występujący w wierzeniach santeríi Oyá, afrykański duch zmiany i nowych początków. W sierpniu 1990 roku Castro wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że Związek Radziecki może się rozpaść, co oznaczałoby ogromne problemy dla Kuby, nie wykluczając głodu. Jak jednak zaznaczył, Kuba pozostanie wierna swoim ideałom i przejdzie przez ten, jak to określił, „okres specjalny w czasach pokoju”. W demokracji niewielu przywódców ośmieliłoby się tak szczerze mówić o nadchodzących ciężkich czasach, ale Castro postanowił z wyprzedzeniem przekazać ludziom złe wieści.

Castro przedstawiał najgorszy możliwy scenariusz, ale wcale nie przesadzał. Związek Radziecki, który co roku wydawał około sześciu miliardów dolarów na dotowanie kubańskiej gospodarki, rozpadł się. W bardzo krótkim czasie załamały się kubański import i eksport, w dużej mierze opierające się na kontaktach z ZSRR. Produkt narodowy brutto spadł o ponad jedną trzecią. Wyspa straciła większość dostaw energii, której głównym źródłem była radziecka ropa naftowa. Brak paliwa był szczególnie odczuwalny w Hawanie, gdzie skutki suszy łagodzi dość kosztowne pompowanie wód podziemnych. Samochody znikły z ulic; nie było paliwa do chevroletów i ład.

W ich miejsce w Hawanie zaczęły się jednak pojawiać – niczym dar od ducha Oyá – tanie chińskie rowery. Co bardziej przedsiębiorczy hawańczycy budowali doczepiane do rowerów wózki – wyglądające jak gondole z siedzeniami –

którymi wozili turystów. Te rowerowe riksze o długich dyszlach, które wypełniły wąskie uliczki La Habana Vieja, przypominały dawne wolanty.

Nie wystarczało również farmaceutyków, które sprowadzano głównie z NRD, oraz, jak przewidywał Castro, zaczęło brakować jedzenia. Racje żywnościowe – cecha charakterystyczna rewolucyjnej Kuby – zostały zwiększone, ale mimo to dieta przeciętnego mieszkańca Hawany była coraz skromniejsza. Co ciekawe, odnotowano zauważalny spadek liczby ataków serca oraz zachorowań na cukrzycę, co przypominało kolejny nieoczekiwany dar od Oyi.

Rząd poszukiwał sposobów na odbudowę gospodarki i przetrwanie „okresu specjalnego", dlatego uznano – jak w przypadku pozostałych krajów karaibskich – że częściowym rozwiązaniem może być turystyka. Mimo że czasy były ciężkie, atrakcje turystyczne, takie jak dom Hemingwaya, zostały odnowione. (Dom pisarza został przemalowany na jego pierwotny kremowy kolor, który zastąpił jaskrawą biel wybraną przez młodych rewolucjonistów na początku lat sześćdziesiątych). Po raz pierwszy rząd zachęcał do zagranicznych inwestycji, chociaż nadal zachował sobie co najmniej pięćdziesiąt jeden procent udziałów w każdym interesie. Hotele odrestaurowano, a dawne posiadłości zamieniono w luksusowe hotele.

Wprowadzenie kapitalizmu do systemu socjalistycznego, nawet na tak skromną skalę, stanowiło wielką zmianę dla *habaneros*. Z jednej strony była to dla nich szansa na poprawę sytuacji materialnej. Z drugiej mówiono im, że programy rządowe nie wystarczą, żeby o nich zadbać. Powieściopisarz Pedro Juan Gutiérrez, jeden z ważnych kronikarzy „okresu specjalnego", pisze: „Przez trzydzieści pięć lat byliśmy zamknięci w zoo. Karmili nas ochłapami i gdy trzeba było, dawali jakieś lekarstwa. Nikt nam nigdy nie mówił, jaki jest ten świat za kratami. No i nagle mamy żyć w dżungli"**[19]**.

Posiadanie dolarów amerykańskich, wcześniej nielegalne, zostało zalegalizowane. To ogromnie ułatwiło drobne interesy z cudzoziemcami, jak na przykład przejażdżkę rikszą rowerową. W społeczeństwie słynnym niegdyś ze swego egalitaryzmu zapanowała teraz nierówność dochodów, która czasami zakrawała wręcz na kpinę z ideałów rewolucji. Prawie każdy, kto wykonywał pracę opłacaną w dolarach, zarabiał teraz znacznie więcej niż ten, kto był opłacany w pesos. Taksówkarz mógł zarabiać więcej niż profesor uniwersytecki, chirurg, gwiazda baseballu lub czołowy artysta estradowy.

Jak przystało na Hawanę, w tych ciężkich czasach nowo zyskana swoboda ogromnie przyczyniła się do tego, że na ulicach ponownie pojawili się naciągacze, którzy sprzedawali kiepskiej jakości cygara Havana po wygórowanych cenach. Odrodziła się także prostytucja. Znowu przed lepszymi hotelami zaczęli wystawać mężczyźni gotowi zaoferować klientom Mulatki do wyboru.

Jak widać, trzy ambitne cele rewolucji – wyeliminowanie płatnego seksu, wyeliminowanie seksizmu i wyeliminowanie rasizmu – nie zostały osiągnięte.

Rewolucyjna Kuba, po raz pierwszy w dziejach wyspy, zagwarantowała swoim obywatelom prawo do aborcji, rozwodów oraz kontroli urodzeń. Kościół katolicki nie miał już żadnej władzy. Vilma Espín (żona brata Fidela Castro, Raúla), jedna z uczestniczek walki rewolucyjnej z reżimem Batisty, jako przewodnicząca Federacji Kobiet Kubańskich postanowiła zająć się kwestiami seksizmu oraz *machismo*. To za jej sprawą w 1975 roku uchwalono *Kodeks prawa rodzinnego* zmieniający tekst przysięgi małżeńskiej oraz wprowadzający prawa kobiet do systemu prawnego. Rewolucjoniści przechwalali się, iż stworzyli „nowego człowieka” – w zmienionej przysiędze małżeńskiej mężczyźni musieli zacząć ślubować, że będą pomagać w gospodarstwie domowym. I tak też robią, co nie oznacza jednak, że

nastawienie ludzi uległo całkowitej zmianie. Rząd może wyeliminować dyskryminację na rynku pracy i umożliwić każdemu dostęp do pomocy medycznej, ale trudniej jest zmienić sposób myślenia.

Zmiany zachodzące w statusie kobiet na postrewolucyjnej Kubie dobrze pokazuje ewolucja hawańskich restauracji. W 1993 roku rząd uznał za legalne prowadzenie w domach prywatnych restauracji – miała to być prosta, zwyczajna kuchnia domowa. Ale nawet w założeniu była to propozycja adresowana do ograniczonej liczby osób, ponieważ biorąc pod uwagę charakter hawańskiej zabudowy, niewiele rodzin miało mieszkania, które nadawały się do urządzenia w nich restauracji.

Owe restauracje nazywano „*paladares*” – najprawdopodobniej od hiszpańskiego słowa „*paladar*”, czyli „podniebienie, smak”. Często mówi się również, że źródłem pochodzenia tej nazwy jest brazylijska opera mydlana *Vale todo*, pokazywana w kubańskiej telewizji na początku lat dziewięćdziesiątych, w której główny bohater ma sieć restauracji o nazwie Paladar. Jak widać, nazwa przetrwała, w odróżnieniu od telenoweli.

W paladarach można było zjeść proste, tradycyjne dania, takie jak ajiaco, picadillo i smażone banany w sosie czosnkowym. Potrawy serwowano w niewielkim pokoju, prawdopodobnie dawnym pokoju dziennym, do którego wstawiano dwa lub trzy proste stoliki (często były to składane stoliki do gry w karty), podczas gdy siedzące w kuchni dzieci przyglądały się z ciekawością klientom.

Pomimo nowego brzmienia tekstu przysięgi małżeńskiej gotowanie w domowych *paladares* było prawie zawsze domeną kobiet. Domowe kucharki niekoniecznie jednak pasowały do wyobrażenia o gospodyniach domowych. W La Habana Vieja w lokalu o nazwie La Mulata del Sabor gotowaniem i obsługą gości zajmowała się prawdziwa *la*

mulata, Justina Sierra. Justina była kiedyś aktorką, a obecnie, jak to mawiają Francuzi, jest kobietą w pewnym wieku, o kilka rozmiarów za dużą na obcisłą sukienkę z głębokim dekoltem, którą zazwyczaj nosiła, flirtując z klientami i mówiąc im, że gotowanie to „prawie miłość". Poza tym była jednak bardzo dobrą kucharką.

W 2010 roku weszło w życie nowe prawo, dzięki któremu *paladares* mogły stać się bardziej wyszukane i ambitniejsze. Kuchnia nie była już na widoku, a dzieci nie gapiły się na klientów. Nowe *paladares* mieściły się w bardziej przestronnych wnętrzach o lepszym wystroju, czasami wypełniając cały parter domu w La Habana Vieja, a nawet wychodząc na podwórko. Określenie „wewnątrz domu" zostało wyraźnie zliberalizowane. Czasami ambicje właścicieli *paladares* sięgały nieco za daleko. W pewnej kuszącej tropikalnym wystrojem podwórka restauracji w dzielnicy Miramar do dania głównego podawano ozdobę – pływającą w kieliszku złotą rybkę. Stwarzało to interesującą kwestię, zarówno pod względem moralnym, jak i gastronomicznym.

Definicja „domowego" gotowania i „domowej" obsługi w *paladares* zdecydowanie uległa zmianie. Pojawili się kelnerzy w czarnych kamizelkach i białych koszulach. Domowa kuchnia znikała, wypierana przez usługi profesjonalnych kucharzy – zazwyczaj mężczyzn, którzy ukończyli zawodową szkołę hotelarską w Hawanie. W miarę jak status i rozmiary *paladares* rosły, miejsce kobiet w tej branży zajmowali mężczyźni.

Nowe lokale gastronomiczne potrzebowały świeżego jedzenia, a jego zakup wymagał w Hawanie pewnej pomysłowości. Jedno ze źródeł żywności stanowił Mercado 19 y B, targ nazywany tak od adresu, pod którym mieścił się w dzielnicy Vedado. Często był on odwiedzany przez personel placówek dyplomatycznych. Dobrze utrzymany, kryty dachem, oferuje jednak ograniczony wybór produktów, który w dużej mierze

jest uzależniony od sezonu – aromatyczne gujawy zimą, wiele rodzajów bananów przez cały rok, papaje, wielkie ilości soczystych pomarańczy, eksportowanych kiedyś do bloku radzieckiego w zamian za ropę naftową, trochę ziół, cebula, czosnek oraz papryczki cachucha, które są małe, jaskrawoczerwone i bardzo łagodne w smaku. Jest tu również i mięso, ale targowiska pod gołym niebem to w tropikach nie najlepsze miejsce do kupowania mięsa. Lepszym wyborem jest mrożone mięso dostępne w droższych sklepach w centrum Hawany.

Innym źródłem żywności są tylne siedzenia samochodów, których kierowcy jeżdżą po mieście – legalnie lub nielegalnie – przewożąc przeznaczone na sprzedaż produkty rolne. To zdumiewające, jak dużo główek kalafiora może się zmieścić na tylnym siedzeniu chryslera, rocznik pięćdziesiąty siódmy.

W Miramar, gdzie znajdują się dobrze utrzymane ambasady ze starannie przystrzyżonymi ogrodami oraz domy z początku XX wieku, często zbudowane w stylu *art déco*, nad brzegiem oceanu siedzą wędkarze z długimi wędkami, na które łapią *pargo*, aby następnie sprzedać je miejscowym restauracjom. Czasami zbierają zamówienia wcześniej.

Zaledwie kilka przecznic dalej, za dużymi, zadbanymi ambasadami Hiszpanii i Chin przy Piątej Alei w Miramar, znajduje się dzielnica o nazwie Atabey, gdzie domy bardziej przypominają okolicę zamieszkiwaną przez klasę średnią, ale również są dobrze utrzymane. To tutaj mężczyzna zwany „Chino”, czyli „Chińczyk” (co jednak nie jest prawdą, bo nazywa się Rolando Oye i jest Japończykiem) ma swoje gospodarstwo rolne, w którym nie stosuje żadnych nawozów. Oye pracował jako mechanik helikoptera aż do 1997 roku, kiedy przejął farmę po ojcu. Jego ojciec miał podobne gospodarstwo w Japonii, ale w 1935 roku wyemigrował na Kubę. Gospodarstwo ekologiczne w kraju, gdzie ustawicznie brakuje nawozów, jest dobrym rozwiązaniem.

Oye hoduje przyprawy ziołowe, które zachwycają wyrazistym smakiem (koper, pietruszkę, gorczycę), oraz malutkie pomidorki koktajlowe, banany i papryczki cachucha. Jego działka o powierzchni niemal pół hektara to ukryty w zatłoczonej stolicy kawałek zieleni. Oye wykorzystuje ją ekonomicznie, stosując błyskotliwe planowanie i użyźniając glebę naturalnym kompostem. Ta malutka farma jest spółdzielnią liczącą dwustu sześćdziesięciu członków. W pobliżu farmy jego siostra prowadzi podobną spółdzielnię, która także zajmuje się uprawą roli bez użycia nawozów.

Jednym z uroków Hawany jest to, że w całkiem nieoczekiwanych miejscach wyrastają tam zaskakujące drobne nisze ludzkiej aktywności. Żyjąc w swoim rozsypującym się i popadającym w ruinę mieście, *habaneros* wykazują prawdziwy geniusz w zakresie wynajdowania sposobów na wykorzystanie nieużywanych przez nikogo lub porzuconych przestrzeni.

Przy Calle Mercaderes w La Habana Vieja mieści się restauracja o nazwie La Imprenta. Wygląda na profesjonalny i zadbany lokal, ale została urządzona wśród ruin, a konkretnie na dziedzińcu budynku z 1774 roku. W 1905 roku pewien drukarz założył na parterze zakład, który nazwał La Habanera. Dzisiaj ten budynek jest pozbawiony dachu i ma, jak wiele innych gmachów w Hawanie, ogołocone wnętrza. Fragmenty murów i znajdujące się na piętrze wejścia zwieńczone kamiennymi łukami stanowią – wraz z wysokimi, prostymi palmami królewskimi i innymi roślinami tropikalnymi – podstawowy wystrój tej restauracji. *Habaneros* są ogrodnikami. Sadzą rośliny wszędzie, gdzie tylko znajdą miejsce – na balkonach, w mieszkaniach, na dziedzińcach i podwórkach. Piękne rośliny rosną tutaj z łatwością, jakby przypominając, że gdyby ludzie zarzucili ogrodnictwo, bujna flora szybko zawładnęłaby tym miejscem.

Julio García, przystojny, przysadzisty, czarnoskóry mężczyzna, muskularny facet w mieście chudych ludzi, jest kelnerem w La Imprencie, ale dorabia sobie, pisując do jednego z magazynów poświęconych jedzeniu. Nie ma w tym nic niezwykłego. Produktem ubocznym systemu, który stara się zapewnić każdemu dobre wykształcenie, jest to, że na pierwszy rzut oka każdy ma tutaj duże ambicje. W kwietniu 1996 roku Castro skomentował to zjawisko następująco: „Każdy w tym kraju chce być intelektualistą. To przywara wykreowana przez samą rewolucję, przez uniwersytety".

Od czasu, gdy rząd stworzył możliwość zarabiania w dolarach, w Hawanie występuje również odwrotne zjawisko – profesorowie i inżynierowie chętnie zostają taksówkarzami.

García twierdzi, że potrawka z kurczaka podawana w La Imprencie to autentycznie chłopskie danie. „Prawdziwe kubańskie jedzenie jest jedzeniem niewolników, a nie Europejczyków" – jak mi powiedział. I podobnie jak to jest z wieloma popularnymi daniami, które wywodzą się z prostej, chłopskiej kuchni, tak było najwyraźniej również w tym przypadku. A oto stosowany w La Imprencie przepis Garcíi na kubańską potrawkę z kurczaka. (Moje komentarze w nawiasach).

Zabić kurczaka.

Oskubać go i oczyścić.

Pokroić na kawałki tą samą maczetą, którą się go zabiło. Włożyć do garnka z odrobiną wody (wody ma być tyle, żeby przykryła mięso; dodać cztery duże szczypty soli, dwa liście laurowe i trzy duże kawałki marchewki), gotować przez chwilę (około siedemdziesięciu minut) i usunąć kości (oraz skórę).

Rozgrzać na patelni niewielką ilość (ćwierć szklanki) oleju – zwykłego oleju, a nie oliwy z oliwek (wielu *habaneros* używa oliwy z oliwek, zazwyczaj, jeśli jest dostępna, hiszpańskiej, chociaż prawdziwi *guajiros*, czyli kubańscy chłopi, nigdy tak nie robili), po czym dodać posiekaną cebulę (jedna cebula, lepiej cienko pokrojona niż posiekana) i czosnek (pięć pokrojonych ząbków średniej wielkości). (Cebulę i czosnek rzucić na wrzący olej, smażyć aż do ich zeszklenia). Dodać mięso z kurczaka i mnóstwo sosu pomidorowego (dwie i pół szklanki dobrego, gęstego sosu). (Dodać pół szklanki bulionu z garnka, w którym gotował się kurczak). Dodać sól (niekoniecznie, jeśli bulion jest już

dobrze posolony) i czarny pieprz (sześć porządnych obrotów młynkiem). Gotować przez godzinę lub dłużej, aż będzie gotowe do zjedzenia.

García mówił mi, że w dawnych czasach do tej potrawy dodawano jeszcze ziemniaki. Nigdy jednak nie były one na Kubie podstawowym artykułem spożywczym, dlatego w Hawanie są trudno dostępne. Państwowe gospodarstwa rolne przestały uprawiać ziemniaki z powodu ich niskiej wartości odżywczej; rząd prezentował wysoką świadomość w kwestiach zdrowego żywienia. Zamiast ziemniaków można więc dodać około siedmiu talarków obranego ze skórki manioku, najlepiej o grubości niecałego centymetra. Powinien wam zostać garnek dobrego bulionu z kurczaka, do którego należy dodać ugniecioną na purée czarną fasolę i gotować to wszystko na wolnym ogniu przez piętnaście minut, żeby uzyskać w ten sposób klasyczną zupę fasolową. Można też ugotować w tym bulionie więcej kawałków manioku, następnie ugnieść go, dodać mleka, a otrzymamy zupę maniokową.

La Imprenta jest tylko jedną z wielu nowych restauracji, które pojawiły się w Hawanie w XXI wieku. El Templete, której nie należy mylić z pobliskim pomnikiem o tej samej nazwie, jest restauracją państwową, lecz w odróżnieniu od tych, które wcześniej wykorzystywały przepisy kuchni rosyjskiej, ta rozwinęła się z udziałem Hiszpanów. Pierwszym menedżerem El Templete był pewien Bask, który w 2005 roku wprowadził tam tradycyjne dania baskijskie, takie jak papryczki faszerowane solonym dorszem oraz rybacką potrawkę o nazwie marmitako. Po nim pojawił się Katalończyk, a następnie Andaluzyjczyk z Malagi. Ze wszystkimi swoimi iberyjskimi wpływami restauracja oferuje znacznie lepsze owoce morza niż te, które *habaneros* znali od dawna, czyli grillowaną langustę albo kiepsko usmażonego *pargo*.

Przed rewolucją zamożne rodziny spędzały niedziele w jachtklubie w Miramar albo w domku na plaży w Pinar del

Río. W drodze do domu zatrzymywały się na pewnej farmie wśród tytoniowych pól na zachód od Hawany, przy górskim miasteczku Guanajay, gdzie znajdowała się rodzinna restauracja o nazwie Rancho Luna. Pracownicy restauracji robili zdjęcia odwiedzającym lokal rodzinom, wywoływali je i oprawiali w tekturowe ramki opatrzone napisem „Rancho Luna”, które wręczano gościom na pamiątkę. Lokal został zamknięty w 1963 roku, ale zawiadująca nim rodzina Garcíów pozostała na Kubie i przy wsparciu finansowym ze strony państwa otworzyła w Miramar nowy lokal o nazwie El Aljibe. Nastąpiło to – jak mi wyjaśniła kelnerka – 13 sierpnia 1993 roku. „To urodziny Fidela” – dodała po chwili ściszonym głosem, w którym brzmiał nabożny ton.

El Aljibe stanowi kopię swojej poprzedniczki, z dachem krytym liśćmi, kafelkami na podłogach, wielkimi stołami oraz twardymi hiszpańskimi krzesłami z drewna obitego skórą. Serwuje wiele potraw będących specjalnością starej restauracji, jak na przykład pollo a lo tinguaro, danie nazwane na cześć pewnej cukrowni koło Camagüey. Ta potrawa, składająca się z kurczaka w kwaśnych pomarańczach, jest hawańską specjalnością.

Kwaśna pomarańcza – *naranja agria* – to owoc cytrusowy o pomarańczowym miąższu i zielonej skórce. Stanowi podstawowy element kuchni kubańskiej i trudno ją dostać gdziekolwiek indziej. Jako substytut można stosować sok cytrynowy zmieszany z sokiem pomarańczowym. Sztuczka polega na tym, żeby stworzyć smak podobny do pomarańczy, ale kwaśny jak cytryna.

A oto przepis na pollo a lo tinguaro stosowany w El Aljibe (porcja dla czterech osób):

półtora kilograma kurczaka

szczypta soli

szczypta czarnego pieprzu

pół szklanki soku z kwaśnej pomarańczy

pół szklanki mąki

pół szklanki oleju

pięć cienkich plasterków szynki

jeden plasterek bekonu

jedna kromka długiego, chrupiącego chleba kubańskiego (pan de flauta)

(Rodzina Garcíów używa również cebuli i czosnku, ale najwyraźniej zapomnieli je wymienić w niniejszym przepisie. Sugeruję więc dodać pół cebuli pokrojonej na plasterki i pięć siekanych ząbków czosnku).

Pokroić kurczaka na osiem kawałków i marynować w soli, pieprzu oraz soku pomarańczowym. Zostawić na pół godziny, a następnie obsypać mąką. Usmażyć (na oleju) plasterki szynki z bekonem i osobno kromkę chleba. Osuszyć je i zmielić w maszynce. Usmażyć kurczaka na tej samej patelni, a gdy uzyska złoty kolor, dodać siekanego czosnku i cebuli. Na koniec dodać mieszankę szynki i bekonu.

W trakcie kilku minionych dekad Kubańczycy odbudowali swój przemysł turystyczny, dokonując tego bez udziału Amerykanów. W rekordowym 1957 roku, który został zapamiętany jako szczytowy moment kubańskiej turystyki, wyspa przyciągnęła 304 711 turystów. Po rewolucji, kiedy zniechęcano do turystyki i przyjeżdżało mniej gości, ich liczba spadła do zaledwie ośmiu tysięcy czterystu w 1974 roku. Po rozpoczęciu „okresu specjalnego” w 1990 roku dawny rekord szybko jednak został pobity i już w 1994 roku na wyspę przybyło sześćset dziewiętnaście tysięcy turystów. Mimo że gości ze Stanów była dosłownie garstka (nadal obowiązywało embargo), Kuba, a zwłaszcza Hawana, przyjęła największą liczbę turystów w długiej historii swojej turystyki. Od 2010 roku Kuba gości już ponad milion turystów rocznie.

Sklepy i butiki, które kompletnie znikły z Hawany po rewolucji, ponownie otwarły swe podwoje, często w tradycyjnych rejonach zakupów, takich jak Calle Obispo. W tym miejscu przed niektórymi wejściami do modnych sklepów z minionej epoki można zobaczyć ich nazwy ułożone z mozaiki na rozsypujących się chodnikach.

Wróciła ceramika będąca tradycyjnym kubańskim rzemiosłem, które wywodzi się od andaluzyjskiego kaflarstwa. Do XX wieku wiele różnych przedmiotów wykonywano na Kubie z ceramiki, ale po rewolucji zaprzestano jej wyrobu z powodu olbrzymiej ilości energii, jaką piece zużywały do jej wypalania. W tym rewolucyjnym społeczeństwie występuje jednak mnóstwo sprzeczności i na skutek jednej z nich na koloniach letnich dla dzieci rewolucjonistów na wyspie Isla de la Juventud uczono właśnie wypalania ceramiki. Tamta rewolucyjna młodzież zdążyła już dorosnąć i teraz sama wyrabia ceramikę – kafle, talerze i miski z kubańskimi motywami, a nawet figurki ukazujące znanych polityków w satyryczny sposób. Jedna z nich przedstawia Obamę i Raúla Castro, którzy stoją na Kubańczykach.

Większość nowo otwartych hoteli to po prostu odrestaurowane stare pensjonaty lub wielkie posiadłości zamienione w luksusowe hotele butikowe. W połowie lat dziewięćdziesiątych spore kontrowersje wzbudziło wyłożenie przez rząd siedemdziesięciu milionów dolarów na budowę wielkiego hotelu przy Malecónie, tuż obok wieżowca, w którym mieściły się kasyno i będący niegdyś spełnieniem marzeń Meyera Lansky’ego hotel Habana Riviera. Po dwudziestu latach rząd przestał wykorzystywać go w charakterze internatu dla członków partii i w tej samej okolicy wybudował przeznaczony dla turystów nowy hotel o podobnym standardzie.

Czy uniknąwszy losu innych nadmorskich miast, odciętych od oceanu ścianą wieżowców hotelowych, Hawana w końcu miała ulec tej pokusie? I dlaczego pieniądze, których tak bardzo potrzebowano na odnowienie starych budynków, wydano na taki projekt? Oczywisty powód był taki, że gospodarka liczyła na większą liczbę turystów, dla których nie było wystarczającej liczby pokojów hotelowych. Lecz rewolucyjna Kuba miała przecież być inna, zaś taki oparty na pieniądzach pragmatyzm był tam – i nadal jest – niepopularny.

Jak do tej pory nie podążano tą drogą, ale przyszłość jest niepewna.

A jak w tej powodzi turystów dają sobie radę inne stare hawańskie lokale? La Bodeguita del Medio co wieczór jest zatłoczona muzykami grającymi stare piosenki, głównie bolera o miłości i cierpieniu. Czasami w skład zespołu wchodzi *tresero*, który gra na unikatowym instrumencie kubańskim o nazwie tres – strojonej oktawowo gitarze z trzema podwójnymi strunami. Została ona specjalnie skonstruowana do najbardziej hawańskiej formy muzycznej, jaką jest afrokubański son.

W tłumie turystów jest wielu młodych mężczyzn z Europy, którzy wypili już zbyt wiele mojito i nie odnieśli sukcesu w pogoni za pięknymi, młodymi *habaneras*. Fakt, że hawanki w ogóle nie odwracają wzroku, kiedy się na nie patrzy, wytrąca obcokrajowców z równowagi. Jak pisze Edmundo Desnoes: „To, co jest naprawdę niezwykłe u Kubanek, to fakt, że zawsze patrzą ci w oczy: nigdy nie unikają dotyku twojego spojrzenia ani okazji, by dotknąć cię swoim”. Często jednak w takich sytuacjach następuje odtrącenie, wyrażone z lekko ironiczną uprzejmością, co także jest typowo *habanero*.

Od stuleci zagraniczni goście wspominali w swoich relacjach o niesłabnącej uprzejmości i serdeczności, z jakimi mieszkańcy Hawany witają cudzoziemców. Nie okazują oni wrogości nawet wobec Amerykanów, choć przecież przez dziesięciolecia amerykański rząd próbował ich zagłodzić.

W El Floridicie występuje grające na marakasach czteroosobowe kubańskie combo grające muzykę son. Zespół występuje przy końcu baru, który zamienił się w istne sanktuarium Hemingwaya. Są tam zdjęcia pisarza, w tym również te ze wspólnego wędkowania z Fidelem, oraz jego popiersie. Przypomina to rodzaj poświęconej jednemu z afrykańskich duchów kapliczki, jakie można znaleźć w

hawańskich domach. Gdyby ktoś chciał wybudować kapliczkę Hemingwaya, umiejscowienie jej w barze miałoby sens.

Fakt, że w barze, który lubił odwiedzać Hemingway, postawiono brązową statuę pisarza, to już jednak przesada – aczkolwiek amerykański pisarz zdradzał skłonności do przesady. W każdym razie Hemingway już zawsze będzie pił drinki w El Floridicie. Przychodzą tam młodzi ludzie, którzy oczywiście są piękni, tańczą, oczywiście obłędnie, do muzyki granej w lokalu i palą cygara lub papierosy (Fidel mógł sobie rzucić palenie w 1985 roku, ale mało kto poszedł w jego ślady). „Papa" Hemingway z posągu jest odrobinę wyższy od reszty gości, zaś na jego twarzy błąka się głupkowaty uśmiech, który zdaje się mówić: „Ojejku, jak się cieszę, że tutaj jestem". Takiego uśmiechu nigdy nie znajdziecie na żadnej z jego licznych fotografii, łącznie z tymi, które wyglądają na podrobione. Młode kobiety tańczą wokół niego, trzęsąc biodrami i kompletnie go ignorując, a on stoi tam i patrzy na nie, głupio się uśmiechając. Ta scena nie jest wcale tak nieprawdopodobna, jak mogłaby się wydawać.

W Coppelii nadal stoją długie kolejki, ale wizyta w lodziarni nie jest już dla cudzoziemców wyjątkowym przeżyciem. Kubańczycy płacą obecnie kubańskimi pesos, a cudzoziemcy kubańskimi pesos wymienialnymi (CUC). CUC kosztuje znacznie więcej niż zwykłe peso, co uniemożliwia cudzoziemcom wykorzystywanie skrajnie niskiego kursu kubańskiej waluty, zaś Kubańczyków chroni przed tym, by z powodu turystyki życie na Kubie nie stało się dla nich zbyt drogie. Dwa rodzaje waluty skutecznie odseparowały jednak cudzoziemców od miejscowych, co dla rządu kubańskiego nie jest raczej powodem do zmartwień. W Coppelii jest teraz osobna kolejka dla płacących CUC, którzy obsługiwani są błyskawicznie. Co gorsza, chociaż wiszące na ścianie menu, które jest przeznaczone dla wszystkich klientów, nadal ma dwadzieścia sześć pozycji, to tylko w dwóch lub trzech z nich

znajdują się wywieszki z nazwami dostępnych smaków: truskawkowym, waniliowym i czekoladowym.

Rewolucja utraciła swój crème de vie.

10

Brzmienie afrykańskiego miasta

Y bien, ahora os pregunto:
¿No veis estos tambores en mis ojos?
Więc teraz zapytuję:
nie widzicie tych bębnów w moich oczach?[20]

Nicolás Guillén, *Nazwisko* (1958)

Stare, rozpadające się domy w Hawanie nadal mogą oddychać, ponieważ do dzisiaj nie mają w oknach szyb, a jedynie żelazne kraty. Nie ujrzymy już jednak pięknych młodych kobiet stojących w oknach niczym kwiaty. Z kolei twierdzenie powieściopisarza Abilio Estéveza, że kiedy dobrze się przyjrzeć, można dojrzeć w oknach cudowne nagie ciała, jest co najmniej przesadą. Nie ma jednak chyba drugiego takiego miasta na świecie, gdzie spacerowicz może oglądać tak wiele autentycznych scen domowych. A co hawańskie rodziny robią w swoich domach? Mnóstwo czasu poświęcają na słuchanie muzyki.

Przejdźcie się ulicą w Hawanie, a usłyszycie muzykę dobiegającą z każdego okna i z każdych drzwi – bolera, son, guajiry, danzón, kongę, charangę, pachangę, nueva trova, filin (odpowiednik niezobowiązującej muzyki tła), jazz, afro jazz, afro-latin jazz, rock, hip-hop. W większości barów i restauracji muzyka jest grana na żywo, a występujące tam zespoły są zazwyczaj na tyle dobre, że warto na chwilę przystanąć i ich posłuchać. Bębny, marakasy i gitary, a zwłaszcza tres, to tradycyjny zestaw instrumentów. Trąbki także były zawsze popularne, tak samo jak drewniane instrumenty dęte. W całym mieście są niedrogie kluby, często mieszczące się – jak to w Hawanie – w miejscach, które kiedyś pełniły całkiem inne funkcje; jeden z takich klubów, Fábrica de Arte Cubano, popularnie zwany po prostu „*la fábrica*”, mieści się w dawnej

cegielni w Vedado. Te kluby muszą być niedrogie, bo inaczej nikogo z miejscowych nie byłoby stać na to, żeby do nich chodzić. Niektóre miejsca, gdzie odbywają się koncerty, mają nawet jeszcze mniej formalny charakter, bo znajdują się na niezabudowanych parcelach lub po prostu na ulicy.

Taniec od zawsze zajmował ważne miejsce w życiu Hawany. Jak opowiadała mi urodzona w Hawanie antropolożka Lydia Cabrera, zgodnie z legendą santeríi Changó uwiódł Ochún swoim tańcem. On zaczął tańczyć, „ona natychmiast powiedziała »tak« i rozpoczęli wspólne życie". I tak to rzekomo działa w Hawanie.

Trollope pisał o hawańczykach: „Ogromnie uwielbiają tańczyć i mają swoje własne tańce oraz własną muzykę, która jest osobliwa i uciążliwa dla kogoś obcego. Ich melodie robią wrażenie i są bardzo ładne". W powieści *Cecylia Valdés* życie skupia się wokół tańców. Kiedy bogaty młodzieniec – jeden z bohaterów powieści – ocenia białą kobietę, której nie kocha, ale którą ma poślubić, wśród argumentów przemawiających na jej korzyść wymienia fakt, że przynajmniej jest dobrą tancerką.

Muzyka nigdy nie wychodzi tutaj z mody, chociaż style taneczne czasami się zmieniają. Muzyka rewolucji – nueva trova i pachanga – jest nadal popularna. Wyrastająca z amerykańskich protest songów nueva trova została spopularyzowana na Kubie przez Joan Baez. Silvio Rodríguez i Pablo Milanés pisali (i piszą nadal) pieśni rewolucyjne. Pachanga to wesoła mieszanka sonu i merengue, zazwyczaj opatrzona uwielbianym przez *habaneros* satyrycznym tekstem. To muzyka taneczna prowadzona przez perkusję, z akompaniamentem bongosów, kong, krowich dzwonków i trąbek. Jak stwierdził kiedyś Che Guevara, rewolucja kubańska to „*socialismo con pachanga*" – socjalizm z pachangą.

Podstawą całej muzyki hawańskiej – i większości muzyki kubańskiej – jest son. Wydaje się, że son pochodzi z połączenia afrykańskiej gry na bębnach i hiszpańskich pieśni. Chociaż te dwa elementy po raz pierwszy połączono ze sobą w prowincji Oriente, to około 1910 roku son był już uliczną muzyką czarnej Hawany, zaś bongosy i marakasy wyznaczały jej wyraźny i zaraźliwy rytm. Słowo „son” zadomowiło się w języku. Zdaje się, że po raz pierwszy użyto go w tytule pieśni *Son de la Má Teodora*, która powstała podobno w 1580 roku, a jej autorką była czarnoskóra Dominikanka Teodora Ginés.

Afrykańska muzyka, taniec, religia – wszelkie przejawy kultury afrykańskiej – budziły strach w białych, zarówno miejscowych, jak i przyjezdnych. Obawiali się oni czarnoskórych, którzy byli niesprawiedliwie traktowani – jak wykazał José Martí, był to strach zakorzeniony w rasizmie. W opublikowanym 29 stycznia 1879 roku w „Harper’s Weekly” artykule poświęconym obchodom murzyńskich świąt w Hawanie pisano, iż uliczne tańce „dają widzowi poczucie wykraczania poza wszelkie granice cywilizacji – do krainy goryli i małp wszelkiego pokroju”.

Taki rodzaj muzyki był tępiony przez władze. Kiedy na początku XX wieku son po raz pierwszy pojawił się na ulicach Hawany, był na celowniku policji, podobnie jak większość przejawów kultury afrykańskiej. *Conjuntos*, kapelom grającym son na ulicy – jak nakazywała tradycja – konfiskowano instrumenty. W 1919 roku w dzielnicy Guanabacoa we wschodniej Hawanie aresztowano żołnierzy za niemoralne zachowanie, ponieważ tańczyli przy dźwiękach sonu. Lecz rytmu nie można było zakazać. Urok sonu był nieodparty. Ta muzyka przejęła władzę nad Hawaną i tak jest do dziś. Do końca lat dwudziestych *conjuntos* zyskali już szerokie uznanie – największym cieszył się zespół Sexteto Habanero.

Kapela grająca son składa się z wokalisty oraz muzyków przygrywających na bongosach, marakasach i *botijo*. Ten

ostatni instrument to używany również na innych wyspach karaibskich ceramiczny dzban z jednym otworem u góry i drugim z boku, który pierwotnie wykorzystywany był do transportowania nafty z Hiszpanii. W XIX wieku ludzie zamienili go w instrument muzyczny, który napełnia się różną ilością wody, zależnie od tego, jak niski dźwięk chce się uzyskać. Na *botijo* gra się, dmuchając przez górny otwór, żeby wydobyć z niego głębokie, wibrujące nuty. W latach dwudziestych grupy grające son stopniowo zastępowały jednak *botijo* kontrabasem. Do składu zespołu dodawano też tres oraz gitarę. Zespół Sexteto Habanero powiększył jeszcze to instrumentarium o kornet i przekształcił się w Septeto Habanero. Choć skład zmieniał się wraz z upływem lat, to zespół istniał aż do 2010 roku, kiedy wydał album na dziewięćdziesiątą rocznicę swego istnienia.

Son rozprzestrzenił się wraz z rozwojem radia, które, podobnie jak kolej, telegraf, film i telewizja, pojawiło się na Kubie wcześniej niż w większości krajów świata. W 1933 roku Kuba miała sześćdziesiąt dwie rozgłośnie radiowe, czyli więcej niż jakikolwiek inny kraj latynoamerykański w tamtym czasie. Większość radiostacji znajdowała się w Hawanie i miała amerykańskie wsparcie. Amerykanie, którzy je zakładali, wyobrażali sobie, że będą emitować muzykę klasyczną, cieszącą się dużą popularnością na Kubie, skąd pochodziło wielu światowej klasy muzyków i kompozytorów. Wkrótce jednak panowanie w eterze przejęła muzyka popularna, a zwłaszcza son.

Rytm sonu zawładnął życiem codziennym Hawany. Uliczni handlarze, *pregoneros*, nawoływali klientów w rytm tej muzyki. Te nawoływania zmieniły się potem w podgatunek sonu znany jako *son pregón*. Moisés Simons, Kubańczyk pochodzenia baskijskiego, napisał nawet *El manisero* – son będący nawoływaniem sprzedawcy orzeszków ziemnych. Sprzedawcy ci byli jednymi z najczęściej spotykanych handlarzy ulicznych w Hawanie.

W 1928 roku Columbia Records jako pierwsza wytwórnia nagrała *El manisero* w interpretacji Rity Montaner – i chociaż od tamtej pory tę piosenkę nagrano jeszcze co najmniej sto sześćdziesiąt razy, nikt nigdy nie zaśpiewał tego utworu lepiej niż Rita. Jej występ został również uwieczniony na taśmie filmowej. „*Mani, mani, mani*” – śpiewała, wytrzymując nuty przez pełne cztery takty, podczas gdy jej zwrócona ku górze twarz wyrażała coś między błaganiem i ekstazą. Nawet jeśli nie zna się hiszpańskiego – a Montaner miała wielu fanów, którzy nie znali tego języka – na podstawie samego brzmienia głosu i wyrazu twarzy można sobie wyobrazić, że ta piosenka jest o czymś budzącym znacznie większe emocje niż tylko sprzedawanie orzeszków. Następnie szybkim *staccato*, przypominającym delikatne uderzenia o powierzchnię bongosów, śpiewała: „*Si te quieres por el pico divertir, cómprame un cucuruchito de maní*” – „Orzeszki, orzeszki, orzeszki… Bo jeśli dla swych ust rozrywki chcesz, kup ode mnie orzeszków małą paczuszkę”. I to było wszystko, chociaż Montaner, śpiewając tę piosenkę, wyglądała i brzmiała, jakby była zakochana, być może w Hawanie.

Większym szlagierem okazało się jednak nagranie *El manisero* z 1930 roku, dokonane dla wytwórni Victor Records przez Dona Azpiazú i jego Havana Casino Orchestra. W skład tej orkiestry wchodził między innymi Mario Bauzá, który grał na saksofonie. Bauzá był właśnie tym *habanero*, który stworzył później afro-cuban jazz, co zmieniło z kolei oblicze jazzu nowojorskiego.

Utwór w interpretacji Azpiazú był pierwszym w dziejach muzyki kubańskiej singlem nagranym z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, który sprzedał się w ponad milionie egzemplarzy. Amerykańskim producentom najwyraźniej jednak nie spodobała się ani nazwa *son pregón*, która widniała na hawańskich płytach, ani nawet sam termin „son”, ponieważ postanowili nadać tej muzyce angielską nazwę *rhumba*. To słowo nie istniało wcześniej w języku

angielskim, chyba że była to błędna pisownia hiszpańskiego słowa *rumba*, które oznacza zmysłowy taniec w parach, stworzony w latach sześćdziesiątych XIX wieku przez czarnych wyzwoleńców w Hawanie na podstawie ich wspomnień o tradycyjnym tańcu afrykańskim. Oczywiście *El manisero* to nie ten gatunek muzyczny, ale słowo się przyjęło i od tamtej pory ta typowo hawańska muzyka stała się znana na całym świecie jako rumba, zaś tylko nieliczni poza Kubą wiedzą, że jej prawdziwa nazwa to son.

Pewna kubańska antropolożka powiedziała mi kiedyś, że jeśli posłucham jakiegoś niecierpliwego *habanero*, który stuka palcami w stół albo blat kuchenny, to z pewnością będzie rytmicznie wystukiwał son. Nie byłem w stanie tego zweryfikować, ale zauważyłem, że ludzie w Hawanie chodzą do rytmu sonu.

Anaïs Nin, paryżanka mająca kubańskiego ojca, odnotowała w swoim dzienniku w 1922 roku, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat i kiedy son po raz pierwszy podbił Hawanę, że *habaneras* i *habaneros* mają swój specyficzny sposób chodzenia:

> W chodzie ludzi na ulicach odbija się osobliwa opieszałość. To powolny, wlokący się krok, celowo kołyszący się ruch, ślizgający się, jakby wężowy sposób poruszania się…

Jeśli zdarzy wam się usłyszeć son na hawańskiej ulicy, a jest to dość częste, spójrzcie na idących ludzi, a przekonacie się, jak doskonale trzymają się rytmu.

Mieszkańcy Hawany mówią inaczej niż pozostałe osoby hiszpańskojęzyczne. Powodem jest wpływ języków afrykańskich. Przez długi czas większość kubańskich autorytetów w tej dziedzinie zaprzeczała temu, że dialekt hawański ma afrykański charakter. Działo się tak dlatego, że klasa intelektualistów, która była w większości biała, miała skłonność do traktowania afrykańskich wpływów wyłącznie jako niefortunnych odchyleń w kulturze kubańskiej. Będąc

entuzjastami białej muzyki, takiej jak guajiry i criolle – wiejskie ballady w tempie sześć ósmych – z reguły postrzegali radosny son jako degenerację muzyki kubańskiej. Lecz takie myślenie szybko uległo zmianie, głównie za sprawą białego *habanero* Fernando Ortiza.

Ortiz, urodzony w 1881 roku w Hawanie, założył w 1926 roku Kubańską Akademię Języka, a jedenaście lat później Towarzystwo Studiów Afrokubańskich. Napisał ponad tuzin książek na najróżniejsze tematy, począwszy od języka, a na huraganach skończywszy. Ortiz upierał się, że Kuba nie była ani hiszpańska, ani afrykańska, ani tainowska, ale ukształtowały ją wszystkie te trzy grupy, walczące ze sobą nawzajem, by stworzyć nową kulturę. Nazwał ten proces transkulturacją. Jak pisał, transkulturacja była rezultatem zróżnicowania kultur „oderwanych od [swych] rodzimych korzeni, stojących wobec problemu rozstrojenia i dostrojenia się na nowo, dekulturacji i akulturacji". W tym kontekście spory o to, co było, a co nie było afrykańskie, stały się całkowicie pozbawione sensu. To było po prostu kubańskie, a to, co kubańskie, ma w sobie również trochę tego, co afrykańskie. Dzisiaj ta idea może się wydać niektórym niezbyt odkrywcza, ale dla Kubańczyków z tamtych czasów reprezentowała nowe spojrzenie na samych siebie.

Latynoamerykanie zasadniczo mówią inaczej niż Hiszpanie. Skracają wszystko. „Chodź tutaj", *venga acá*, zmienia się w *ven acá*, a „tam", *para allá*, staje się *p'alla*. Na Karaibach głoski „s" i „r" mają tendencję do znikania. *Como estás*, „Jak się masz", zmienia się w *Como'ta*. *Ustedes*, czyli „panowie", staje się *utedi*.

Wydaje się, że to zanikanie głosek jest właśnie wpływem języków afrykańskich. W haitańskim dialekcie kreolskim, który stanowi połączenie francuskiego oraz różnych języków afrykańskich, jest niewiele tych głosek. Tam, gdzie we

francuskim jest „r”, w kreolskim często wymawia się „ł”. *Gros*, czyli „duży”, to po kreolsku *gło*.

Chociaż pomijanie „r” i „s” zdarza się na całej Kubie, jak również w Portoryko i Republice Dominikany, szczególnie słychać to w Hawanie. Zawsze lubiłem sposób, w jaki *habaneros* mówią do mnie po nazwisku, wymawiając „Ku-*len*-kij”.

Cudzoziemcy, nawet z krajów hiszpańskojęzycznych, są często sfrustrowani tym, w jaki sposób mówi się po hiszpańsku w Hawanie. Zawsze byli. W 1859 roku Richard Henry Dana pisał:

> Nie ustępuję nikomu w mym podziwie dla hiszpańskiego jako języka mówionego, […] ale nie podoba mi się to, jak mówią nim na ulicach zwykli Kubańczycy. Ich głosy i intonacje są cienkie oraz pełne przejęcia, bardzo szybkie, za bardzo wargowe, ponadto sprawiają jednocześnie zapalczywe i dziecinne wrażenie; uderzyło mnie również, że panuje tutaj tendencja do osłabiania tego języka i zabierania z niego otwartości samogłosek oraz siły twardszych spółgłosek.

Wiele z tego, co powiedziano powyżej, pozostaje prawdziwe do dzisiaj, chociaż nie jest jasne, czy Dana miał na myśli mowę białych czy czarnych. W tamtym czasie proces transkulturacji nie był jeszcze ukończony, zaś biali i czarni mówili całkiem inaczej. To była epoka *Cecylii Valdés*, a w tej powieści mowa czarnych jest znacznie bardziej skrótowa niż mowa białych. Czarni zwracają się do białych kobiet *seña* zamiast *señora*, a do białych mężczyzn *seño* zamiast *señor*. Te konkretne skrócone formy akurat zaniknęły, być może dlatego, że były związane z niewolnictwem.

Dzisiaj *habaneros*, niezależnie od pochodzenia, nie mówią różnymi dialektami. Wszyscy posługują się językiem przesiąkniętym licznymi wpływami, z których część ma wyraźnie afrykański charakter. Ortiz zidentyfikował tysiąc dwieście afrykańskich określeń powszechnie używanych w kubańskiej odmianie hiszpańskiego. Mowa jest tak samo szybka jak wtedy, gdy narzekał na to Dana, z formowanymi z

tyłu gardła słowami, które wydają się staczać po języku z coraz większą prędkością i desperacją, aż w końcu wyślizgują się z ust, z wieloma głoskami połkniętymi po drodze. Nie wymawia się „s”, które znajduje się przed spółgłoską, zastępując je wymawianym z przydechem „h” – na przykład *más o menos*, czyli „mniej więcej”, wymawia się *máhomeno*. Niektóre dzielnice mają swój własny akcent, zwłaszcza te znane ze swej tradycyjnie czarnej kultury, jak Cayo Hueso w Centro Habana. Piosenkarka Celia Cruz miała akcent z Cayo Hueso – akcent, który odcisnął swoje piętno na kulturze hawańskiej w takim samym stopniu, w jakim akcent brooklyński stał się symboliczny dla Nowego Jorku.

Ilekroć przemawiał Fidel Castro, dla każdego w Hawanie było jasne, że on nie był *habanero*. Mówił powoli, z wielkimi przerwami między frazami, sylaby raczej toczyły się, niż podskakiwały. Być może brakowało w tym kulturowego uroku, ale było doceniane przez zagranicznych korespondentów (nawet hiszpańskich), ponieważ był to jedyny Kubańczyk w Hawanie, którego cudzoziemcy mogli zrozumieć.

Langston Hughes, poeta renesansu harlemskiego, nauczył się hiszpańskiego w czasie wizyt u mieszkającego w Meksyku ojca. W 1930 roku Hughes wybrał się na Kubę, skąd napisał list do innej ważnej postaci renesansu harlemskiego – jamajskiego pisarza Claude’a McKaya. W liście tym Hughes donosił z ekscytacją, że poznał w Hawanie młodego poetę Nicolása Guilléna, który „wywołał tam małą sensację wierszami pisanymi w kubańskim dialekcie murzyńskim w rytmie miejscowej muzyki”. Było to dla Hughesa interesujące, ponieważ on sam pisał czarną poezję w rytmie bluesa i jazzu. Guillén pisał w rytmie sonu. Hughes chciał przetłumaczyć niektóre z jego utworów, ale trudno mu było znaleźć angielski odpowiednik czarnego slangu i zachować przy tym rytm kubańskiego sonu. Bardzo zachęcał młodego Guilléna, aby podążał w obranym przez siebie kierunku. Wkrótce po

wyjeździe Hughesa Guillén zyskał – dzięki *Motivos de son* [Motywom sonu], ośmiu wierszom w języku czarnej Hawany i rytmie muzyki son – reputację jednego z najważniejszych poetów Kuby. García Lorca, który przybył na Kubę w 1930 roku, tym samym, w którym ukazały się *Motivos de son*, stwierdził, że udaje się do „kraju Nicolása Guilléna".

Guillén zaszokował i czarnych, i białych, opisując afrykańskie rysy czarnych mieszkańców wyspy – ich włosy, nosy i wargi. Był oddanym komunistą i jego poezja była muzyką protestu, lecz parafrazując słowa Che, był to protest w rytmie sonu:

Cuba, palmar vendido,

sueño descuartizado,

duro mapa de azúcar y de olvido…

Dwie długie nuty, po których następują szybkie wersy, niczym w sonie o sprzedawcy orzeszków:

Kuba: gaj palmowy sprzedany,

marzenie poćwiartowane,

surowa mapa cukru i zapomnienia…

Hughes miał rację: wiersze Guilléna ciężko przetłumaczyć, przełożyć na inny język tak, by nadal były czarne, *habanero* i w rytmie sonu. To dlatego Guillén nigdy nie stał się popularny poza światem hiszpańskojęzycznym. W 1948 roku Hughes podjął się w końcu zadania publikacji niewielkiego tomiku wierszy Guilléna w swoim przekładzie, unikając jednak tych tekstów, w których dialekt był najtrudniejszy do przełożenia. Slang czarnej Hawany Hughes zastąpił co prawda slangiem Harlemu, ale to prawdopodobnie najlepszy angielski przekład Guilléna, jaki kiedykolwiek powstał. Oto jak w tłumaczeniu Hughesa brzmi wiersz *Praczka*, eksplorujący jeden z podstawowych hawańskich motywów – wszechobecny pot:

Pod eksplodującym słońcem

rozpromienionego południa

czarna kobieta

pierze,

nucąc piosenkę o mameyu.

Odór i pot spod pach:

a na sznurze jej śpiewu

białe ubrania

wiszą rozpięte

wraz z jej pieśnią.

Jeśli przejdziecie się po Hawanie, zaglądając do domów (któż by się temu oparł w mieście otwartych okien?), zwłaszcza w dzielnicach znanych ze swej czarnej kultury, takich jak Cayo Hueso, Regla i Guanabacoa, ujrzycie zapewne umieszczoną na honorowym miejscu laleczkę z dużym cygarem dobrej jakości i szklaneczką rumu. Czasami zobaczycie, że ktoś spośród domowników popija drinka razem ze swoją lalką albo pali z nią cygaro. Często najlepsze miejsce w salonie będzie zajmowała przynajmniej jedna taka lalka. Są najróżniejsze – duże, małe, czarne, białe lub azjatyckie. Pewnego popołudnia w Guanabacoa zamiast lalki zobaczyłem w salonie jednego z domów siedzącego na kanapie dużego, żółtego, nadmuchiwanego misia, który uśmiechał się absurdalnie do swojego cygara marki Cohiba.

W mieście można zaobserwować również inne intrygujące rzeczy: jaskrawokolorowe flagi wiszące nad oknami i drzwiami; mężczyzn noszących koraliki w kolorach tych flag; wymalowane na murze koło ze skrzyżowanymi strzałami; pełne papierowe torebki pozostawione w głębokich szczelinach między korzeniami drzew puchowca lub pod palmami królewskimi, gdzie kładzie się również banany. Często zdarza się także, że jakiś *habanero*, nalewając rum z butelki, specjalnie upuszcza parę kropel na ziemię.

W tych doskonałych przykładach transkulturacji praktyki zaczerpnięte z różnych religii afrykańskich połączyły się z rytuałami hiszpańskiego katolicyzmu, tworząc coś, co można

by uznać za najszerzej praktykowaną religię w zsekularyzowanej Hawanie. Lalki reprezentują duchy przodków, z kolei flagi i koraliki odnoszą się do rozmaitych duchów afrykańskich, z których każdy ma swój ulubiony kolor. Wyznawca Changó nosi koraliki czerwone i białe, zaś wyznawca mądrego Oruli – zielone i żółte. Różnobarwne koraliki są w Hawanie bardzo rozpowszechnione. Papierowe torebki pod drzewami puchowca zawierają dary dla afrykańskich duchów – oriszów. Wylanie kropel rumu na ziemię to także dar dla oriszy.

Będące symbolem Hawany drzewo puchowca, *la ceiba*, jest święte zarówno dla wyznawców religii afrykańskich, jak i europejskich. Hiszpanie wierzyli, że to drzewo zostało pobłogosławione przez Najświętszą Marię Pannę, ponieważ użyczyło jej swego cienia. Afrykanie uznali je za substytut baobabu, który również ma wielkie korzenie z głębokimi szczelinami pomiędzy nimi. Kora tego drzewa jest przez wyznawców afrykańskich religii używana do przyrządzania leczniczych herbatek, zaś liście służą do warzenia magicznych mikstur w rodzaju eliksiru miłości.

Dary pod palmą królewską, prostym i wysokim symbolem Kuby, są składane dla zachodnioafrykańskiego oriszy Changó, który mieszka w tych drzewach i najczęściej żywi się bananami. Changó, którego ulubionym kolorem jest czerwień, kojarzony jest z błyskawicami – zapewne dlatego, że wysokie palmy przyciągają pioruny. Kiedy szczyt palmy zostanie zerwany przez uderzenie pioruna, zawsze ktoś wykrzyknie: „Changó!”.

W Hawanie są trzy popularne religie, które mają swoje korzenie w Afryce. Koło z dwoma skrzyżowanymi strzałami, które najczęściej można zobaczyć na murach w Cayo Hueso, symbolizuje – zgodnie z wywodzącą się z Afryki Środkowej religią palo monte – „cztery podstawowe punkty wszechświata”. Najpopularniejszą religią afrykańską w

Hawanie jest santería, kubańska wersja lucumí, której wyznawcy z ludu Joruba żyją w dzisiejszej Nigerii. W Afryce uważa się, że Jorubowie mają jedną z najbogatszych kultur na kontynencie. Obrzędy palo monte odbywają się w nocy i obejmują spożywanie dużych ilości rumu oraz uderzanie w duże bębny o niskim tonie. Tymczasem obrzędy santerii odbywają się za dnia i nie zaleca się przy nich picia dużych ilości alkoholu, zaś na małych i dwustronnych bębenkach wystukuje się skomplikowane rytmy.

Jest jeszcze trzecia religia afrykańska ciesząca się popularnością w Hawanie, a mianowicie arará, która ma jednak większe wpływy na Haiti. Arará była religią założonego w 1600 roku królestwa Dahomeju (obecnie ten zamieszkiwany przez lud Fon kraj nosi nazwę Benin), jednego z kilku silnych i niezależnych państw w Afryce Zachodniej. Dahomej został podbity przez Europejczyków pod koniec XIX wieku.

We wszystkich tych trzech religiach główną postacią jest Bóg, ale występuje w nich również wiele oriszów – duchów dysponujących potężną mocą. Bóg, znany u Jorubów jako Olodumare, jest wszechpotężny, istniał od zawsze i w dużej mierze jest niepojęty. Orisza zostali stworzeni przez Boga i wyposażeni w ludzkie uczucia, takie jak gniew, zazdrość i chciwość. Każdy orisza ma swoją własną osobowość. W odróżnieniu od Boga, są przystępni i można ich ubłagać, a nawet pozyskać ich przychylność za pomocą darów.

W każdej z tych religii jej wyznawca, chcąc połączyć się z duchem, musi go zaprosić, aby posiadł jego ciało poprzez rytualny taniec. Taki obrzęd jest niezwykle widowiskowy. Kiedy duch przejmuje kontrolę nad tańczącym, zmienia się nie tylko sposób tańczenia, również wyraz twarzy, gesty, głos i cała osobowość danego człowieka. W wielu przypadkach ta przemiana wygląda na udawaną, ale czasami sprawia to wrażenie, jakby jakaś obca siła w niepokojąco intensywny

sposób zawładnęła uczestnikiem rytuału, którego bardzo trudno sprowadzić z powrotem do rzeczywistości.

W Hawanie wielu ludzi – białych, mieszanych rasowo i czarnych – praktykuje wszystkie te trzy religie naraz, dodając do nich elementy katolickie, co jest zgodne z typowo afrykańskim podejściem, w myśl którego wszystkie religie są użyteczne i każdy sposób jest dobry, by osiągnąć zamierzony cel. Społeczeństwo kubańskie uznaje się za zsekularyzowane, co szczególnie dobrze widać w Hawanie. O ile jednak *habaneros* nie czują pociągu do zinstytucjonalizowanej religii, wydają się mieć jednak ogromną słabość do wierzeń i przesądów. W noweli *El juego de la viola* [Skok żaby] współczesny pisarz hawański Guillermo Rosales pisze o pewnym chłopcu, który zaczyna mawiać „Przysięgam na Boga", a następnie zdaje sobie sprawę, że to nie ma żadnego sensu, ponieważ on wcale nie wierzy w Boga. Ojciec sugeruje mu więc, żeby przysięgał na „ojczulka Stalina". Trzeba przecież na coś przysięgać.

Kiedy Desi Arnaz, znany również jako Ricky Ricardo, śpiewał *Babalú*, uderzając przy tym w wielki bęben, niewielu Amerykanów rozumiało (wszyscy Kubańczycy zorientowali się od razu), że śpiewa on pieśń do oriszy Babalú Ayé, który uzdrawia chorych. Fakt, że Ricky wybrał akurat bęben używany przy obrzędach palo monte, wynikał zapewne raczej z chęci osiągnięcia odpowiedniego efektu dramatycznego, niż był przejawem jego faktycznych preferencji religijnych.

W Hawanie niemal we wszystkich aspektach życia upatruje się ukrytych znaczeń związanych z afrykańskimi wierzeniami. W 1926 roku w centralnym parku Hawany rozkopano ziemię, żeby posadzić tam drzewo puchowca, co miało upamiętnić konferencję panamerykańską, która odbyła się w kubańskiej stolicy. Znaczenie tego gestu stało się jednak tematem gorących sporów. Niektórzy sugerowali bowiem, że ziemia została rozkopana specjalnie na potrzeby znanego z wierzeń

palo monte ducha Sarabandy, któremu w ten sposób oddaje się cześć. A dlaczego pomnik José Martíego otacza dwadzieścia osiem palm królewskich? Czyżby to Changó miał strzec „apostoła niepodległości”? I skąd akurat taka liczba drzew? Numerologia nie pozostaje tu bez znaczenia, ponieważ każdy orisza ma przypisany numer.

Na Kubie kultura afrykańska zachowała się lepiej niż w innych krajach, gdzie istniało kiedyś niewolnictwo. W XVII wieku europejscy handlarze niewolników podsycali animozje między różnymi plemionami i narodami w Afryce, wywołując w ten sposób wojny, by przy okazji brać jeńców i sprzedawać ich jako niewolników. W Afryce Zachodniej lud Fon z Dahomeju rozpętał wojnę z Jorubami i pokonał ich, na skutek czego ogromna liczba Jorubów została wysłana na Kubę oraz do innych kolonii niewolniczych.

Na Kubie handlarzom niewolników przyświecała ta sama idea: gdyby wśród niewolników udało się utrzymać silną tożsamość plemienną, atakowaliby się nawzajem i nie mogliby się zjednoczyć. Handlarze ustanowili więc organizacje plemienne zwane *cabildos*. Plemienne tradycje i kultura były wszędzie tępione, z wyjątkiem *cabildos*, gdzie pozwalano im się rozwijać. Biali uważali, że z pomocą tych organizacji podzielą i ujarzmią czarną ludność wyspy. Ale dla czarnych *cabildos* stanowiły instytucje, które służyły zachowaniu ich kultury – języka, muzyki i religii. Te organizacje szczególnie rozkwitły w Hawanie, czyniąc z tego miasta ośrodek kultury afrykańskiej. Szczególną moc oddziaływania miało *cabildo* Jorubów, które zamiast próbować zdusić inne grupy etniczne, pobudzało je do buntu przeciwko białemu establishmentowi, czego najsłynniejszym przykładem było powstanie Apontego w 1812 roku.

Oprócz *cabildos* istniały również Abakuá, czyli tajne stowarzyszenia tworzone w celu utrwalania kultury afrykańskiej. W miarę jak rosła społeczność czarnych

wyzwoleńców, organizacje te próbowały zatroszczyć się o ekonomiczne interesy swoich członków. Abakuá były szczególnie potężne wśród dużej hawańskiej społeczności wyzwolonych Murzynów i kontrolowały pewne sektory rynku pracy i związane z nimi dzielnice, takie jak Regla, gdzie znajdowały się doki i gdzie mieszkała większość dokerów.

Do czasu zwycięstwa rewolucji, mającej negatywne podejście do wszelkich religii, na wyspie panował katolicyzm, zaś religie afrykańskie, podobnie jak większość elementów kultury afrykańskiej, były tępione wszędzie poza *cabildos*. Transkulturacja, która sprawiła, że afrykańskie zwyczaje zostały ujęte w ramy katolicyzmu, dokonała się jednak dość łatwo, ponieważ kubański katolicyzm miał wiele wspólnego z afrykańskimi wierzeniami. Występuje w nim Bóg w trzech osobach – Ojca, Syna i Ducha Świętego – a niżej w hierarchii znajdują się ogromny panteon duchów, występujących pod postaciami świętych, oraz Najświętsza Maria Panna w najróżniejszych wcieleniach. Podobnie jak to jest z duchami w religiach afrykańskich, każdy święty katolicki ma swoją odrębną osobowość i zainteresowania. Na przykład Święty Franciszek kocha zwierzęta, a Święty Łazarz uzdrawia chorych.

Na obrzeżach Hawany leży piękna, mała kapliczka z XVIII wieku, poświęcona Świętemu Łazarzowi. Codziennie przychodzą tam ludzie skarżący się na bóle nóg, chorzy na serce, cierpiący z powodu AIDS lub dotknięci jakąś inną dolegliwością, żeby prosić świętego o uzdrowienie. Ponieważ jednak Babalú Ayé także uzdrawia chorych, pewna liczba osób pielgrzymujących do tej kapliczki zanosi swoje modły do Babalú, a nie do Łazarza.

W 1989 roku odwiedziłem to sanktuarium i rozmawiałem z matką przełożoną, starszą kobietą Isabel Valdéz Perez, która przeżyła tam większość swojego życia. Spytałem ją, co sądzi o tym, iż jest ono wykorzystywane do praktykowania

afrykańskiego kultu. Odparła: „Zmieniają imiona świętym – nazywają Świętego Łazarza Babalú Ayé, a Świętą Barbarę jeszcze jakoś inaczej. I to nie jest chrześcijańskie. Bo chrześcijaństwo to Chrystus i sakramenty. Ale to dobrzy, pobożni ludzie, którzy bardzo wierzą w Boga. Składają w ofierze zwierzęta". W tym momencie skrzywiła się, jakby ugryzła limonkę. „Ale nie potrafię im powiedzieć: »Nie, nie możecie tego robić«. Te naszyjniki nie są od Boga, ale jeśli oni chcą wierzyć, że przez naszyjnik mogą się komunikować z Bogiem, to nie ma w tym nic złego. Gdyby odrzucać człowieka bożego z powodu różnych zwyczajów, to co by to było za chrześcijaństwo?".

Byłby to w istocie taki rodzaj chrześcijaństwa, jaki Kościół katolicki wcielał w życie na wyspie przed rewolucją, kiedy miał tutaj władzę. Nigdy jednak nie udało mu się powstrzymać wiernych przed potajemnym przenoszeniem wierzeń afrykańskich do Kościoła.

Nawet w obrzędach santerí, które nie obejmują praktyk katolickich, różni orisza są reprezentowani przez obrazki odpowiadające katolickim świętym. Na Kubie Babalú Ayé wygląda jak Łazarz, a Changó przypomina Świętą Barbarę. Oggún, który lubi kolory zielony i czarny, zajmuje się wojnami, ich ofiarami oraz szpitalami, a wygląda jak Święty Piotr. Należąca do najważniejszych oriszów Yemayá, której kolorami są niebieski i biały, stanowi symbol kobiecości i macierzyństwa, ale również morza – jej odpowiednikiem jest Dziewica Maryja z Regli. To wcielenie Najświętszej Marii Panny o czarnym kolorze skóry (podobnie jak, rzecz jasna, Yemayá) pochodzi z Hiszpanii z IV wieku. Jest ona patronką Regli, czyli leżącej po wschodniej stronie Zatoki Hawańskiej stołecznej dzielnicy, której mieszkańcy dzielnie stawiają czoła morzu.

Katolicy cieszą się, że nawet pod rządami komunistów ich religia jest wciąż żywa w Hawanie, dlatego co roku 7 września

wielkie pielgrzymki ciągną do Najświętszej Panienki z Regli. Ignorują jednak fakt – który nie jest żadną tajemnicą – że wielu spośród tych pielgrzymów w rzeczywistości czci Yemayę.

Kobiety w Regli często noszą niebiesko-białe szaty w hołdzie dla Yemayi, a mężczyźni ubierają się na biało dla Obatali, która jest patronką ojcostwa, a jednocześnie jest Matką Bożą Miłosierdzia, czczoną w kościele stojącym po drugiej stronie portu w La Habana Vieja.

Biali na Kubie równie często uczestniczą w obrzędach religii afrykańskich, co w obrzędach europejskich. Ta transkulturacja działa sprawnie w społeczeństwie, w którym tylko nieliczni są w stu procentach biali lub europejscy i gdzie coraz trudniej jest stwierdzić, jaką ktoś ma tożsamość etniczną. Jak pisał w 1931 roku Guillén:

Vale más callarse, amigos,
y no menear la cuestión;
porque venimos de lejos,
y andamos de dos en dos.
Lepiej być cicho, przyjaciele,
i kwestii tej nie podnosić;
bo przybyliśmy z daleka,
i chodzimy dwójkami.

Kapłani santeríi, zwani *babalawos*, są wielce szanowanymi członkami swoich społeczności. Nawet po tym, jak rewolucja wyeliminowała całą prywatną inicjatywę, rząd przymykał oko na zbiórki pieniędzy – które w przypadku składania ofiar ze zwierząt były znaczne – na cele obrzędowe. *Habanero* był w stanie odkładać pieniądze przez rok lub dwa, żeby zapłacić za ceremonię religijną.

Babalawos kształcili się latami i oprócz swej starożytnej religii musieli również znać używany przez oriszów język joruba. W latach osiemdziesiątych odwiedzałem pewnego

babalawo w dzielnicy Guanabacoa. Chociaż był dopiero po siedemdziesiątce, uczył się zasad religii i języka od swojego dziadka Joruby, który urodził się w Afryce, a później został sprzedany w niewolę.

Odwiedzałem również pewnego *babalawo* w Cayo Hueso. Nazwa ta oznacza „wyspę kości” i wydaje się odnosić do jej mieszkańców praktykujących palo monte i santeríę. W rzeczywistości jednak nazwa pochodzi od Kubańczyków, którzy w XIX wieku przeprowadzili się do tej hawańskiej dzielnicy z Key West na Florydzie („Cayo Hueso” brzmi dla Kubańczyka podobnie do angielskiej nazwy Key West).

Babalawo mieszkał ze swoją żoną w jednym z kilku trzy- lub czteropiętrowych budynków, które wyglądały jak po przejściu huraganu. W 1970 roku rządowy inspektor, który odwiedził to miejsce, oświadczył mieszkańcom, że ich dom grozi zawaleniem i jest przeznaczony do rozbiórki, zaś oni zostaną przeniesieni do nowszych budynków. Nigdy jednak się nie przenieśli – nadal mieszkali w walącym się budynku. Kiedy wspinałem się po stromych, wąskich, przekrzywionych schodach, trudno mi było nie pomyśleć o tych dwudziestu latach, jakie miejscowi czekali na przeprowadzkę do nowszego budynku. Zauważyłem również, że sufit w tych mieszkaniach (co jest zresztą typowe dla hawańskiej architektury) znajduje się na wysokości sześciu metrów – sprzyja to co prawda utrzymaniu chłodnego powietrza w mieszkaniach, ale jest niebezpieczne dla sąsiadów z dołu, ponieważ kawałki odpadającego tynku mają długą drogę do przebycia, zanim uderzą o ziemię.

Ten *babalawo* cieszył się pewnymi przywilejami przyznanymi mu przez rząd. Tak jak w przypadku innych kapłanów kultów afrykańskich pozwolono mu prowadzić praktykę polegającą na urządzaniu obrzędów i udzielaniu porad za opłatą.

Pewnego upalnego dnia latem 1989 roku wsiedliśmy do chevroleta, rocznik czterdziesty pierwszy, który należał do jego bezzębnego przyjaciela. Posiadanie jednego z tych skonfiskowanych amerykańskich aut oznaczało zazwyczaj, że ich właściciel cieszył się łaską rządu, ale chevy, rocznik czterdziesty pierwszy, to nie buick, rocznik pięćdziesiąty ósmy. Ta maszyna to był prawdziwy *cafetero*, prychający i rzężący, z ręczną skrzynią biegów, na której wskakiwały tylko dwa pierwsze biegi.

Pojechaliśmy na pewną farmę, która znajdowała się w granicach Hawany – i całe szczęście, ponieważ byłem pewien, iż ten samochód nie poradziłby sobie na wiejskich drogach. Była to farma, która specjalizowała się w hodowli zwierząt na cele ofiarnicze dla *babalawos*. „Bez ofiary nie ma niczego”, mówił mi *babalawo*, a ja wiedziałem, że miał na myśli inne ofiary niż te, których domagała się rewolucja.

Rytualne zabijanie nie jest takie proste. Gołębiowi łatwo ukręcić małą brązową główkę, ale zabicie kurczaka jest bardziej skomplikowane, a uśmiercenie kozy wymaga już pewnej wyćwiczonej techniki. Właściciel miejskiej farmy, do której przyjechaliśmy, na małym podwórku za domem prowadził hodowlę kurczaków, gołębi, kóz, a nawet żółwi, które stanowią ofiarę dla Changó. Na szczęście nie było tam żadnych psów, które w Nigerii składa się w ofierze dla Oggún. Ale Oggún musi zrozumieć, że niezależnie od tego, jak bardzo afrykańscy mogą być *habaneros*, psy kochają ponad wszystko. *Babalawo* powiedział mi jednak, że miał na Kubie do czynienia z kilkoma „skrajnymi przypadkami”.

Właściciel farmy, wysoki mężczyzna o długich, białych, jedwabistych włosach i sympatycznej twarzy, powiedział mi, że jego rodzina prowadzi ten interes od siedemdziesięciu lat. Kiedy spytałem go, czy to legalny biznes, niejednoznacznie wzruszył ramionami.

Nigdy nie wiesz, na co możesz trafić w Hawanie.

11

Zamrożone w tropikach

Es ciudad en sombras, hecha para la explotación de las sombras…

To miasto pogrążone w cieniach, stworzone do korzystania z cieni…

Alejo Carpentier, *La ciudad de las columnas* (1970)

Prawdę mówiąc, Hawana to jeden wielki bałagan. Chodniki są popękane, ulice nie wyglądają lepiej. Mury są poczerniałe od zbyt dużej ilości słońca, zbielałe od zbyt dużej ilości soli w powietrzu i poczerwieniałe jakby od rdzy w miejscach, gdzie nie ma żadnego metalu. Gdzieniegdzie widać również pleśń, próchno, grzyby i rozmaite narośle, które rozkwitają w upalnej, tropikalnej wilgoci, przybierając całą gamę kolorów. Drewniane budowle są zżerane przez termity, które ryją korytarze z pozorną przypadkowością, pozostawiając po sobie niewielkie kupki trocin. Ze swoimi uginającymi się konstrukcjami podpieranymi przez krzepkie kolumny, zapadniętymi dachami, poplamionymi gargulcami oraz popękanymi i poczerniałymi kamiennymi ornamentami – Hawana wygląda jak pozostałość po jakiejś starożytnej cywilizacji, potrzebująca zespołu archeologów, którzy mogliby przesiać gruzy, by dowiedzieć się, co można w nich jeszcze znaleźć.

Eleganckie, szerokie klatki schodowe straciły swoje balustrady. Niektóre z nich zwisają pod dziwnymi kątami i wydaje się, że w każdej chwili mogą się urwać. Budynki regularnie uznaje się tu za niebezpieczne do zamieszkiwania – według danych rządowych co roku taką opinię otrzymuje czternaście tysięcy budynków. Czasami i tak mieszkają w nich dzicy lokatorzy. Są tu budynki bez schodów, bez dachów, bez ścian. Rząd szacuje, że dwadzieścia procent mieszkańców żyje w budynkach uznanych za „niebezpieczne”. Ta rzeczywistość

znajduje swoje odzwierciedlenie w literaturze – współczesne hawańskie powieści opowiadają o ludziach żyjących w opuszczonych budynkach lub wykorzystujących je w jakiś inny sposób.

Każdego dnia miasto traci kolejne budynki. *Habaneros* szukają sposobów na wykorzystanie wszystkiego, co jeszcze przetrwało. Niektóre domy zawaliły się i pozostały po nich tylko fasady. Zamiast je wyburzyć, *habaneros* starają się jednak zrobić z nich jakiś użytek – jak w przypadku wspomnianej restauracji La Imprenta, która została urządzona w ruinach. Niewiele jest tutaj ekip rozbiórkowych lub projektów wyburzeniowych. W centrum Regli stoi wymyślna fasada dziewiętnastowiecznego teatru. Choć teatru od dawna już nie ma, fasada czeka na kogoś, kto coś do niej dobuduje.

Jedną z godnych odnotowania cech architektury hawańskiej są balkony zbudowane „*de fragantes barandas de hierro, como flores extrañas, secas entre páginas*" („z wonnych żelaznych balustrad przypominających dziwne kwiaty ususzone między stronami"), jak to ujął dwudziestowieczny poeta hawański Eliseo Diego.

Hawańskie balkony były pomyślane jako piękne miejsca, na których można skraść odrobinę wieczornej bryzy i zwisając z nich, patrzeć w dół na ulice. Dzisiaj jednak te arcydzieła dekoracyjnego kamieniarstwa poczerniały, mury zaczęły się łuszczyć, a barwione witraże, które kiedyś otaczały drzwi i okna, w większości wypadły, pozostawiając po sobie drewniane, geometryczne szkielety – tylko czasami pozostanie gdzieniegdzie jaskrawoniebieski lub czerwony trójkąt stanowiący pamiątkę po ich dawnej świetności.

Na balkonach prawie zawsze są rośliny, zazwyczaj w donicach, ale czasami wyrastają one prosto z kamiennej podłogi, wzbijając się na wysokość ponad jednego piętra, jak gdyby próchniejący budynek stawał się na tyle organiczny, żeby dać życie czemuś więcej niż tylko pleśni i porostom.

Na hawańskich balkonach nigdy nie było zbyt wiele miejsca dla ludzi, ale teraz jest go jeszcze mniej. Prawie zawsze jest tam rozwieszone pranie, ponieważ w tym pozbawionym prądu mieście suszarki do ubrań stanowią rzadkość. Poza tym na balkonach można zobaczyć plastikowe zabawki w jaskrawych kolorach, jakiś rower albo dwa, jakąś zepsutą maszynę, która jest w trakcie naprawy. Czasami stoją tam ze dwie małe klatki, w których trzyma się kurczaki. W dawniejszych czasach na balkonach często trzymano również hodowane do walk koguty. W myśl kolejowego regulaminu z XIX wieku: „Bagaż ręczny dżentelmena powinien składać się z jednego pudła na kapelusze, jednej torby i jednego koguta bojowego”. Dzisiaj w klatkach dużo częściej trzyma się jednak przeznaczone do zjedzenia kurczaki.

Budynki są pokryte siecią kabli elektrycznych, które przeciąga się od jednego domu do drugiego, spuszcza z okna na balkon i chowa w następnym oknie, co upodabnia to miasto do marionetki z opuszczonymi luźno sznurkami.

Od czasu rewolucji rząd przedsięwziął jedynie garść projektów mających przyczynić się do powstania większej liczby mieszkań. Zbudowano kilka pozbawionych wdzięku bloków stanowiących uosobienie socjalistycznego ideału „mieszkań robotniczych”.

Regla to rozsypująca się dzielnica, która zabudowana jest jedno- i dwupiętrowymi domami. Te starsze są wiekowe, drewniane i popadają w ruinę. Jest tam też kilka nowszych domów robotniczych, czyli zbudowanych według wzorca radzieckiego betonowych, dwupiętrowych bloków mieszkalnych dla zaufanych członków partii. Poza tym znajduje się tam rafineria naftowa, której jasne płomienie strzelają w tropikalne niebo i są widoczne nawet z Vedado. Regla ma reputację dobrej dzielnicy komunistycznej. Jedno z nielicznych hawańskich powstań przeciwko Batiście miało miejsce właśnie w Regli.

Castro nie chciał, żeby rząd rewolucyjny faworyzował w swoich wydatkach budżetowych stolicę Kuby, co widać na każdym kroku. Rząd otwarcie przyjmuje na siebie winę za stan Hawany. Stolica nie była nigdy jego priorytetem, a poza tym, jak to jest ze wszystkimi trudnościami i niedoborami na Kubie, zawsze można jeszcze zrzucić winę na amerykańskie embargo. „Na Kubie nie ma farby" – skarżyła mi się w 1990 roku Raida Mara Suárez Portal, miejska konserwatorka zabytków w Hawanie. Farba jest jednym z tych zagranicznych produktów, które trudno tutaj dostać.

Kiedy jednak przyjrzymy się starym fotografiom, choćby tym zrobionym na początku lat trzydziestych przez Walkera Evansa w Centro Habana, staje się jasne, że to miasto już wcześniej było w kiepskim stanie. W 1939 roku Alejo Carpentier pisał, że „Hawana to miasto niedokończonych dzieł, słabych, asymetrycznych i porzuconych". Podobne obserwacje zostały poczynione na długo przed latami trzydziestymi XX wieku. W 1859 roku Trollope pisał o Hawanie:

> Ulice są wąskie, brudne i ohydne. Pod tym względem z pewnością jest duża różnica między tymi, które znajdują się w obrębie murów, i tymi poza nimi. Te drugie są szersze, bardziej przewiewne i mniej wstrętne. Lecz nawet na nich nie ma niczego, co usprawiedliwiałoby te pochwały, jakie w Indiach Zachodnich powszechnie wygłasza się pod adresem Hawany.

Alexandrowi von Humboldtowi, pruskiemu podróżnikowi z początków XIX wieku, Hawana również nie przypadła do gustu. Opisywał ją jako zabłoconą, brudną i cuchnącą. Jeden z problemów w tamtym czasie stanowił fakt, że w mieście żyły wtedy dwa tysiące koni i mułów. Prawdę mówiąc, cudzoziemiec, który uwielbia Hawanę, musi być zatwardziałym wielbicielem slumsów, jak na przykład Graham Greene.

Dzisiejsza Hawana jest miastem rozpadających się budynków, które kiedyś były dziełami sztuki i zostały w dużej mierze wzniesione dla kaprysu bogaczy – począwszy od

bogato zdobionych posiadłości, jakie zbudowali oni sobie w obrębie murów miejskich, aby potem je porzucić na rzecz nowszych domów postawionych przy Prado lub w Centro Habana. Te z kolei zostały porzucone na rzecz jeszcze nowszych domów w Vedado i Miramar, które bogaci właściciele opuścili po zwycięstwie rewolucji i wyjechali z kraju. Dzisiaj w Hawanie nie ma już bogaczy, którzy mogliby zamieszkać w tych domach. Ta sytuacja nie różni się jednak od tej z przeszłości – od zawsze, kiedy bogacze skądś się wyprowadzali, nie było potem rynku zbytu na ich stare domy, jak gdyby po opuszczeniu przez nich danej dzielnicy nikt bogaty nie chciał tam już dłużej mieszkać.

Kiedy bogacze wyjechali, państwo dokonało redystrybucji ich samochodów, domów i wartościowych przedmiotów między „zasłużonych rewolucjonistów”. Chociaż nigdy nie zostało to udokumentowane, musiała to być idealna okazja do korupcji. W książce *Paisaje de otoño* [Pejzaż jesienny] Leonardo Padura opisuje pewnego skorumpowanego urzędnika zajmującego się wywłaszczeniami:

> Można było sobie wyobrazić, że część z tych recyklingowanych bogactw, być może minimalna, ale aż nazbyt cenna (powiedzmy jakiś Degas, który nigdy więcej się nie pojawił, jakaś grecka amfora połknięta przez nieuwagę przez Morze Śródziemne, jakieś rzymskie popiersie zagubione w pamięci czy jakaś kolekcja bizantyjskich monet, których nigdy już żadni przekupnie nie będą wymieniać między sobą w żadnej świątyni), przechodziła przez jego ręce z obietnicą rewolucyjnej redystrybucji, która nigdy nie nastąpiła.

Pisarz Reinaldo Arenas, znany przede wszystkim jako autor *Zanim zapadnie noc. Autobiografia*, opowiadał historię swojej ciotki, która była uważana za dobrą rewolucjonistkę i została nagrodzona domem w Miramar. W tej dzielnicy było wiele porzuconych luksusowych domów, które zgodnie z oświadczeniem władz zostały „zamrożone”, co oznaczało, iż niczego nie można w nich było dotknąć, dopóki nie znajdzie się dla nich odpowiednich właścicieli. Trudno było jednak znaleźć się wśród szczęśliwców nagrodzonych tymi domami, dlatego dzielnica w przeważającym stopniu pozostała pusta i

każdej nocy ciotka pisarza zapuszczała się do pustych domów, aby kraść z nich wszystko, co tylko wpadło jej w oko.

Rewolucja miała rozwiązać problem mieszkaniowy w Hawanie, ale dla większości mieszkańców oznaczało to po prostu tyle, że miejsce, w którym mieszkali, 1 stycznia 1959 roku stawało się za przystępną cenę ich własnością. Państwo przejęło budynki i czynsz został znacznie obniżony. Jeśli wynajmowałeś mały pokoik w czyimś domu, miałeś teraz bardzo niedrogi pokój, a jeśli mieszkałeś w domu lub dużym mieszkaniu, miałeś teraz niedrogi dom lub mieszkanie. Ludzie się nie przeprowadzali. Po pierwsze – nie mieli dokąd, bo nie budowano nowych domów, po drugie – te, w których mieszkali, kosztowały ich prawie tyle co nic. Dorosłe dzieci nie miały i nadal nie mają dokąd się wyprowadzić, więc obecnie nawet małżeństwa mieszkają ze swoimi rodzicami.

W 2012 roku towarzyszyłem Mariano Guasowi, synowi wiceprezydenta z czasów Batisty, który wrócił do Hawany po raz pierwszy od czasu, gdy jako dziecko opuścił Kubę w 1960 roku. Wszyscy ludzie, z którymi się spotykał, mieszkali dokładnie w tych samych miejscach, co przed ponad półwieczem. Odwiedziliśmy jego były dom – mieszkanie na parterze w dzielnicy Miramar. Piętro wyżej nadal mieszkała ta sama rodzina. Pojechaliśmy do jego domku letniskowego na wybrzeżu w prowincji Pinar del Río – tam również sąsiedzi się nie zmienili. W miejscu, gdzie kiedyś stało kilka domów, teraz była baza wojskowa, do której nie mogliśmy wejść, ale pewien oficer powiedział mu, że w głębi bazy znajduje się tablica upamiętniająca fakt, iż w 1960 roku w tamtym miejscu wylądował *comandante* Fidel Castro.

Mariano o tym wiedział. Jego rodzina spędzała lato 1960 roku w swoim domku letniskowym, ponieważ wśród ich przyjaciół z hawańskiego jachtklubu było wtedy zbyt wiele konfliktów politycznych. Mariano spadł z drzewa i złamał rękę, dlatego nie mógł się kąpać razem z innymi dziećmi.

Spędzał więc czas, włócząc się wzdłuż brzegu. Pewnego dnia przypłynęła do niego motorówka, z której na ląd zszedł brodaty olbrzym. To był Fidel Castro. Chociaż nie było tam nikogo, kto by go witał, przeszedł obok Mariano, nie wypowiedziawszy ani słowa. To było właśnie to lądowanie, które upamiętniono tablicą.

Chociaż wiele spośród najstarszych domów Hawany jest teraz w opłakanym stanie, niektóre budynki są restaurowane. Po rewolucji rząd przystąpił do odnawiania historycznych gmachów. Zaczynał powoli w 1964 roku od Plaza de Armas w La Habana Vieja. Następnie w 1982 roku UNESCO wpisała La Habana Vieja i jej fortece na listę światowego dziedzictwa, przyznając niewielkie fundusze na pomoc w restauracji katedry, Plaza de Armas i kilku innych zabytków. Wraz ze wzrostem przychodów z turystyki miasto będzie mogło sobie pozwolić na odnowienie większej liczby zabytków – ma do tego bodziec finansowy. Nadal jednak większa część La Habana Vieja, jedynej dzielnicy Hawany, która była restaurowana, pozostaje w ruinie, zaś w wielu domach nie ma nawet bieżącej wody.

Nie trzeba również zbyt wiele czasu, żeby w odrestaurowanym budynku ponownie pojawiły się oznaki rozkładu. Nawet ukochany dom Hemingwaya ma łuszczące się plamy i zgniłe narożniki. Prawda jest bowiem taka, że jest prawie niemożliwe, aby w tropikalnym klimacie uchronić miasto przed zbutwieniem – wilgoć i upał nieubłaganie przerabiają wszystko na kompost i pożerają cały ludzki wysiłek.

W 1984 roku rząd ogłosił, że pieniądze płacone za czynsz można przeznaczać na spłatę ceny domu; w ten sposób po pewnym czasie każdy mógłby go wykupić na własność. Dzięki temu niektórzy lokatorzy, zostawszy potencjalnymi właścicielami, zaczęli remontować swoje budynki. Jedną z dzielnic, które stały się znane z tego rodzaju praktyk, było

Cayo Hueso w Centro Habana, tradycyjnie zamieszkiwane przez czarną społeczność. Castro miał nadzieję, że inne dzielnice pójdą jej śladem, sugerując, aby podjęły „interwencję w stylu Cayo Hueso”. Zgodnie z założeniami lokatorzy po wyremontowaniu swoich budynków mieli brać na siebie odpowiedzialność za ich utrzymanie, ale wkrótce okazało się, że wcale nie mieli na to lepszych pomysłów niż rząd.

W XXI wieku wielu *habaneros* spłaciło już wystarczająco dużą część wartości swych domów, żeby przejąć je na własność. Na wielu budynkach zaczęły się pojawiać tabliczki z napisem „Na sprzedaż”. Rzadko jednak trafiali się kupcy, a kiedy już się zjawiali, okazywało się, że ten, kto chciał sprzedać dom lub mieszkanie, nie miał się dokąd przenieść. W rezultacie, mówiąc językiem rewolucji, dzielnice te są nadal „zamrożone”.

12

Słoneczną stroną do góry

Puede ansiosa
La Muerte, pues, de pie en las hojas secas,
Esperarme a mi umbral con cada turbia
Tarde de otoño, y silenciosa puede
Irme tejiendo con helados copos
Mi manto funeral.
Być może żądna życia śmierć, stojąc wśród uschniętych liści
Oczekuje mnie na progu
Każdego niewyraźnego jesiennego wieczoru
I milcząca może zajść mnie, tkając z lodowatej przędzy
Mój pogrzebowy płaszcz.

José Martí, *Canto de otoño* (1882)

José Martí jest w Hawanie obecny wszędzie. A jeśli policzyć wszystkie małe białe popiersia gipsowe w szkołach i gmachach publicznych, jest w zasadzie wszechobecny na całej Kubie. Większość kubańskich bohaterów doczekała się tylko jednego pomnika. Martí ma ich wiele.

Rzeźbiarze poprawili mu wygląd – w Hawanie fizyczna atrakcyjność jest bardzo ważna. Jest to, jak się wyraził pisarz Roberto Uría Hernández, „próżne miasto, które rzuca urok”. Od każdego oczekuje się tutaj, żeby dobrze wyglądał. Policjanci wyglądają atrakcyjnie, nawet psy policyjne szukające narkotyków na lotnisku – zadbane spaniele – wyglądają atrakcyjnie. Rewolucja została zainicjowana przez mężczyzn przystojnych niczym hollywoodzcy gwiazdorzy, z wysokim i barczystym wojownikiem Fidelem w roli głównej oraz Camilo Cienfuegosem w ciepłej i miłej roli „najlepszego przyjaciela”, rezerwowanej niegdyś w Hollywood dla Eddiego Alberta. Ernesto „Che” Guevara, zapalczywy rewolucjonista, wyglądał zbyt wybornie, żeby zostać kimkolwiek innym niż

gwiazdą filmową. Allen Ginsberg, słynny amerykański poeta, który poparł rewolucję kubańską, został deportowany z wyspy w 1965 roku. Mówił zbyt dużo o narkotykach i homoseksualizmie, ale miarka przebrała się ostatecznie, kiedy powiedział coś, co w głębi duszy myślało sobie zapewne wiele kobiet i mężczyzn – że chciałby uprawiać seks z Che.

Martí, główna postać hawańskiego dramatu, był nieco bardziej problematyczny, jeśli chodzi o fizyczną atrakcyjność. „Apostoł" był wątłym mężczyzną, miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Z czubka głowy rozpaczliwie zwisało mu kilka cienkich kosmyków. Gdyby pożył dłużej niż czterdzieści dwa lata, te kosmyki prawdopodobnie też by wypadły.

Pisarze i historycy zadali sobie sporo trudu, żeby przekonać Kubańczyków, iż pomimo niepozornego wyglądu Martíego kobiety nie były w stanie mu się oprzeć. Niektórzy sugerują, że był to efekt oddziaływania jego poezji. María Granados, córka byłego prezydenta Gwatemali, zakochała się w Martím, kiedy przebywał w jej kraju w 1877 roku, ale on był już wtedy zaręczony z Kubanką Carmen Zayas-Bazán, którą w końcu poślubił. María utopiła się niedługo później, ale nie wiadomo, czy było to samobójstwo z powodu doznanego zawodu miłosnego, czy tragiczny wypadek. Niemniej jednak Martí poświęcił jej wiersz, w którym pisał, że María się nie zabiła, ale „umarła z miłości".

Martí z pomników nie przypomina człowieka uwiecznionego na zdjęciach. „Apostoł" – wykuty w kamieniu, brązie czy gipsie – ma wysokie czoło, na które opada bujna grzywa wieńcząca szczupłą i krzepką sylwetkę.

Najlepszy pomnik Martíego – szerokiego w barach i z gęstymi włosami – został postawiony w 1905 roku w hawańskim Parque Central przez pierwszego prezydenta Kuby Tomása Estradę Palmę. Wyrzeźbiony w marmurze karraryjskim przez czołowego rzeźbiarza epoki, José Vilaltę

de Saavedrę, przedstawia Martíego, który z uniesioną prawą ręką i wystawionym palcem wskazującym kroczy naprzód wśród palm królewskich (to musi coś oznaczać) w swojej ulubionej marynarce i narzuconym na nią płaszczu czy pelerynce. Istnieją dwie najpopularniejsze teorie tłumaczące lokalizację pomnika i obie stanowią przykład sardonicznego poczucia humoru *habaneros*. Według pierwszej z nich „apostoł niepodległości” wychodzi ze stojącego za jego plecami hotelu Inglaterra i łapie taksówkę. Zgodnie z drugą wersją idzie w kierunku znajdującego się przed nim baru El Floridita, by zamówić daiquirí. Jeśli o mnie chodzi, odrzucam obie teorie. Moim zdaniem Martí, jako znany kibic baseballu, wyraża swoją opinię na temat rozegranego poprzedniego wieczoru meczu, dzieląc się nią z mężczyznami, którzy każdego ranka dyskutują o meczach w parku rozciągającym się przed pomnikiem.

Być może Fidel Castro miał własną teorię na temat pomnikowego gestu „apostoła niepodległości”, ponieważ stale go używał, kiedy niezręcznie odwrócony plecami do innego pomnika Martíego przemawiał ze swej trybuny na Plaza de la Revolución. Być może El Comandante starał się naśladować „apostoła”, który słynął ze swojego oratorskiego talentu. Chociaż Fidel często parafrazował Martíego, a nawet go plagiatował, był po prostu zbyt postawny i miał za dużo włosów, a może również mówił zbyt rozwlekle, żeby uchodzić za drugiego Martíego.

Z kolei na stojącym przy Malecónie pomniku z brązu, na którym „apostoł” osłania dziecko i piorunuje wzrokiem zagrożenie czyhające zza morza, jego postać wygląda na wyjątkowo potężną. Ten pomnik został wzniesiony w roku 2000, tuż po kontrowersyjnym sporze, do którego doszło w Stanach Zjednoczonych, gdy grupa kubańskich emigrantów próbowała nie dopuścić do oddania małego chłopca, Eliána Gonzáleza, jego mieszkającemu na Kubie ojcu.

Najbardziej imponujący pomnik Martíego, a zarazem najlepiej oddający jego wygląd, nie stoi jednak w Hawanie, ani nawet na Kubie, ale w Nowym Jorku, który przez wiele lat był domem „apostoła”. Pomnik znajduje się w Central Park South, na samym początku alei Ameryk, gdzie wyznaczono miejsce dla uczczenia bohaterów Ameryki Łacińskiej. Są tam również dwa inne konne pomniki latynoamerykańskich herosów – jadącego jak na paradzie Simóna Bolívara i galopującego argentyńskiego generała José de San Martína. Martí na nowojorskim pomniku wygląda zgoła odmiennie, ponieważ przedstawiono go w trakcie upadku z konia – „apostoł” robi tym samym znacznie większe wrażenie niż dwaj pozostali jeźdźcy, którzy wyglądają przy nim nieco statycznie. Dobrze ubrany i nieuzbrojony, a także bardziej łysiejący niż na większości swoich pomników (być może dlatego, iż rzeźbiarz nie był ani Kubańczykiem, ani mężczyzną), Martí właśnie został śmiertelnie postrzelony i spada ze swego szarżującego konia.

Autorką tego pomnika była amerykańska rzeźbiarka Anna Vaughn Hyatt Huntington, która ukończyła go w 1959 roku, gdy miała osiemdziesiąt dwa lata. Było to jej ostatnie dzieło, a zarazem dar nowego rządu kubańskiego dla Nowego Jorku. Relacje między dwoma państwami uległy jednak pogorszeniu i statuę postawiono w jej obecnej lokalizacji dopiero w 1965 roku. *Libertador* Bolívar musiał został przesunięty, by zrobić miejsce dla „apostoła”.

Chociaż prawdziwy Martí w chwili śmierci miał w ręku broń palną i prawdopodobnie nie był ubrany po miejsku, rzeźbiarka dobrze uchwyciła ten tragiczny moment. Śmierć jest niezwykle ważna dla Kubańczyków, a zwłaszcza dla *habaneros*.

W Hawanie znajduje się najsłynniejszy poza paryskim Père-Lachaise cmentarz na świecie. Mający powierzchnię pięćdziesięciu sześciu hektarów Cementerio Cristóbal Colón,

czyli cmentarz imienia Krzysztofa Kolumba, leży w dzielnicy Vedado. Pochowano na nim milion osób. Trudno tam skryć się w cieniu (co w palącym słońcu Hawany bywa uciążliwe), jest też niewiele ławek, ale są całe aleje z pomnikami wykonanymi przez tak sławnych rzeźbiarzy, jak José Vilalta de Saavedra, który był autorem wspomnianego pomnika Martíego z 1905 roku. Mauzoleum Cataliny Laso, bogatej kobiety, która przeniosła się do Francji, żeby uciec przed skandalem erotycznym, zostało zaprojektowane przez René Lalique'a i zwieńczone szklaną kopułą z wyrzeźbioną w niej różą.

Podobnie jak miasto żywych, cmentarz ma kilka starannie wypielęgnowanych ulic, zwłaszcza główną aleję biegnącą prosto do bramy głównej, na której wypisano motto: „Blada śmierć jednako nawiedza pałace królów i chaty biedaków". Groby na kubańskim cmentarzu nie są jednak takie same, ludzie bogaci mają większe pomniki, które usytuowane są przy głównych uliczkach. Niektóre spośród nagrobków się kruszą – podobnie jak budynki w pozostałej części miasta. Hawana jest miastem, którego historię w dużej mierze pisali emigranci, a oni przecież nie mogą zadbać o groby swych najbliższych.

Wśród miliona osób pochowanych na cmentarzu Colón znajdują się: pisarze Nicolás Guillén, Alejo Carpentier, José Lezama Lima i Dulce María Loynaz, generał Máximo Gómez, fotograf Alberto Korda, antropolog Fernando Ortiz, reżyser filmowy Tomás Gutiérrez, perkusista Chano Pozo, pianista Rubén González oraz mistrz mieszania daiquirí „Constante" Ribalaigua, który ma przy swoim grobie kapliczkę.

Jeden z cmentarnych nagrobków ma kształt kostki domina z dwoma trójkami. To grób Luisy V. Antonii, która przegrała ważną partię domina, błędnie kładąc kostkę z dwoma trójkami – z wrażenia dostała zawału i zmarła. Inny grób jest oznaczony wielką marmurową figurą szachowego króla. To miejsce spoczynku jednego z największych mistrzów

szachowych wszech czasów José Raúla Capablanki. Urodzony w 1888 roku w Hawanie, zaczął grać w szachy w wieku czterech lat. Specjalizował się w symultanach. Na turnieju w Stanach Zjednoczonych wygrał kiedyś sto sześćdziesiąt osiem meczów w ciągu zaledwie dziesięciu sesji. W Hawanie od dawna rodzili się wielcy szachiści – Hiszpanie przywieźli tę grę na Kubę w XV wieku i szybko stała się ona bardzo popularna. Szachy były jedną z nielicznych rzeczy, jakie łączyły Rosjan i Kubańczyków w epoce komunizmu.

Na cmentarzu Colón spoczywa natomiast znaczna część wybitnych zawodników i menedżerów baseballu – w tym Dolf Luque, który w latach 1914–1935 grał dla Boston Braves, Cincinnati Reds oraz Brooklyn Dodgers. Menedżer Ligi Kubańskiej Alberto Azoy oraz grający na pierwszej bazie Julián Castillo, przyjęty do Galerii Sław Baseballu Kubańskiego, także są pochowani na Colón.

Można tam również znaleźć groby porywaczy samolotów, w tym Williama Lee Brenta, poszukiwanego listami gończymi członka Czarnych Panter, który w 1969 roku uprowadził samolot na Kubę. Pod koniec lat sześćdziesiątych amerykańscy porywacze – w większości czarni nacjonaliści – tak często uprowadzali samoloty na Kubę, że rząd kubański urządził dla nich specjalny ośrodek w dawnej posiadłości pewnego bogatego przedsiębiorcy, który musiał wyemigrować z kraju. Ośrodek ten nazywano „domem porywaczy”, czasami przebywało ich tam aż trzydziestu pięciu naraz. Według jednego z nich, Michaela Finneya, na Kubie przebywało kiedyś jednocześnie sześćdziesięciu amerykańskich porywaczy samolotów, w większości czarnych. Szacunki FBI na ten temat były nawet jeszcze wyższe. Wielu z porywaczy skorzystało z możliwości odbycia darmowych studiów, po których ukończeniu otrzymali dobre posady. Finney, który zmarł na raka w 2005 roku, został dziennikarzem, co może tłumaczyć, dlaczego zawsze wiedział, kiedy byłem w Hawanie. Finney często rozmawiał z innym Amerykaninem,

który pamiętał lata sześćdziesiąte. On i inni porywacze przyznawali, że straszliwie tęsknili za czarną społecznością Ameryki.

Jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc na cmentarzu Colón jest prosty grób Amelii Goyri de Adot, która zmarła w 1901 roku podczas porodu. Jej córeczka także nie przeżyła – została pochowana u stóp matki, ale dwa lata później, kiedy Goyri de Adot wykopano w celu ponownego pochówku, co było tam zwyczajową praktyką, szczątki niemowlęcia znaleziono w jej ramionach. Na Colón takie rzeczy zdarzają się dość często z powodu osuwania się ziemi i właśnie dlatego po dwóch latach dokonuje się tam powtórnego pochówku. Nie każdy jednak przyjmuje to wytłumaczenie i ciężarne kobiety odwiedzają mogiłę La Milagrosa, czyli „Cudownej", jak nazwano Goyri de Adot. Kobiety odchodzą od jej grobu tyłem, idąc aleją tak, aby nie odwrócić się plecami do nagrobka. Jak na zsekularyzowaną społeczność, *habaneros* mają mnóstwo przesądów.

Martí miał obsesję na punkcie śmierci. W wieku szesnastu lat przewidział, że jego życie będzie krótkie. W swoim najsłynniejszym tomiku wierszy, *Versos sencillos*, już w pierwszej strofie stwierdza, że te wiersze są pisane przez uczciwego człowieka, który chce podzielić się z czytelnikami swoją poezją, zanim umrze. Wiersze Martíego są pełne śmierci. Z tego powodu Falanga, hiszpański ruch faszystowski z lat trzydziestych, który uprawiał niemal kult śmierci, sięgnął po poezję Martíego, chociaż ten był przeciwny prawicowym przekonaniom oraz był nastawiony antyhiszpańsko. Hasłem Falangi było nonsensowne zawołanie *Viva la muerte!* – „Niech żyje śmierć!". Hymn organizacji *Cara al sol* [Twarzą ku słońcu], pochodzi właśnie z *Versos sencillos* Martíego:

¡Yo soy bueno, y como bueno

Moriré de cara al sol!

Jestem dobry i jako dobry człowiek

Niektórzy, jak Guillermo Cabrera Infante, posuwali się nawet do sugestii, iż Martí popełnił samobójstwo, specjalnie wystawiając się ukrytemu w trawie hiszpańskiemu strzelcowi. Skoro Kuba była już ogarnięta wojną, która, jak spodziewał się Martí, miała w końcu przynieść jego ojczyźnie niepodległość, to cóż innego mógłby on jeszcze uczynić, żeby jej w tym pomóc? Miał czterdzieści dwa lata – czyli więcej, niż kiedykolwiek sądził, że będzie miał – nie posiadał żadnych umiejętności wojskowych i w walce był z niego niewielki pożytek. Ale gdyby poległ w bitwie jako męczennik, z twarzą zwróconą ku słońcu, mógłby stanowić inspirację dla zwolenników jego sprawy.

O męczenników upominała się napisana dwadzieścia siedem lat wcześniej pieśń, która stała się hymnem narodowym Kuby. *Himno de Bayamo*, zwany również *La Bayamesa*, został stworzony w 1868 roku przez Perucho Figueredo, który – jak głosi legenda – pisał go, siedząc jeszcze w siodle po odniesionym w Bayamo zwycięstwie Kubańczyków nad Hiszpanami. Jak głoszą słowa tej pieśni: „*Que morir por la patria es vivir*” – „Umrzeć za ojczyznę – znaczy żyć”.

Chociaż niewiele było z niego pożytku w roli żołnierza, Martí stał się wielkim męczennikiem. Rewolucja go uwielbia. Zaciekli przeciwnicy rewolucji go kochają. Cytują go zarówno komuniści, jak i faszyści. Hiszpanie, którym przez całe swoje życie zaciekle się sprzeciwiał, również go podziwiają, podobnie jak Amerykanie, którym nie ufał. Tylko męczennik mógłby dokonać czegoś takiego.

Martí zapoczątkował na Kubie długą tradycję męczeńskich śmierci i samobójstw. W 1958 roku, kiedy pisarz Reinaldo Arenas był czternastoletnim chłopcem mieszkającym w prowincjonalnym miasteczku Holguín, postanowił razem ze swoim przyjacielem Carlosem uciec w góry i dołączyć do

partyzantów Castro. Nie mogli stać się prawdziwymi partyzantami, których zwano „*los barbudos*” („brodacze”), ponieważ byli za młodzi, ale mogli, jak to ujął Arenas, „wziąć udział w jakiejś bitwie i stracić w niej życie”.

Arenas wspominał pewien proces, toczący się krótko po zwycięstwie rewolucji, w którym sądzono grupę oficerów sił powietrznych oskarżonych o próbę zbombardowania Santiago. W roli oskarżyciela wystąpił wtedy sam Fidel Castro, ale brodaty sędzia, dawny partyzant, uznał, iż oskarżeni oficerowie byli niewinni, i wydał korzystny dla nich wyrok. Następnie jednak zastrzelił się, ponieważ wystąpił przeciwko własnemu ruchowi.

W pierwszych latach po zwycięstwie rewolucji było wiele samobójstw. Olga Andreu, która organizowała u siebie w domu potajemne odczyty dysydenckich pisarzy, głównie tych składających podania o wyjazd z Kuby, pewnego dnia bez żadnego wyjaśnienia wyskoczyła z okna. Rewolucjonista o nazwisku Eddy Suñol, który dowodził wieloma egzekucjami „zdrajców” na obszarze podlegającym jego władzy, zastrzelił się dwanaście lat po zwycięstwie rewolucji. Arenas pisze: „Śmierć Suñola była tylko jeszcze jednym samobójstwem w naszej historii politycznej, która jest niekończącą się historią samobójstw”.

Arenas przytacza także historię swojego profesora ekonomii Juana Péreza de la Rivy, arystokraty, który jako jedyny w swojej rodzinie pozostał wiernym zwolennikiem rewolucji. Ten romantyk, który nigdy nie miał szczęścia w miłości, dostał od władz kubańskich pozwolenie na regularne odwiedzanie rodziny w Paryżu, gdzie podczas każdej wizyty próbował się zabić, rzucając się z mostu. Nigdy jednak nie udało mu się osiągnąć wyznaczonego sobie celu. W końcu zakochał się w kobiecie, która odwzajemniła jego uczucie. Wreszcie chciał żyć, ale zachorował na raka gardła i zmarł. Oto doskonały przykład hawańskiej historii.

W Hawanie samobójstwo jest rozwiązaniem, do którego ludzie odnoszą się z szacunkiem. Z pewnością nie zaszkodziło ono reputacji Hemingwaya w tym mieście. Arenas pisał o wysokim odsetku samobójstw wśród więźniów zamku El Morro. Był to ich sposób ucieczki. Podobnie uważali niewolnicy. Kiedy zapytamy *habanero*: „Jak się masz?”, często możemy usłyszeć odpowiedź: „Jeszcze żyję”. Jest to odpowiedź typowa dla karaibskich krajów, w których istniało kiedyś niewolnictwo. Dla niewolników śmierć była wszechobecna. Oznaczała również opór i ucieczkę, ponieważ panowało powszechne przekonanie, że po śmierci duch niewolnika wraca do Afryki. Tainowie także popełniali zbiorowe samobójstwa na znak protestu przeciwko Hiszpanom.

Arenas, który opowiadał wiele historii o samobójstwach, w 1990 roku sam wybrał taki rodzaj śmierci. Kiedy widział koty skaczące z hawańskich balkonów, myślał, że nawet one popełniają samobójstwo – to akurat mówiło jednak więcej o Arenasie niż o kotach. Pisarz wyemigrował i zaraził się AIDS, po czym postanowił, że – aby uniknąć nieprzyjemnej śmierci – sam się zabije. Najpierw jednak napisał autobiografię, zatytułowaną znacząco *Zanim zapadnie noc*, która przypomina *Versos sencillos* Martíego, przynajmniej pod tym względem, że zaczyna się od uprzedzenia czytelnika o przeczuciu niechybnej śmierci, a w związku z tym konieczności szybkiego napisania książki.

Kolejnym zmarłym przedwcześnie pisarzem był Guillermo Rosales. Ten rodowity hawańczyk (rocznik 1946) w latach siedemdziesiątych tak rozpaczliwie pragnął opuścić Kubę, że, według opowieści Arenasa, wymyślił plan, aby przebrać się za Nicolása Guilléna, który jako zwolennik rewolucji mógł swobodnie podróżować. Ostatecznie Rosales zdołał jednak dotrzeć do Miami bez przebrania. W latach osiemdziesiątych żył tam nieszczęśliwy, zepchnięty na margines, pomieszkiwał w przytułkach, ale nadal pisał, choć niszczył swoje rękopisy,

jeśli w krótkim czasie nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. W 1993 roku zniszczył wszystkie swoje rękopisy i strzelił sobie z pistoletu w skroń. Pozostawił po sobie dwie nowele i pięć opowiadań – znakomite dzieła, które dają skromny przedsmak tego, co przepadło na zawsze. Czyż samobójstwo nie jest w pewnym sensie aktem agresji, formą ataku? Czy niewolnicy nie mieli racji w tej kwestii?

Wielu burmistrzów Hawany popełniło samobójstwo. Wilfred Fernández, wierny zwolennik Machado, został aresztowany po jego obaleniu w 1933 roku; uwięziony w La Cabaña, strzelił sobie w głowę. Burmistrz Manuel Fernández Supervielle zastrzelił się w 1947 roku, ponieważ nie spełnił złożonej w trakcie kampanii wyborczej obietnicy, że poprawi zaopatrzenie miasta w wodę.

Najbardziej spektakularnym samobójstwem w Hawanie, które zostało powszechnie zapamiętane, była śmierć Eduardo Chibása, nazywanego zazwyczaj „Eddy", a czasami „El Loco", czyli „Szaleńcem", ponieważ krył w sobie ten rodzaj żaru, który wprawia ludzi w zdumienie. Uważał się za „rewolucjonistę", ale w tamtych czasach twierdziła tak większość polityków kubańskich. Przez dwieście lat słowo „rewolucja" było na Kubie nadużywane. Kiedy Castro doszedł do władzy, wiele osób było zaskoczonych, kiedy okazało się, że jego wcześniejsze zapowiedzi się spełniły i że chciał prawdziwej rewolucji.

To, co czyniło Eddy'ego Chibása niezwykłym politykiem, to fakt, że był na tyle bogaty, iż nie interesowało go rozkradanie pieniędzy publicznych – nie lubił więc polityków, którzy kradli, a takich była większość. Początkowo popierał doktora Ramóna Graua San Martína, lekarza pochodzącego z bogatej rodziny plantatorów tytoniu, który zastąpił Machado na fotelu prezydenta. W latach czterdziestych Graua podejrzewano już jednak o korupcję i Chibás zorganizował przeciwko niemu ruch polityczny, który nazwał Partią

Ortodoksyjną. Oczywiście zarówno Grau, jak i Chibás twierdzili, że to ich partia była spadkobierczynią „rewolucyjnego” ruchu José Martíego. Młody Fidel Castro był *ortodoxo*.

Chibás rywalizował w wyborach prezydenckich z kandydatem wyznaczonym przez Graua na jego następcę, Carlosem Prío Socarrásem. Niski, przysadzisty i łysiejący Eddy, który w dodatku nosił okulary o grubych szkłach, był jednak zbyt nieatrakcyjny fizycznie, żeby odnieść sukces polityczny w Hawanie, i przegrał. Tego „El Loco” nie był już w stanie znieść i zaczął wykupywać czas antenowy w jednej z rozgłośni radiowych, która w niedzielne popołudnia przez godzinę transmitowała jego tyrady przeciwko Prío. Ze swoim piskliwym głosem nawet w radiu nie prezentował się atrakcyjnie. Niemniej jednak w 1950 roku ludzie zaczęli zwracać się przeciwko Prío, a Chibás zaczął zyskiwać popularność.

I właśnie wtedy, gdy zaczął piąć się w górę, popełnił błąd, uskarżając się na rzekomy przypadek korupcji, który jednak najwyraźniej w ogóle nie miał miejsca – wyglądało na to, że Chibás został wprowadzony w błąd. W rezultacie zaczął tracić wszelką wiarygodność.

Ponieważ rzecz działa się w Hawanie, nadszedł czas, żeby zastanowić się nad męczeńskim aktem. 5 sierpnia 1951 roku, na zakończenie swojej kolejnej audycji radiowej, Chibás oznajmił: „Oto mój ostatni krzyk”, co było później przez wiele miesięcy prześmiewczo powtarzane w okrutnych żartach krążących po Hawanie. Następnie wyjął swój rewolwer, kaliber 7,65 milimetra, i strzelił sobie w brzuch. To była powolna i bolesna śmierć. Jego ostatnia deklaracja, huk wystrzału i łoskot ciała walącego się na stół, na którym stał mikrofon – wszystko to miało razem stworzyć dramatyczny przekaz dla jego słuchaczy. Efekt popsuł jednak sam Chibás, który „będąc prawdziwie kubańskim politykiem”, jak to

określił Cabrera Infante, mówił dłużej, niż wynosił wykupiony przez niego czas antenowy, i cały wielki finał został przerwany przez rozgłośnię, żeby wyemitować reklamę kawy. „El Loco” zmarł tydzień później na skutek odniesionej rany.

Dziadek Arenasa specjalnie ustawiał sobie radio z anteną przymocowaną do bambusowej tyczki, bo chciał posłuchać niedzielnych audycji Chibása. Kiedy nadawano ostatnią z nich, prababka Arenasa nachylała się akurat nad radiem, gdy tuż przed finałem w antenę uderzył piorun, który zbiegł w dół po drucie i poraził kobietę. W czasie jej pogrzebu matka Arenasa była cała we łzach. Kiedy syn podszedł ją pocieszyć, usłyszał w odpowiedzi: „Nie płaczę po mojej babce, tylko po Chibásie”.

W tym mieście, pozbawionym jakichkolwiek reklam, dosłownie wszędzie widać pewien plakat związany ze śmiercią. Chodzi o słynną fotografię Che, autorstwa Kordy, z hasłem: „Socjalizm albo śmierć!”. Podróżnik, który nie zna Hawany, mógłby uznać to hasło za nieco dziwne. Dlaczego nie coś pozytywnego o socjalizmie i życiu? Dlaczego nie hasło: „Niech żyje socjalizm”? Cała retoryka rewolucji kubańskiej, tak samo jak retoryka Martíego i ruchu niepodległościowego, była związana ze śmiercią. Castro, tak jak Martí, zawsze obiecywał śmierć. „Rewolucja to walka aż do śmierci między przyszłością i przeszłością” – mówił. Walka aż do śmierci nie wydaje się zbyt wspaniałą przyszłością, chyba że odczuwa się nadmierne upodobanie do śmierci. Zresztą słynny portret spoglądającego groźnie przed siebie Che również jest związany ze śmiercią. To zdjęcie zostało bowiem wykonane 5 marca 1960 roku w czasie pogrzebu ofiar jakiegoś kontrrewolucyjnego sabotażysty, który wysadził w powietrze frachtowiec stojący w porcie hawańskim.

W języku rewolucji ten obraz znaczył: „Ludzie umierają, ale partia jest nieśmiertelna”. Inny slogan dobitnie pokazuje, że korzenie rewolucji tkwią w powstaniach niewolników:

„Prędzej utopimy się w morzu, niż zgodzimy się być czyimś niewolnikiem”.

Kiedy takie deklaracje padają z trybuny ustawionej przed pomnikiem José Martíego na Plaza de la Revolución, można odnieść wrażenie, że słyszą je sępniki różowogłowe – czyli, w kubańskiej odmianie hiszpańskiego, *aura tiñosa* – ptaki śmierci z rodziny kondorowatych, które często krążą nad głowami tłumów zgromadzonych na organizowanych tam wiecach. Jakby sama natura okazywała typowo kubańskie poczucie humoru. Te ptaki są bardzo duże i brzydkie, a jednak w czasie lotu pełne wdzięku, co widać wyraźnie, gdy zataczają pętle nad pomnikiem Martíego. Oczywiście uliczne poczucie humoru w Hawanie znajduje wiele wyjaśnień na to, dlaczego to miejsce przyciąga sępy, ale niewiele z nich ma charakter naukowy.

Być może te ptaki po prostu lubią pomniki? Kilka kilometrów dalej, w Cojímar, krążą nad popiersiem Hemingwaya. Miasteczko Cojímar wygląda na nieco sponiewierane, jak zresztą wszystkie kubańskie miasta, ale ma jeden nieskazitelny obiekt, a mianowicie betonową platformę ze schodami prowadzącymi do pierścienia filarów otaczających półtorametrowy blok z kamienia, na którym ustawiono zielone popiersie Hemingwaya. Pisarz szczerzy się tam w uśmiechu tak samo głupio, jak w barze El Floridita. Niezbyt ładnie jest jednak źle mówić o tym wielkim metalowym popiersiu, któremu brakuje estetycznego uroku i na którym Hemingway nie jest do siebie podobny – trzeba jednak pamiętać, że pomnik został sfinansowany ze skromnych zarobków miejscowych rybaków. Oddali oni części własnej armatury metalowej i wentylatorów, aby przetopić je na podobiznę ich bohatera. Tym rybakom pomnik się podoba, tak samo jak sępnikom różowogłowym.

Od samego początku rewolucja wydawała się szukać męczenników. Fidel, podobnie jak Martí, często mówił o

własnej śmierci i o tym, że jest gotów umrzeć. Kiedy w 1956 roku przygotowywał w Meksyku wyprawę na Kubę, aby wzniecić na wyspie powstanie, oświadczył: „W 1956 roku będziemy wolni albo zostaniemy męczennikami”.

Fidel rozumiał polityczną wartość męczeństwa. Po raz pierwszy ludzie w Hawanie zaczęli zwracać na niego uwagę, kiedy na pogrzebie Eddy’ego Chibása wskoczył na jego grób na cmentarzu Colón i wygłosił poruszające przemówienie. W odróżnieniu od Martíego i Chibása Fidel przewidywał jednak, że będzie żył i sprawował władzę tak długo, jak tylko się da. Kiedy w końcu umarł w 2016 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat, prawdopodobnie tylko poprawił sobie reputację u rodaków, ponieważ w Hawanie martwy bohater jest wart o wiele więcej niż bohater zgrzybiały ze starości, nawet jeśli nie wystawia się go na widok publiczny.

Siepacze Batisty zabili wielu ludzi – według Fidela tysiące – i na ich cześć ustawiono liczne pomniki oraz tablice pamiątkowe. Żadna z tych ofiar nie była jednak na tyle znaczącą postacią, żeby stać się męczennikiem na miarę Martíego – męczennikiem, który mógłby się stać symbolem całej sprawy.

28 października 1959 roku dwusilnikowa cessna z Camilo Cienfuegosem na pokładzie spadła do morza i nigdy nie została odnaleziona. Straciwszy życie w wieku dwudziestu siedmiu lat, niecały rok po dojściu Castro do władzy, Cienfuegos mógłby zostać uznany za męczennika rewolucji. Wszyscy uwielbiali Camilo, który miał najbardziej uwodzicielski uśmiech rewolucji. Ale był pewien problem. Cienfuegos, który reprezentował typ najlepszego przyjaciela i miłego faceta w jednym, nie był bowiem dobrym materiałem na męczennika. Poza tym nikt tak naprawdę nie wie, jak zginął. Jego samolot po prostu zniknął. Oczywiście niektórzy twierdzili potem, że Fidel kazał go zabić, ale nie ma na to żadnych dowodów. Cienfuegos był prawdopodobnie

najbardziej lubianym rewolucjonistą kubańskim, dlatego co roku 28 października obchodzi się rocznicę jego śmierci, wrzucając kwiaty do morza. Prawdziwy męczennik musi jednak zginąć w decydującym starciu.

Był również i Che – nie tyle miły facet, ile zawołany rewolucjonista, Robespierre rewolucji kubańskiej. We Francji roku 1792, kiedy Robespierre ustanowił rządy terroru i Konwent zarzucił mu, że za jego sprawą rewolucja francuska stała się zbyt krwawa i jest zbyt wiele egzekucji, odparł: „Obywatele, chcieliście rewolucji bez rewolucji?". Podobny punkt widzenia prezentował Che.

Fidel Castro podziwiał Robespierre'a i jego rządy terroru, mówił nawet: „Potrzebujemy wielu Robespierre'ów na Kubie". Ostatecznie miał jednego, ale Che, ten wieczny rewolucjonista, był coraz bardziej zniecierpliwiony zasiadaniem w rządzie i kierowaniem bankiem narodowym. W końcu opuścił wyspę, żeby kontynuować rewolucję najpierw w Kongu, a potem w Boliwii, gdzie zginął, zabity przez armię boliwijską do spółki z CIA. Teraz rewolucja ma swojego wielkiego męczennika, który oddał za nią życie, zabity przez CIA. Rozpowszechniano potem legendę, że ostatnie słowa Che brzmiały: „Strzelaj – zabijesz tylko człowieka". Według niektórych wersji miało to być: „Strzelaj, tchórzu…". Całkiem możliwe zresztą, że nie wypowiedział żadnego z tych słów. W takim przypadku interesujące byłoby jednak ustalenie, kto był ich autorem, ponieważ uosabiają bardzo specyficzną osobowość: dzielnego i wojowniczego *macho* z niewielkim poszanowaniem dla ludzkiego życia.

13

Jak się spierać w Hawanie

> *Pero no podemos apoyarnos tan sólo en el delirio poético, sino vamos a apoyarnos también en lo que pudiéramos llamar el delirio científico.*
>
> Ale nie opierajmy się wyłącznie na poetyckich majakach, gdyż możemy się również oprzeć na tym, co dałoby się nazwać delirium naukowym[21].
>
> José Lezama Lima, *Raj* (1966)

Hawana zawsze wydaje się pogrążona w delirium, a wszyscy *habaneros* i *habaneras* sprawiają wrażenie, jakby mieli własną odmianę tego delirium. Poeta José Lezama Lima żył w stanie poetyckiego delirium, czym naraził się rządowi kubańskiemu, pogrążonemu z kolei w delirium naukowym. Powieść *Raj*, stworzone przez Lezamę arcydzieło poetyckiego delirium, rozwścieczyła przedstawicieli rządu, którzy prawdopodobnie jej nawet nie zrozumieli, ponieważ jest to książka tak gęsta i wielowątkowa, że nikt tak naprawdę jej nie rozumie. Cała Ameryka Łacińska okrzyknęła *Raj* dziełem geniusza, z wyjątkiem władz Kuby.

Powieść ignoruje wszelkie zasady fabularne i narracyjne, podejmując lot we wszystkich kierunkach. Julio Cortázar, słynny argentyński powieściopisarz i wielki wielbiciel tej książki, pisał: „Czytając *Raj*, czasami ma się wrażenie, że Lezama przybył z innej planety”.

Jak rząd kubański mógł potępić książkę, której nikt nie rozumie? Zapiszmy to na rachunek naukowego delirium, czyli misternie skonstruowanego przez rewolucję zestawu zasad i norm oraz jedynie słusznych ideałów.

W Hawanie seks jest zawsze ulubionym tematem, a z im większą śmiałością się o nim mówi, tym lepiej. Cabrera Infante napisał opowiadanie o człowieku, który uprawiał seks

z żółwiem morskim, i nikt nawet nie mrugnął okiem. Ale kiedy Lezama opisał seks między mężczyznami (ale nie tylko – w jednej ze scen ze szczegółami opisywał, jak pewien mężczyzna uprawia seks z młodą kobietą, a następnie z jej młodszym bratem), uznano to za perwersję, a rząd zakazał publikacji jego dzieł.

Lezama odmówił opuszczenia Hawany i resztę życia spędził na swoistej emigracji wewnętrznej, bez pracy i możliwości publikacji. Popularną poetkę Dulce Maríę Loynaz spotkał podobny los. Pisała zupełnie inaczej niż Lezama, ale oboje popełnili grzech polegający na zignorowaniu rewolucyjnego delirium – mieli bowiem swoje własne.

Jeszcze do niedawna nic nie spotykało się z większą dezaprobatą w społeczeństwie kubańskim niż homoseksualizm. W Hawanie mężczyźni zawsze byli ostentacyjnie męscy; na przyjaciela nie mówiło się „kumpel" czy „koleś", ale „*gallo*", czyli „kogut". Na ulicy najgorszą obelgą dla mężczyzny były takie określenia, jak „*maricón*", „*pájaro*", „*ganso*". Homoseksualistów przezywano na dziesiątki sposobów. Osobny zestaw negatywnych wyrażeń był przeznaczony dla lesbijek – większość z tych określeń zawierała w sobie słowo „tortilla". Geje byli obligatoryjnie wysyłani do odbycia służby wojskowej w obozach szkoleniowych, gdzie poddawano ich okrutnym i zacofanym próbom „wyleczenia" z homoseksualizmu za pomocą terapii elektrowstrząsowej.

Następnie, w latach dziewięćdziesiątych, z elastycznością typową dla dyktatur absolutnych, państwo nagle zmieniło całkowicie swoją politykę w tej kwestii. Dzisiaj ludzi otwarcie przyznających się do homoseksualizmu można – nie powszechnie, ale czasami – zobaczyć w Hawanie na koncertach rockowych albo na ulicznych imprezach. Temat homoseksualizmu jest również poruszany w książkach i filmach.

Siłą kubańskiego państwa policyjnego jest to, że w tym systemie nie bardzo wiadomo, co może sprowadzić człowiekowi na głowę kłopoty. Państwo jest w stanie przyjąć krytykę. Powieści Desnoesa, kryminały Padury i filmy Gutiérreza są pełne krytyki państwa. Ale kiedy Lezama napisał o homoseksualizmie, to było coś innego. A kiedy Villarreal, człowiek, który zarządzał domem Hemingwaya, naraził się władzom, stało się tak nie dlatego, że skrytykował rewolucję, co mogłoby być do przyjęcia, ale dlatego, że w ogóle nie okazywał żadnego zainteresowania tą kwestią. Co mogłoby być bardziej podejrzane w Hawanie niż brak własnego zdania?

Zagranicznych korespondentów zawsze wprawiało w konsternację, jak otwarcie mieszkańcy Hawany mówili o sprawach politycznych. Nie ma jednak takiego państwa policyjnego, które powstrzymałoby *habaneros* przed wyrażaniem własnych opinii, przed żartami i naśmiewaniem się z władzy. To niemal definicja *habanero*. García Lorca nazywał mieszkańców Hawany *hablaneros*, od hiszpańskiego słowa „*hablar*”, czyli „mówić”.

Poza tym rząd nieustannie zmienia zasady gry – i wydaje się pewne, że będzie tak robić w dalszym ciągu. Pomimo tych wszystkich zmian Hawana pozostaje jednak Hawaną.

Habaneros wydają się rozumieć te nieustannie zmieniające się reguły obowiązujące w ich kraju, ale dla cudzoziemca są one mylące. Pewnej nocy szedłem ciemną i opustoszałą ulicą w Centro Habana, ostrożnie rozglądając się dokoła. Z powodu embarga na wyspie nie można było używać amerykańskich kart kredytowych, dlatego miałem kieszenie wypchane gotówką. Moja ostrożność musiała być dobrze widoczna, ponieważ jakiś wysoki i chudy młody Kubańczyk podszedł do mnie i rzekł: „Proszę się nie martwić. W Hawanie jest pan bezpieczny. Tu są dwa miliony ludzi i milion z nich jest w policji”. (*Habaneros* uwielbiają podchodzić do obcych i

wygłaszać tego rodzaju deklaracje, zazwyczaj zawierające w sobie element ironii).

Ów młody Kubańczyk przesadził tylko odrobinę. W Hawanie policja jest wszędzie. Ubrani w zielone mundury funkcjonariusze MININT, policji bezpieczeństwa wewnętrznego, wyglądają na twardzieli, jak tylko potrafią wyglądać Kubańczycy. Z kolei zwykła policja hawańska, nosząca szare mundury, to prawdę mówiąc, najseksowniejsza policja, jaką kiedykolwiek widziałem – piękni młodzi mężczyźni i kobiety w tak doskonale dopasowanych mundurach, że człowiek zastanawia się, czy oni przypadkiem nie mają własnych krawców. Ci policjanci najwyraźniej całe dnie spędzają na ulicach, w dwu- lub trzyosobowych grupkach, w których zawsze mężczyźni wymieszani są z kobietami, nieustannie drocząc się i flirtując między sobą.

Zagraniczni korespondenci bardzo się ekscytują, kiedy miejscowi wspominają o którymś z braci Castro, używając przy tym jednego z ich niezliczonych przezwisk, lub gdy pokazują brodatego Fidela, głaszcząc się po brodzie, jakby nie śmieli wymienić jego imienia. Ale oczywiście *habaneros* uwielbiają przezwiska i gestykulowanie. Kiedy hawańczycy mówią: „Idę sobie”, wymachują jednocześnie rękami, jakby odlatywali. Nie mają wcale żadnych oporów, żeby wymienić Fidela lub Raúla z imienia i uwielbiają kawały polityczne. Jak głosi popularny dowcip: „Trzy największe sukcesy rewolucji to służba zdrowia, edukacja i sport. A jej trzy największe porażki to śniadanie, obiad i kolacja”.

W rewolucjach zawsze obecny jest pewien stopień delirium, ale rewolucja Castro była szczególnie deliryczna. Nie chodziło w niej tylko o przejęcie władzy czy polityczne przekształcenie rządu. Celem była zmiana wszystkiego – zmiana relacji społecznych, w tym relacji między mężczyznami i kobietami, oraz odrzucenie materialistycznego podejścia do życia. Rewolucjoniści chcieli zmienić ludzką naturę i stworzyć

hombre nuevo – „nowego człowieka”. (Chociaż nowe społeczeństwo miało być mniej seksistowskie, to zawsze mówiło się o *hombre*, czyli mężczyźnie). Nowy człowiek z pogardą patrzył na osobiste bogacenie się. Państwo o niego dbało, a on całkowicie poświęcał się służbie społeczeństwu.

Wszystko w tej zmianie było porywające. Edmundo Desnoes zapamiętał początek lat sześćdziesiątych jako najbardziej ekscytujący okres w swoim życiu:

> Ta intensywność. Ten destrukcyjny, maczystowski uścisk rewolucji. Kiedy widziałem, jak wszystko wywraca się do góry nogami i burzy, to dawało mi „kopa”, jak mówią dzisiaj młodzi. To pozostało we mnie i sprawiło, że wszystko smakuje teraz trywialnie. Namiętność rewolucji zepsuła mi przyjemność konsumpcji. Z niecierpliwością oczekuję już tylko śmierci, po której rozpadnę się i zgniję.

Potem jednak przyszedł okres specjalny i otworzyła się puszka Pandory. Kiedy rząd kubański stracił radzieckie dotacje, nie mógł już dłużej zaspokajać materialnych potrzeb wszystkich obywateli. Wcześniej rewolucja mówiła ludziom: „Zapewnimy wam jedzenie, mieszkanie, opiekę zdrowotną i edukację, a wy użyjecie swoich talentów, żeby oddać pewne usługi społeczeństwu, które wszystko wam zapewniło”. W tym systemie nikt – nawet lekarze, gwiazdy muzyki czy baseballiści – nie mógł stać się zamożny. Ale każdy wnosił w ten system swój wkład i każdy czuł się częścią wielkiego eksperymentu.

W 1990 roku, czyli mniej więcej wtedy, gdy Castro po raz pierwszy użył określenia „okres specjalny”, rozmawiałem z piosenkarzem Pablo Milanésem. Był on jedną z wielkich gwiazd muzyki nueva trova. Podobnie jak reszta swoich rodaków, otrzymywał jedynie skromną kubańską pensję i chociaż w czasie trasy koncertowej zarabiał dla państwa miliony w twardej walucie, sam dostawał tylko czterysta pesos miesięcznie. Spytałem go, czy kiedykolwiek myślał o tym, żeby wyjechać z Kuby i stać się bogatym, jak kilku innych muzyków kubańskich, na przykład trębacz Arturo Sandoval.

Odrzekł: „Wolimy żyć w tego rodzaju społeczeństwie. Mamy możliwość tworzyć swoją sztukę. Pieniądze nie są dla nas najistotniejsze. Gdyby nam na tym zależało, żylibyśmy w innym kraju jako milionerzy”.

Kiedy jednak nadszedł „okres specjalny” i Kubańczykom powiedziano, że aby mieć co jeść, muszą teraz sami o siebie zadbać – otworzyć jakiś *paladar* albo sklepik, sprzedawać coś na ulicy lub wozić turystów taksówką – wszystko się zmieniło. Kiedy ludzie zaczęli myśleć w ten sposób, ich antymaterialistyczne nastawienie i poczucie wnoszenia własnego wkładu dla dobra społeczeństwa zaczęły się ulatniać.

Baseballiści, którzy wcześniej zadowalali się skromnymi zarobkami, zaczęli okazywać coraz większe niezadowolenie. Zawsze grali dla drużyny ze swojego rodzinnego miasta, zaś ich rodziny i sąsiedzi chodzili im kibicować w czasie meczów. Kiedy grali mecze wyjazdowe, ich fani ładowali się na ciężarówki lub do autobusów i podążali w ślad za nimi. Teraz jednak coraz większa liczba zawodników zaczynała myśleć, że pieniądze są ważniejsze niż ten wygodny i pomocny system, nawet jeśli miałoby to oznaczać granie dla obcych w obcym kraju. Kiedy jakiś Kubańczyk ucieka do Stanów Zjednoczonych i gra w ligach zawodowych, to po raz pierwszy w swoim życiu – może z wyjątkiem nielicznych meczów międzynarodowych – występuje na stadionie, na którym nie zasiadają żadni jego znajomi.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych nawet piłkarze zaczęli uciekać do Stanów Zjednoczonych, żeby tam przejść na zawodowstwo, co oznaczało, że już nigdy nie zagrają w drużynie narodowej – ani kubańskiej, ani amerykańskiej (międzynarodowe przepisy pozwalają zawodnikom na grę tylko w jednej reprezentacji narodowej w całej karierze). Grając w Stanach, kubańscy piłkarze mogli jednak zarabiać o

wiele więcej, a zarabianie pieniędzy było teraz na Kubie powszechnie uznawanym i szanowanym celem.

Lekarze, będący kiedyś skromnymi bohaterami swoich dzielnic, także zaczęli zapominać o tym, że otrzymali darmowe wykształcenie, i domagali się prawa do wzbogacenia się, które, jak uważali, przysługiwało ich profesji.

Czy ktokolwiek jest bardziej deliryczny od kubańskich emigrantów będących przeciwnikami Castro? A to, co szczególnie doprowadza ich do szału, to fakt, że rewolucja Fidela Castro ciągle trwa, zapewniając Kubie jeden z najdłuższych okresów stabilności politycznej w jej historii. Tego nikt się nie spodziewał. Przeciwnicy Castro wyjeżdżali do Miami przekonani, że wrócą najpóźniej za kilka lat. Tymczasem Fidel, który zmarł we własnym łóżku w wieku dziewięćdziesięciu lat, zadbał o sukcesję i kontynuację rewolucji. Spytałem kiedyś byłego prezydenta Dominikany Juana Boscha, który był przyjacielem Fidela i który pomimo wygrania demokratycznych wyborów w swoim kraju był w stanie utrzymać się przy władzy tylko przez siedem miesięcy, za co najbardziej podziwiał Castro. Odpowiedział: „Za to, jak udało mu się przetrwać".

Castro regularnie nazywał swoich emigracyjnych przeciwników szczurami albo robakami. To drugie określenie, „*gusanos*", jest kolejnym dowodem na to, że Castro chciał być długowieczną wersją Martíego. Martí również używał określenia „*gusanos*" wobec swoich wrogów – Kubańczyków, którzy popierali Hiszpanów.

Słowo „*gusanos*" jako określenie emigrantów przyjęło się w Hawanie, gdzie wielu mieszkańców ma krewnych wśród *gusanos*. To słowo często wymawia się tutaj bez złych intencji. Są również *gusañeros*, czyli połączenie *gusanos* i *compañeros*, czyli „towarzyszy". *Gusañero* to Kubańczyk, który mieszka za granicą, ale popiera rewolucję.

W przypadku niektórych pisarzy emigracyjnych, takich jak Reinaldo Arenas i Heberto Padilla, obsesyjna nienawiść do Castro uczyniła ich dzieła prawie niemożliwymi do strawienia. Arenas obwiniał Castro nawet o to, że na Florydzie zaraził się AIDS. Cabrera Infante, syn założyciela Komunistycznej Partii Kuby, który opuścił wyspę w 1965 roku i stał się zdeklarowanym wrogiem Castro, przynajmniej zachował w tej kwestii typowo kubańskie poczucie humoru, wymyślając słowo „*Castroenteritis*”, nawiązując do medycznego terminu „*gastroenteritis*”, co po łacinie oznacza grypę żołądkową.

Nawet Roberto González Echevarría w swojej znakomitej skądinąd historii baseballu kubańskiego zatytułowanej *The Pride of Havana* [Duma Hawany] czuł się w obowiązku, aby poświęcić sporo energii na udowodnienie, że Castro nie był nigdy profesjonalnym miotaczem, jak twierdzili jego zwolennicy. Z pewnością nie był wybitnym graczem, ale czy faktycznie było to na tyle ważne, żeby to udowadniać? Nie ma żadnych zapisów dotyczących rzekomej kariery Castro jako miotacza w Lidze Kubańskiej, na które często powołują się jego zwolennicy. Niemniej jednak González Echevarría zadał sobie trud przebrnięcia przez archiwa sportowe Uniwersytetu Hawańskiego z czasów, gdy Castro studiował na tamtejszym Wydziale Prawa, i znalazł wzmiankę o zorganizowanym w listopadzie 1946 roku uczelnianym meczu między studentami prawa oraz biznesu, w którym niejaki „F. Castro” występował w drużynie prawników jako miotacz. Mecz zakończył się porażką jego drużyny cztery do pięciu. Oczywiście autor przyznaje, że na Kubie mnóstwo ludzi nosi to nazwisko i że to mógł być niekoniecznie *ten* „F. Castro”. Jedynymi potwierdzonymi meczami, w których Fidel wziął udział jako miotacz, były dwie gry pokazowe, jakie wkrótce po zwycięstwie rewolucji rozegrały między sobą drużyny nazwane Revolucionarios i Barbudos, czyli „Rewolucjoniści” oraz „Brodacze”. Zachowało się mnóstwo zdjęć z tamtych meczów. Rozjuszony emigrant w swojej książce o baseballu

triumfalnie zamieszcza jedną z tych fotografii, wskazując, iż El Comandante żartem pokazuje swój chwyt piłki, co jest zachowaniem godnym amatora, ponieważ w ten sposób daje pałkarzowi wskazówkę odnośnie do rodzaju rzutu, jaki zamierza wykonać.

Ten spór jest wybitnie bezprzedmiotowy, ponieważ Castro otwarcie przyznawał, że wszelkie opowieści o jego umiejętnościach baseballowych są mitem, i twierdził, iż lepiej grał w koszykówkę. Strona zwolenników Castro popada jednak w taką samą przesadę. Wielu z nich twierdzi mianowicie, że Castro został pozyskany jako miotacz przez drużynę New York Giants, na co nie ma żadnych dowodów.

Kiedy prowadzi się dialog w Hawanie, chodzi w nim o to, żeby wysuwać twierdzenia, a nie o to, żeby ustalić fakty.

Epilog

Nocout

Lo mataré. ¡Lo mataré! Lo juro por… (¿Por quién voy a jurar?)
No puedo jurar por Dios. No creo.

Zabiję go. Zabiję! Przysięgam na… (na kogo mam przysiąc?). Nie mogę przysiąc na Boga. Nie wierzę w Niego.

Guillermo Rosales, *El juego de la viola* (1994)

Podobnie jak delirium, taniec, ironia, poczucie humoru i okna bez szyb, baseball jest w stolicy Kuby jedną z tych rzeczy, które są tam zawsze obecne – to jeszcze jeden temat, na który można się w Hawanie spierać, nawet jeśli w ostatnich latach kubańska telewizja pokazuje więcej międzynarodowych meczów piłki nożnej niż rozgrywek amerykańskiej Major League Baseball. Hawańskie dzieci odłożyły swoje małe piłki i kije i zabrały się do dryblowania po ulicach futbolówkami. Można nawet w tym upatrywać celowego działania ze strony rządu. O ile baseball został początkowo spopularyzowany na wyspie jako sposób na zbliżenie się do Ameryki i odrzucenie Hiszpanii, to obecnie Kubańczycy mogą z powrotem zwrócić się ku piłce nożnej, aby w ten sposób odrzucić Stany Zjednoczone i zbliżyć się do Europy. Ostatecznie Europa staje się znacznie ważniejsza dla gospodarki Kuby niż Stany Zjednoczone, i to zarówno w dziedzinie turystyki, jak i w roli partnera handlowego oraz biznesowego. Lecz na razie baseball, nawet jeśli wchodzi w sferę schyłkową, pozostaje na wyspie dominującym sportem. Gdyby amerykańskie embargo zostało zniesione i Kubańczycy mogliby grać latem w ligach amerykańskich, a zimą w Lidze Kubańskiej, jak to było przed rewolucją, prawdopodobnie w obu krajach baseball przeżyłby renesans.

Od samego początku baseball znaczył na Kubie dużo więcej niż tylko baseball. W latach sześćdziesiątych XIX wieku, kiedy w Stanach Zjednoczonych startowały rozgrywki

baseballowe, uczący się tam kubańscy studenci przywieźli tę dyscyplinę do swojej ojczyzny i założyli zespoły, które rozgrywały mecze z załogami amerykańskich statków handlowych. Był to więc sposób na rzucenie wyzwania amerykańskiej arogancji przez część wykształconych Kubańczyków. Hiszpanie zakazali jednak uprawiania tego sportu, podejrzewając, że służy on tworzeniu ruchu niepodległościowego. Okazało się to jednym z najlepszych przykładów samospełniającej się przepowiedni.

W rzeczywistości kubański baseball miał u swoich początków niewiele wspólnego z ruchem niepodległościowym poza tym, że przyciągał tych samych ludzi, czyli zamożnych młodzieńców wykształconych w Ameryce. Hiszpanie twierdzili jednak, że ta gra stanowiła dla tych sprawiających kłopoty wychowawcze mężczyzn wyłącznie pretekst do uzbrojenia się w drewniane pałki. Uważali to również za wtargnięcie Amerykanów na obszar, który miał być domeną kultury hiszpańskiej. W tej ostatniej kwestii mieli rację. Kiedy jednak Hiszpanie zakazali baseballu, Kubańczycy faktycznie zaczęli traktować uprawianie tego sportu jako rodzaj antyhiszpańskiej deklaracji.

Kubańczycy mieszkający w Key West na Florydzie założyli zespół baseballowy, deklarując otwarcie, iż ma on służyć zbiórce pieniędzy na ruch Martíego. Wkrótce sam Martí także został fanem baseballu. Ta gra miała nawet swojego własnego męczennika, *habanero* Emilio Sabourína, który przy okazji rozgrywek zbierał pieniądze na działalność ruchu niepodległościowego. Hiszpanie aresztowali go i wysłali do więzienia w Ceucie, hiszpańskiej enklawie w Afryce Północnej, gdzie w 1897 roku zmarł na zapalenie płuc w wieku czterdziestu czterech lat.

Kubański baseball od zawsze związany jest przede wszystkim z Hawaną. Kubańczycy zawsze występowali w drużynach ze swojego rodzinnego miasta, dlatego mająca

największą liczbę mieszkańców Hawana zawsze miała najlepsze kluby. Początkowo liga składała się tylko z trzech drużyn – Matanzas oraz dwóch zespołów ze stolicy, Habana i Almendares. Pierwszy mecz w tej trzyzespołowej lidze odbył się podobno w 1874 roku na Palmar de Junco, istniejącym do dzisiaj stadionie drużyny Matanzas. Habana pokonała wtedy Matanzas pięćdziesiąt jeden do dziewięciu. Prawdopodobnie mecze baseballowe rozgrywano na Kubie już wcześniej – widocznie baseball potrzebuje fałszywej legendy związanej z inauguracją rozgrywek (historia pierwszego meczu ligi amerykańskiej, rozegranego w Cooperstown w stanie Nowy Jork, także przecież jest zmyślona).

W XIX wieku w Stanach Zjednoczonych zawodowo grało w baseball wielu Kubańczyków, począwszy od *habanero* Estebana Bellana, który pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych XIX wieku nie tylko był wybitnym pałkarzem ligi amerykańskiej, lecz także organizował wspomniany mecz na Palmar de Junco. Od roku 1900 aż do zwycięstwa rewolucji kubańskiej w 1959 roku w zawodowych ligach amerykańskich grało siedemdziesięciu jeden Kubańczyków. Mogłoby ich być znacznie więcej, gdyby w Stanach Zjednoczonych dopuszczano wtedy do rozgrywek czarnych zawodników. Tacy gracze występowali w osobnych ligach murzyńskich.

Kiedy w 1946 roku w baseballu amerykańskim zniesiono segregację rasową, wielu czołowych zawodników kubańskich mogło grać zimą w Lidze Kubańskiej, a latem w ligach amerykańskich. Zwycięstwo rewolucji oraz wprowadzenie amerykańskiego embarga przyniosło kres takim praktykom, chociaż i tak wielu Kubańczyków grało w Ameryce. Ich liczba mogłaby wzrosnąć, gdyby rząd amerykański nie zmuszał ich do wyboru między grą na Kubie a porzuceniem ojczyzny.

Po zwycięstwie rewolucji władze kubańskie uznały jednak, że baseball to nie zawód. Gracze nadal otrzymywali

wynagrodzenia, ale były one bardzo niskie, podobnie jak pensje zwykłych Kubańczyków. Kluby sportowe zostały zreformowane, a ich nazwy zmienione. Od samego początku Hawana miała w lidze zawsze co najmniej dwa zespoły i chociaż ich nazwy zmieniały się kilkakrotnie, to jeden z nich zawsze nosił niebieskie stroje, a drugi czerwone. Po rewolucji dwa kluby hawańskie – niebiescy Almendares Alacranes (Skorpiony) i czerwoni Habana Leones (Lwy) – zostały przemianowane na Industriales i Metropolitanos.

Industriales zawdzięczali swoją nazwę temu, że w czasie, gdy klub został przemianowany, trwała akurat kampania na rzecz rozwoju przemysłu na wyspie lub, jak to określił González Echevarría, „Che Guevara, minister finansów, podjął niedorzeczny plan industrializacji Kuby". Dzisiaj Industriales, którzy grają na największym stadionie na Kubie, pięćdziesięciopięciotysięcznym Estadio Latinoamericano, są najpopularniejszym zespołem na wyspie i mają na koncie najwięcej tytułów mistrzowskich.

W Hawanie zarówno kibice, jak i zawodnicy mają analityczne, ale i konserwatywne podejście do baseballu. Trudno powiedzieć, czy wynika ono z faktu, że Hawana jest miastem z długą tradycją szachową, czy może odwrotnie – podejście do baseballu odzwierciedla sposób ich myślenia, dzięki któremu są dobrzy także w szachach. W każdym razie nie pociągają ich widowiskowe aspekty baseballu. Być może właśnie dlatego ukradzenie bazy cieszy się tu niewielkim uznaniem – kiedy jakiś zawodnik je wykona, *habaneros* uważają, że się popisuje. Zdobywca licznych home runów, widowiskowy gracz, który chce być bohaterem chwili, również nie będzie ulubieńcem hawańskich fanów. Yoenis Céspedes z mającego swą siedzibę we wschodniej części wyspy zespołu Granma Alzanes, wspaniały kubański zapolowy, który uciekł z Kuby w 2011 roku, mówił, że do ucieczki nie skłoniła go wcale polityka, ani nawet pieniądze, ale to, że jego zdaniem Kubańczycy go nie doceniali. Mógł poza tym odczuwać

frustrację, ponieważ urodził się w mieście, którego zespół nigdy nie wyszedł poza półfinały Ligi Kubańskiej, a on nie miał żadnej możliwości zmiany klubu.

Hawana wydaje wielkich baseballistów, ponieważ studiują oni grę. Wykonanie celnego uderzenia w odpowiednim momencie, zmiana na pozycjach, zrobienie skrótu albo wybicie piłki daleko w pole – wszystko jest dokładnie przeanalizowane. Hawańscy miotacze w swojej grze zazwyczaj prezentują więcej finezji niż siły – ich specjalnością są mylące, podkręcone piłki, wspaniałe panowanie nad ich lotem, narzucanie ich na sam skraj strefy strike'ów i głębokie zrozumienie tego, jaki rodzaj rzutu wykonać w danym momencie. Kubańskiej sztuce miotania prawdopodobnie pomogło również wprowadzenie na wyspie aluminiowych kijów, które było skutkiem amerykańskiego embarga, uniemożliwiającego Kubańczykom wymianę połamanych drewnianych kijów na nowe. Metalowe kije mają w sobie więcej życia, kiedy wchodzą w kontakt z piłką, i nie łamią się, kiedy piłka uderza je w okolice uchwytu. Dlatego dla miotaczy ważniejsze stało się to, aby uniemożliwić pałkarzowi kontakt z piłką, chyba że przyjmują specyficzną strategię, taką jak zmuszenie pałkarza do uderzenia piłki po ziemi w celu zrobienia podwójnego autu.

Pójście na mecz baseballu to zawsze ekscytujące przeżycie, a mecz rozgrywany w Hawanie stanowi zawsze dobry pretekst do dyskusji. Pewnego dnia, kiedy wychodziłem z mojego hotelu przy Parque Central, żeby udać się na mecz, podszedł do mnie boy.

– Chce Mulatkę? – szepnął.

– Nie, dzięki.

– To Mulatka.

Jakaś atrakcyjna kobieta siedząca w kącie lobby zaczęła posyłać mi całusy.

– Nie. Idę na mecz baseballu – odparłem.

Boy nie mógł w to uwierzyć.

– *Mu-la-ta* – powtarzał z uczuciem.

– Ale grają Industriales z Santiago – odparowałem z równie mocnym przekonaniem.

Santiago kontra Industriales to kubański odpowiednik meczu Red Soxów z Yankees.

– Santiago? Naprawdę?

– *Claro, que sí*. Zapowiada się wielki mecz.

– Kto jest miotaczem?

– U Industriales René Espín – powiedziałem.

– On nie jest wcale taki dobry.

Hawańscy kibice są wymagający. Zaczął mi tłumaczyć, jakie są słabe punkty Espína i jak powinien zagrać wobec ustawienia Santiago. Kiedy wyjaśniał mi to wszystko, Mulatka w kącie była coraz bardziej poirytowana, ale on w ogóle się tym nie przejmował.

W czasie meczu na Estadio Latinoamericano dziwna mieszanka barbarzyństwa i elegancji, która tworzy Hawanę, jest zawsze wyraźnie widoczna. Sympatycznie wyglądające kobiety serwują tam kubańską kawę – ciemną i tak słodką, że przypomina syrop – w pomysłowo zwiniętych kawałkach papieru, które służą jako kubki. W czasie przerwy po piątym inningu kobiety wychodzą na boisko i częstują kawą sędziów. Jednak przez większą część pozostałego czasu gry ludzie wykrzykują przekleństwa pod adresem arbitrów. Z tego właśnie powodu kawa – jedyna rzecz, jaką można dostać na tym stadionie – jest znacznie lepszym orzeźwieniem niż to, co sprzedają na prowincjonalnych stadionach kubańskich, gdzie serwuje się tylko *chupas* (lizaki). Kiedy krzyczy się

„*¡Pendejo!*” oraz rzuca inne obelgi pod adresem sędziów, robi to znacznie mniejsze wrażenie, kiedy ma się w ustach lizaka.

Oprócz okrzyków słychać nieustanny szum rozmów. To kibice omawiają między sobą strategię gry. Ta dyskusja trwa również po zakończeniu meczu, kiedy kibice wychodzą ze stadionu i wracają autobusami do domu. I jest kontynuowana następnego ranka przez fanów i fanatyków – w języku hiszpańskim obie grupy określa się tym samym słowem „*fanático*” – w Parque Central pod pomnikiem José Martíego, w miejscu zwanym *la esquina caliente*, czyli „gorącym narożnikiem”. Tak właśnie określa się na Kubie trzecią bazę, na której nie ma już czasu na to, żeby zastanawiać się nad strategią. Pewne zagrania należy wykonać natychmiast. To jest właśnie „gorący narożnik” baseballowego boiska.

Pewnego poranka tematem rozmów był piąty inning meczu, który Industriales rozgrywali poprzedniego wieczoru. Piąty inning, na dwa inningi przed ewentualnym zwycięstwem, jest kluczowy na Kubie (w ligach amerykańskich jest to inning dziewiąty), ponieważ jeśli zespół po siódmym inningu prowadzi co najmniej dziesięcioma runami, mecz dobiega końca. Mówi się na to „*nocout*”, czyli „nokaut”.

W omawianym meczu żadnego *nocoutu* być jednak nie mogło, ponieważ był remis. Na pierwszej oraz drugiej bazie stali biegacze i nie było żadnych autów. Pałkarz uderzył słabo po ziemi w wewnętrzną część boiska, a miotacz Industriales złapał piłkę i rzucił ją do drugiego bazowego, żeby wygonić biegacza z pierwszej bazy. Drugi bazowy podał do pierwszego bazowego, żeby wyeliminować pałkarza, ale to pozwoliło biegaczowi na drugiej bazie zaliczyć pozostałe i zdobyć punkt, wyprowadzając swoją drużynę na prowadzenie. To oznaczało, że Industriales przegrywali teraz jednym runem. Lecz były już dwa auty i nie było nikogo na żadnej z baz, więc łatwo można było wyjść z tego inningu. Następnego ranka w parku toczyły

się zażarte spory o to, czy drużyna zagrała właściwie, czy powinna jednak rzucić piłkę na trzecią bazę.

„*Coño, carajo, pendejo*, nie poddaje się runa w remisowym meczu w piątym inningu!” „Słuchaj, ty *hijo de puta*! Wtedy byłby tylko jeden aut i dalej dwaj biegacze na bazach”. Palce wskazujące dźgały powietrze z precyzją niebezpiecznej broni. Ponad głowami dyskutujących identyczny gest wykonywał Martí. Żyły nabrzmiewały, krople potu występowały na czoła, a jeden mężczyzna aż poczerwieniał. Gdyby obserwował to ktoś nieznający hiszpańskiego, pomyślałby, że to spór polityczny, który za chwilę przybierze gwałtowny obrót. Ostatecznie Industriales szybko zrobili trzeci aut, zdobyli dwa runy w szóstym inningu i wygrali cały mecz, ale nie o to tu chodziło. Spierano się bowiem o strategię. Później i tak wszyscy razem napiją się czarnej kawy z małych kubeczków.

To właśnie Hawana – miasto *apasionado y febril como el amor de una mujer fea* (miasto namiętne i rozgorączkowane, niczym miłość brzydkiej kobiety), jak to kiedyś brutalnie określiła Dulce María Loynaz, jedna z najbardziej uwielbianych pisarek hawańskich. Od kiedy Hiszpanie zaczęli zakładać swoje różne Hawany, zmiana była nieodłącznym elementem historii tego miasta i wydaje się pewne, że również w przyszłości Hawanę czekać będą ogromne zmiany, być może nawet bardzo szybko. Lecz równie pewne wydaje się to, iż rzeczy, które Hawanę czynią Hawaną – deliryczną, rozsypującą się metropolią w czerni i bieli, pomimo jej wyblakłych kolorów tropikalnych – przetrwają.

Podziękowania

W pierwszej kolejności moje podziękowania należą się mieszkańcom Hawany, którzy od prawie trzydziestu pięciu lat okazywali mi wyłącznie ciepło, poczucie humoru i gościnność, chociaż mój kraj usiłował ich zagłodzić.

Od dawna jestem również winny wyrazy wdzięczności Davidowi Brownowi, któremu towarzyszyłem w czasie badań, dzięki czemu mogłem lepiej zrozumieć religie afrokubańskie.

Dziękuję mojej agentce i przyjaciółce Charlotte Sheedy, jak również George’owi Gibsonowi, który jest wielkim wydawcą, oraz Nancy Miller, która jest wielką redaktorką, za to, że powierzyli mi ten projekt. Jakże wielkie mam szczęście, pracując z takimi ludźmi.

Dziękuję Marian Mass i Talii za ich miłość oraz wsparcie.

Bibliografia

Bibliografia ogólna

Africa in Latin America. Essays on History, Culture and Socialization, ed. Manuel Moreno Fraginals, New York–Paris: Holmes & Meier, 1984

Antolitia Gloria, *Cuba: dos siglos de música*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1984

Barclay Juliet, *Havana. Portrait of a City*, London: Cassell, 1995

Bjarkman Peter C., *Baseball with a Latin Beat*, Jefferson, North Carolina: McFarland, 1994

—, *A History of Cuban Baseball 1864–2006*, Jefferson, North Carolina: McFarland, 2007

Brown David H., *Santería Enthroned. Art, Ritual, and Innovation in an Afro-Cuban Religion*, Chicago: University of Chicago Press, 2003

Carter Thomas F., *The Quality of Home Runs*, Durham, North Carolina–London: Duke University Press, 2008

Cluster Dick, Hernández Rafael, *The History of Havana*, New York: Palgrave Macmillan, 2006

Cooke Julia, *The Other Side of Paradise. Life in the New Cuba*, Berkeley, California: Seal Press, 2014

The Cuba Reader. History, Culture, Politics, ed. Aviva Chomsky, Barry Carr, Pamela Maria Smorlakoff, Durham, North Carolina–London: Duke University Press, 2003

Díaz Ayala Cristóbal, *Música cubana del areyto a la nueva trova*, San Juan, Puerto Rico: Editorial Cubanacan, 1981

Duharte Jiménez Rafael, *El negro en la sociedad colonial*, Santiago: Editorial Oriente, 1988

Eire Carlos, *Waiting for Snow in Havana. Confessions of a Cuban Boy*, New York: Free Press, 2003. Wyd. pol.: *Czekając na śnieg w Hawanie. Wyznania kubańskiego chłopca*, przeł. Tomasz Bieroń, Warszawa: Zysk i S-ka, 2005

Estrada Alfredo José, *Havana. Autobiography of a City*, New York–London: Palgrave MacMillan, 2007

García Alicia, García Sergio, *El Aljibe: un estilo natural*, La Habana: Editorial SI-Mar, 2004

González Echevarría Roberto, *The Pride of Havana. A History of Cuban Baseball*, New York–Oxford: Oxford University Press, 1999

González-Wippler Migene, *Santería. The Religion*, New York: Harmony, 1989

Griffith Cathryn, *Havana Revisited. An Architectural Heritage*, New York: W. W. Norton, 2010

Hazard Samuel, *Cuba with Pen and Pencil*, Hartford, Connecticut: Hartford Publishing, 1871

Hill Robert T., *Cuba and Porto Rico. With the Other Islands of the West Indies*, New York: Century Company, 1899

Humboldt Alexander von, *The Island of Cuba*, New York: Derby and Jackson, 1856

Jenkins Gareth, *Havana in My Heart. 75 Years of Cuban Photography*, Chicago: Chicago Review Press, 2002

Klein Herbert S., *Slavery in the Americas. A Comparative Study of Virginia and Cuba*, Chicago: Elephant Paperbacks, 1967

Kurlansky Mark, *The Big Squawk*, „New Times", 23–29 sierpnia 1989

—, *A Continent of Islands. Searching for the Caribbean Destiny*, Reading, Massachusetts: Addison–Wesley, 1992

—, *Cuba Moves to Clean Up Havana Harbor*, „Chicago Tribune", 23 lutego 1986

—, *Cuba, Si*, „Mirabella", styczeń 1991

—, *Field of Dreams*, „Gourmet", maj 2003

—, *Havana Homecoming*, „Food & Wine", listopad 2012

—, *Havana's Historic Watering Holes*, „International Herald Tribune" 1985

—, *In Cuba, 800 Jews without Rabbi, without Harassment*, „Philadelphia Inquirer", 2 czerwca 1985

—, *Man without a Country*, „Progressive", styczeń 1986

—, *No Escape from Cuba Haven for U. S. Fugitive*, „Guardian", 8 lipca 1985

Leal Spengler Eusebio, *Para no olvidar: libro primero*, La Habana: Ediciones Boloña, 1999

Llanes Llilian, *Havana. Then and Now*, San Diego: Thunder Bay Press, 2004

—, *The Houses of Old Cuba*, New York: Thames and Hudson, 2001

Lobo Montalvo María Luisa, *Havana. History and Architecture of a Romantic City*, New York: Monacelli Press, 2009

Martinez-Alier Varena, *Marriage, Class and Colour in Nineteenth-Century Cuba. A Study of Racial Attitudes and Sexual Values in a Slave Society*, Ann Arbor: University of Michigan Press, 1989

Miller Tom, *Trading with the Enemy. A Yankee Travels through Castro's Cuba*, New York: Atheneum, 1992

Moreno Fraginals Manuel, *El ingenio*, t. 1–3, La Habana: Editorial de Ciencias Sociales, 1978

Moruzzi Peter, *Havana. Before Castro When Cuba Was a Tropical Playground*, Salt Lake City, Utah: Gibbs Smith, 2008

Ortiz Fernando, *Los bailes y el teatro de los negros en el folklore de Cuba*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1985

—, *Contrapuento cubano del tabaco y el azúcar*, La Habana: Editorial de Ciencias

Sociales, 1983

—, *El engaño de las razas*, La Habana: Editorial de Ciencias Sociales, 1975

—, *Entre cubanos: psicología tropical*, La Habana: Editorial de Ciencias Sociales, 1987

—, *El huracán: su mitología y sus símbolos*, Ciudad México: Fondo de la Cultura Económica, 1984

—, *Los negros curros*, La Habana: Editorial de Ciencias Sociales, 1986

—, *Los negros esclavos*, La Habana: Editorial de Ciencias Sociales, 1987

Pérez Louis A. Jr., *On Becoming Cuban. Identity, Nationality & Culture*, Chapel Hill–London: University of North Carolina Press, 1999

The Reader's Companion to Cuba, ed. Alan Ryan, San Diego–New York: Harcourt Brace, 1997

Roberts W. Adolphe, *The Portrait of a City*, New York: Coward-McCann, 1953

Salas y Quiroga José Jacinto, *Viajes*, La Habana: Editorial del Consejo Nacional de Cultura, 1964

Scarpaci Joseph L., Segre Roberto, Coyula Mario, *Havana. Two Faces of the Antillean Metropolis*, Chapel Hill–London: University of North Carolina Press, 2002

Selected Letters of Langston Hughes, ed. Arnold Rampersad, David Roessel, Christa Fratantoro, New York: Alfred A. Knopf, 2015

Tattlin Isadora, *Cuba Diaries. An American Housewife in Havana*, Chapel Hill, North Carolina: Algonquin, 2002

Terry T. Philip, *Terry's Guide to Cuba*, Boston: Houghton Mifflin, 1927

Thomas Hugh, *Cuba. The Pursuit of Freedom*, New York: Harper & Row, 1971

—, *The Slave Trade. The Story of the Atlantic Slave Trade, 1440–1870*, New York: Simon & Schuster, 1997

White Trumbull, *Our New Possessions*, 1898

Williams Eric, *From Columbus to Castro. The History of the Caribbean, 1492–1969*, New York: Harper & Row, 1970

Zanetti Oscar, García Alejandro, *Sugar and Railroads. A Cuban History, 1837–1959*, Chapel Hill–London: University of North Carolina Press, 1998

Bibliografia literatury hawańskiej

Arenas Reinaldo, *Antes que anochezca*, Barcelona: Tusquets Editores, 1992. Wyd. pol.: *Zanim zapadnie noc. Autobiografia*, przeł. Urszula Kropiwiec, Izabelin: Świat Literacki, 2004

—, *Otra vez el mar*, Barcelona: Argos Vergara, 1982

Augier Ángel, *Poesía de la ciudad de La Habana*, La Habana: Ediciones Boloña, 2001

Benítez Rojo Antonio, *La isla que se repite. El Caribe y la perspectiva postmoderna*, Hanover: New Hampshire, Ediciones del Norte, 1989

—, *Mujer en traje de batalla*, Madrid: Grupo Santillana de Ediciones, 2001

—, *A View from the Mangrove*, Amherst: University of Massachusetts Press, 1998

Bosch Juan, *Cuba, la isla fascinante*, Santiago de Chile: Editorial Universitaria, 1955

—, *De Cristóbal Colón a Fidel Castro. El caribe frontera imperial*, Santo Domingo: Cuarto Edición Dominicano, 1883

Cabrera Infante Guillermo, *Mea Cuba*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1994. Wyd. pol.: *Mea Kuba*, przeł. Marcin Małkowski, Warszawa: Philip Wilson, 2004

—, *Tres tristes tigres*, Barcelona: Seix Barral, 1967. Wyd. pol.: *Trzy pstre tygrysy*, przeł. Urszula Kropiwiec, Tomasz Pindel, Kraków: Universitas, 2016

Cabrera Lydia, *Cuentos negros de Cuba*, La Habana: La Verónica, 1940

Carpentier Alejo, *El acoso*, Buenos Aires: Editorial Losada, 1956. Wyd. pol.: *Osaczenie* [w:] tegoż, *Wojna czasu*, przeł. Kalina Wojciechowska, Warszawa: Czytelnik, 1974

—, *El arpa y la sombra*, México: Siglo XXI Editores, 1978. Wyd. pol.: *Harfa i cień*, przeł. Kalina Wojciechowska, Janina Carlson, Warszawa: Czytelnik, 1982

—, *La ciudad de las columnas*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1982

—, *Guerra del tiempo y otros relatos*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1987. Wyd. pol.: *Wojna czasu*, przeł. Kalina Wojciechowska, Warszawa: Czytelnik, 1974

—, *La música en Cuba*, México: Fondo de Cultura Económica, 1946. Wyd. pol.: *Muzyka na Kubie*, przeł. Jerzy Popiel, Kraków: Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1980

—, *El recurso del método*, México: Siglo XXI Editores, 1974. Wyd. pol.: *Szaleństwo i metoda*, przeł. Kalina Wojciechowska, Warszawa: Czytelnik, 1980

Cubana. Contemporary Fiction by Cuban Women, ed. Mirta Yáñez, Boston: Beacon Press, 1998

Cubanísimo! The Vintage Book of Contemporary Cuban Literature, ed. Cristina García, New York: Vintage Books, 2002

Desnoes Edmundo, *Memorias del subdesarrollo*, La Habana: Ediciones Unión, 1965

Diego Eliseo, *En sitio en que tan bien se está*, La Habana: Ediciones Boloña, 2005

Estévez Abilio, *Inventario secreto de La Habana*, Barcelona: Tusquets Editores, 2005

—, *Los palacios distantes*, Barcelona: Tusquets Editores, 2002

Greene Graham, *Our Man in Havana*, New York: Viking Press, 1958. Wyd. pol.: *Nasz człowiek w Hawanie*, przeł. Maria Skibniewska, Warszawa: Pax, 1975

—, *Ways of Escape. An Autobiography*, New York: Simon & Schuster, 1980

Guillén Nicolás, *Cuba Libre. Poems by Nicolás Guillén*, Los Angeles: Ward Ritchie Press, 1948

—, *El diario que a diario*, La Habana: UNEAC, 1972

—, *Guillén. Man-Making Words*, Amherst: University of Massachusetts Press, 1972

—, *Poezje wybrane*, przeł. Jan Zych, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1969

—, *Obra poética*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1985

Gutiérrez Pedro Juan, *Era un hombre decente*, „La Gaceta de Cuba", lipiec–sierpień 2014

—, *Trilogía sucia de La Habana*, Barcelona: Anagrama, 1998. Wyd. pol.: *Brudna trylogia o Hawanie*, przeł. Piotr Fornelski, Poznań: Zysk i S-ka, 2004

Iyer Pico, *Cuba and the Night*, New York: Vintage, 1996

Lezama Lima José, *Paradiso*, La Habana: UNEAC, 1966. Wyd. pol.: *Raj*, przeł. Andrzej Nowak, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1979

—, *Poesía completa*, La Habana: Instituto del Libro, 1970

—, *Selections*, ed. Ernesto Livan-Grossman, Berkeley: University of California Press, 2005

Loynaz Dulce María, *Against Heaven. Selected Poems. A Dual Language Edition*, Manchester, United Kingdom: Carcanet, 2007

Martí José, *The America of José Martí*, New York: Noonday Press, 1953

—, *Diarios*, Barcelona: Círculo de Lectores, 1997

—, *Major Poems*, New York: Holmes & Meier, 1982

—, *Nasza Ameryka*, przeł. Danuta Rycerz, Warszawa: Centrum Studiów Latynoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego CESLA, 1992

—, *Periodismo diverso*, La Habana: Editorial Nacional de Cuba, 1965

—, *Poesía completa*, La Habana: Editorial Letras Cubanas, 1985

—, *Selected Writings*, New York: Penguin Classics, 2002

Méndez Capote Renée, *Memorias de una cubanita que nació con el siglo*, Barcelona: Argos Vergara, 1984. Wyd. pol.: *Taniec sępów. Pamiętnik młodej Kubanki urodzonej z początkiem wieku*, przeł. Maria Dembowska, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1987

Padilla Heberto, *A Fountain, a House of Stone. Poems*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1991

—, *La mala memoria*, Barcelona: Plaza y Janés, 1989

—, *En mi jardín pastan los héroes*, Barcelona: Argos Vergara, 1981

Padura Fuentes Leonardo, *Adiós Hemingway / La cola de la serpiente*, La Habana: Ediciones Unión, 2001

—, *Máscaras*, Barcelona: Tusquets Editores, 1997. Wyd. pol.: *Trans w Hawanie*,

przeł. Marcin Sarna, Kraków: Znak, 2010

—, *Paisaje de otoño*, Barcelona: Tusquets Editores, 1998

—, *Pasado perfecto*, Barcelona: Tusquets Editores, 2000. Wyd. pol.: *Gorączka w Hawanie*, przeł. Tomasz Pindel, Kraków: Znak, 2009

—, *Vientos de cuaresma*, Barcelona: Tusquets Editores, 2001. Wyd. pol.: *Wichura w Hawanie*, przeł. Danuta Rycerz, Kraków: Znak, 2009

Pérez Armando Cristóbal, *Explosión en Tallapiedra*, La Habana: Editorial Capitán San Luis, 2014

Piñera Virgilio, *La carne de René*, Buenos Aires: Ediciones Siglo Veinte, 1952

Rosales Guillermo, *La casa de los náufragos*, Madrid: Ediciones Siruela, 2003

—, *El juego de la viola*, Miami: Ediciones Universal, 1994

Rosshandler Felicia, *Passing through Havana. A Novel of Wartime Girlhood in the Caribbean*, New York: St. Martin's, 1984

Sarduy Severo, *Cobra*, Buenos Aires: Editorial Sudamericana, 1972

Smorkaloff Pamela Maria, *Cuban Writers on and off the Island*, New York: Twayne, 1999

Villaverde Cirilo, *Cecilia Valdés*, México: Editorial Porrúa, 1995. Wyd. pol.: *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*, przeł. Danuta Rycerz, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1976

The Voice of the Turtle. An Anthology of Cuban Stories, ed. Peter Bush, New York: Grove Press, 1997

Yáñez Mirta, *The Bleeding Wound / Sangra por la herida*, Chico, California: Cubanabooks, 2014

—, *Havana Is a Really Big City and Other Short Stories*, Chico, California: Cubanabooks, 2010

Przypisy

[1] Alejo Carpentier, *Osaczenie* [w:] tegoż, *Wojna czasu*, przeł. Kalina Wojciechowska, Warszawa: Czytelnik, 1974, s. 215 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Tamże, s. 189, 195.

[3] Graham Greene, *Nasz człowiek w Hawanie*, przeł. Maria Skibniewska, Warszawa: Pax, 1975, s. 71.

[4] Leonardo Padura Fuentes, *Trans w Hawanie*, przeł. Marcin Sarna, Kraków: Znak, 2010, s. 11, 12.

[5] Alejo Carpentier, *Osaczenie*, dz. cyt., s. 160.

[6] Cirilo Villaverde, *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*, t. 2, przeł. Danuta Rycerz, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1976, s. 82.

[7] W Brazylii niewolnictwo zniesiono jeszcze później niż na Kubie, bo dopiero w 1888 roku.

[8] Cirilo Villaverde, *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*, t. 1, przeł. Danuta Rycerz, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1976, s. 18.

[9] Tamże, s. 203, 204.

[10] Tamże, s. 18, 19.

[11] Guillermo Cabrera Infante, *Mea Kuba*, przeł. Marcin Małkowski, Warszawa: Philip Wilson, 2004, s. 102.

[12] Tamże, s. 103.

[13] José Martí, *Nasza Ameryka*, przeł. Danuta Rycerz, Warszawa: Centrum Studiów Latynoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego *CESLA*, 1992, s. 15.

[14] Guillermo Cabrera Infante, *Trzy pstre tygrysy*, przeł. Urszula Kropiwiec, Tomasz Pindel, Kraków: Universitas, 2016, s. 149.

[15] Przed wprowadzeniem prohibicji w całych Stanach Zjednoczonych w 1920 roku dzielono stany na „suche” (czyli te, w których nie można było pić alkoholu) i „mokre” (w których alkohol był legalny).

[16] Rough Riders – potoczna nazwa dowodzonego między innymi przez późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Theodore’a Roosevelta 1 Ochotniczego Pułku Kawalerii, który wsławił się udziałem w wojnie amerykańsko—hiszpańskiej 1898 roku.

[17] Cirilo Villaverde, *Cecylia Valdés albo Wzgórze Anioła*, t. 1, przeł. Danuta Rycerz, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1976, s. 35.

[18] „Niebieskie filmy” (*blue films*) – dawne określenie filmów pornograficznych.

[19] Pedro Juan Gutiérrez, *Brudna trylogia o Hawanie*, przeł. Piotr Fornelski, Poznań: Zysk i S-ka, 2004, s. 152.

[20] Nicolás Guillén, *Poezje wybrane*, przeł. Jan Zych, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1969, s. 109.

[21] José Lezama Lima, *Raj*, przeł. Andrzej Nowak, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1979, s. 281.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018

Wydanie I